

BIBLIOTEKA SŁOWA POLSKIEGO

ST.SCHNÜR-PEPŁOWSKI.

WÓDZ
Legionistów





WODZ LEGIONISTÓW.

(Opowieść dziejowa z lat 1790—1818).



● BIBLIOTEKA „SŁOWA POLSKIEGO”.

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI.

N. m. i B ⁸⁸ 4813

WÓDZ LEGIONISTÓW.

[i. Dąbrowski i Jan Henryk]

(Opowiadanie dziejowe z lat 1790-1818.)



LWÓW.

NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO”.

1900.

HII 148
W I 8 b 3a

522262

II

k-81/3057
18.4. 100,-



WSTĘP.

Legioniści...

Ileż to przepięknych wspomnień łączy się z tym wyrazem! Dzielni żołnierze z pod Zieleniec i Dubienki walczyli następnie w insurrekcyi Kościuszkowskiej pod przewodem naczelnika w sukmanie, a gdy przemoc zwyciężyła, nie ugięli wobec niej czoła, jeno, rzuciwszy rodzinne strony, dobrowolni wygnańcy, spieszyli tam, kędy powiewały wolności sztandary, gdzie toczył się bój o swobodę ludów. Kości ich bieleją wśród wawozów Kalabryjskich, pod skwarnem niebem Hiszpanii, na pobojuwiskach niemieckich i na piaskach Santo Domingo. Jeżeli dolę legionów nazwał ktoś słusznie poematem, przy szczęku oręża i wśród dźwięku huk, to legioniści pozostaną, kto wie, czy nie ostatnim wyrazem sławnego rycerstwa, walczącego za słuszną sprawę do ostatniej kropli krwi, o głodzie i o chłodzie, podczas gdy tęsknota za krajem była im nieodstępna towarzyszką, a sława bojowa — jedyną meztwą zapłatą.

Szlachetni wodzowie tych bohaterskich zastępów zbyt może pochopnie zawierzili ogólnikowym obietnicom Bonapartego, który ich ramienia niejednokrotnie nadużył dla celów osobistej polityki, frymarczącej krwią własną i obcą, lecz choć nowsze, dziejowe badania odarły ów epizod porozbiorowej naszej przeszłości z otaczającego go dawnego, legendowego niemal uroku, to jednak niepodobna zaprzeczyć, iż legiony były i pozostały na zawsze protestem ujarzmionego narodu, który tym rozpaczliwym odruchem raz jeszcze dowodnie stwierdził, że nie brak osobistej waleczności i poświęcenia stał się przyczyną jego upadku.

Maciejowicka klęska, rzeź Pragi, kapitulacja Radoszycka musiały ogłuszyć chwilowo naród, wywołać przesilenie wewnętrzne, w ciągu którego jedni zdawali się na łaskę i niełaskę wroga, inni szaleli z rozpacz, inni wreszcie w strasliwym wyuzdaniu szukali zapomnienia, odurzając się rozkoszą, grą i trunkiem po stracie niepodległości. Był to stan anormalny, przejściowy, powtarzający się niejednokrotnie w życiu naszego społeczeństwa. Starsze pokolenie, które zapamiętało jeszcze saskie czasy, usunęło się w domowe progi, a niezdolne do podjęcia z zaborcą odpornej, cichej, lecz niemniej zaciętej walki, odgradzało się od cudzoziemskiego wpływu, gdyby chińskim murem, u stóp ołtarza szukając ulgi w strapieniu. Inaczej myślała, czuła i działała młodzież, z natury rzeczy wrażliwa, zapalna, żadna życia i użycia. Niosła ona chętnie krew i mienie w ofierze dla świętej sprawy, lecz niemniej też ochotnie po

upadku powstania i ostatecznym kraju rozbiórze szukała w łuczej, nieustannej zabawie ukojenia po doznanych zawodach. Tężyzna warszawska wywierała w owym czasie równie silne wpływy, jak zepsucie moralne, które, gdyby zaraza, po całej rozlewało się Polsce. Na szczęście jednak obok bezmyślnego szału i rozpusty bezgranicznej, nie brakło u nas nigdy ludzi, dalej w przyszłość patrzących, skupionych około sztandaru sprawy narodowej, chwytających skwapliwie każdą sposobność do służenia ojczyźnie.

Takimi ludźmi byli przede wszystkim Kościuszkowscy żołnierze, pozostali w kraju lub rozproszeni na obczyźnie. Każdy z nich w miarę sił swych i zdolności służył sprawie publicznej, orężem, piórem i żywym słowem, jako żołnierz, pisarz narodowy lub emisariusz, a jakkolwiek działać wypadało tajnie i zwalczać na każdym kroku olbrzymie przeszkody, czynione przez rządy zaborcze, to mimo to usiłowania ich odniosły ostateczne zwycięstwo — myśl legionów doczekała się urzeczywistnienia.

Legiony, opromienione tradycją bohaterską, rozsławiły szeroko po świecie sławę polskiego oręża. I niedziw, gdyż w szeregach legionowych streszczał się wykwit całego narodu bez różnicy stanów i wyznania. Obok młodzieży z najpierwszych rodów szlacheckich, przedzierającej się z najwyższym wysiłkiem przez graniczne kordony, by zaciągnąć się pod sztandary Dąbrowskiego lub Kniaziewicza, nie brakło też chłopskich synów, jak dzielny Świstacz, towarzysz Bartosza,

a i Berek Josielowicz, rozsiekany później pod Kockiem, przedstawia piękny przykład, że plemię izraelskie, na polskiej ziemi osiadłe, poczuło się w owej chwili powołaniem do obrony wspólnej sprawy — narodowego honoru.

Obok wodzów, górujących zdolnościami, odwagą, poświęceniem — nad ogółem towarzyszków broni, nie brakło też oczywiście wśród szeregowców osobistości, które niepoślednią walecznością, posuniętą niemal do granic niemożliwości, bezinteresownością iście rycerską, chlubę przynieśćby mogły każdemu wojsku. W tradycyi legionistów przez długie lata utrzymywała się pamięć o śmiałym czynie Trandowskiego, dokonanym podczas utarczki, stoczonej przez legię naddunajską z Austryakami pod Salcburgiem. Zastąpiła tam drogę naszym wiarusom brygada Liechtensteina, kryjąca odwrót całej armii cesarskiej. Na moście, stanowiącym klucz pozycji, sroga zawrzała walka, w czasie której na pobliskim wzgórzu ukazał się generał książę Liechtenstein w otoczeniu licznej świty. Zoczywszy go Trandowski, grenadier z batalionu Fiszera, założył się z towarzyszami, o miarę wina, że porwie księcia żywcem z pośród jego sztabu. Wiarusy przyjęli zakład i śmiałek nasz, pełzając niespostrzeżenie pod pagórek, wyskoczył następnie z ukrycia i ściągawszy gwałtownie Liechtensteina z konia, zarzucił go sobie na plecy. Nie ważono się nawet strzelać do uciekającego, który zasłaniając się jeńcem gdyby tarczą, dostał się szczęśliwie do swoich wraz z księciem, zduszonym na poły. Liechtenstein, wymie-

niony później w zamian za Fiszera, chciał, opuszczając obóz, obdarzyć Trandowskiego zegarkiem i pieniędzmi. Ale dzielny grenadier nie przyjął tego daru i prosił księcia, by mu na pamiątkę dał swoje ostrogi...

Niemniej dzielnym zuchem był ułan, szeregowiec, Pawlikowski, który w bitwie pod Hohenlinden, sam jeden wziął do niewoli pięćdziesięciu siedmiu piechurów austriackich, ubiwszy im poprzednio kapitana i porucznika. Pawlikowski, wysłany w tyraliery, zmusił spotkany oddział piechoty do złożenia broni i zawezwawszy do pomocy przejeżdżającego opodał szasera, pognał rozbrojonych jeńców ku swoim. Przypadek zrządził, że Moreau, głównodowodzący armią nadreńską, przebiegając pole walki na czele sztabu, spotkał tę niezwykłą eskortę, a rozmówiwszy się nie bez trudności z Pawlikowskim, chciał go na miejscu zamianować oficerem. Ale wiarus nasz wyprosił się od tego zaszczytu, jako nieumiejący czytać ani pisać, a uniesiony szlachetnym animuszem, odrzucił również zaofiarowaną mu przez generała nagrodę pieniężną, tłumacząc zdziwionemu tą bezinteresownością wodzowi, że Polak bije się dla honoru i ojczyzny, nie zaś dla złota.... Tak więc Moreau zrobił Pawlikowskiego sierżantem z podwójną płacą, i polecił czyn jego podać do publicznej wiadomości, zaś rząd Rzeczypospolitej francuskiej przysłał mu w upominku honorowy karabinek, srebrem wykładany. Na kolbie widniała srebrna blacha z wieńcem wawrzynowym, wyrytym dokoła, w środku którego czytano napis następujący: „Rzecz pospolita francuska swemu

obroncy, obywatelowi, Janowi Pawlikowskiemu, szaserowi kawaleryi polskiej, który w bitwie 12-go Frimaire'a, w roku dziewiątym Rzeczypospolitej wziął do niewoli pięćdziesięciu siedmiu jeńców“.

I nietylko brawurą żołnierską na polu walki odznaczali się nasi legionieści, w zamian za trudy i krew przelaną niejednokrotnie przymierający głodem i chłodem, zwłaszcza w pierwszych chwilach organizowania tych oddziałów kosztem republiki, której kasy z powodu przewlekłej walki, zazwyczaj były puste. Że ochotnicy, częstokroć оголосени z funduszków, gdyż grosz ostatni wydać musieli na kosztą podróży dalekiej, nie ulegali demoralizacyi, zwyczajnej w zakładach tworzących się dopiero wojsk, było to dowodem wybornego ducha, jaki wśród nich panował, a zarazem zasługą takich ludzi, jak Wybicki, Drzewiecki lub Tremo, którzy z wybitną zdolnością organizacyjną łączyli żelazną energię, charakter nieskazitelny i gorącą miłość ojczyzny.

To też słusznie ojcem młodzieży zwano Wybickiego, czuwającego niestrudzenie nad zaczątkową formacją legionów włoskich a następnie legii naddunajskiej. Młodzieńcem dwudziestoletnim zasiadłszy w poselskiem gronie, śmiało protestował zacny Wybicki mimo prześladowania, na jakie się narażał, przeciw gwałtom rosyjskim na sejmie 1767 roku. Później widzimy go w szeregach rycerzy Baru, a gdy przemoc wytrąciła mu oręż z ręki, wziął się do pióra i dał ziomkom *Listy patryotyczne*, oraz cały szereg utworów sca-

nicznych, nacechowanych prawdziwie obywatelską tendencyą. Gdy zaświtała znów lepsza dla ojczyzny dola, gdy stronnictwo patryotyczne na sejmie wielkim przystąpiło do naprawy zmurszałych fundamentów Rzeczypospolitej, Wybicki, wybrany posłem, gorliwy w tej pracy wziął udział, podobnie, jak w najwyższej Radzie Narodowej, za Kościuszkowskiej insurrekcyi, zaliczał się do członków najbardziej ofiarnych i pracowitych wojskowego departamentu. Jako komisarz władzy naczelnej, towarzyszył Dąbrowskiemu w wyprawie wielkopolskiej. Upadek powstania nie pogrążył go w beznadziejnej rozpacz, jaka po ostatnim rozbiórce kraju zapanowała wśród naszego społeczeństwa. Rzuciwszy rodzinę i majątek, który też uległ konfiskacie ze strony rządu pruskiego, pospieszył Wybicki do Paryża, by w gronie patryotów, skupionych około Barsa, dawnego przedstawiciela naszych interesów u rządu francuskiego, snuć w dalszym ciągu przerwana pracę nad odzyskaniem niepodległości ojczyzny. Zwolennik zasad umiarkowanych, z odrazą rzetelną spoglądał on na terrorystyczne rządy nad Sekwaną, lecz oddany pracy naukowej, śledził bacznie przebieg wypadków, by z nich korzystać dla dobra Polski. Z pod jego też pióra wyszedł podobno pierwotny projekt formacyi legionów, podany dyrektoryatowi w formie noty jeszcze przed przybyciem Dąbrowskiego do Paryża i jego też sumptem mógł generał opuścić stolicę Francyi, by podążyć na pole swej przyszłej chwały, do Włoch. Niebawem znalazł się również [Wybicki w Medyolanie, a lubo już nie pierw-

szej młodości, towarzyszy odtąd nieodstępnie wszystkim wyprawom legionistów, dzieląc dobre i złe ich losy. Jego to odwaga, moralność i filozofia przyczyniły się wielce — jak to wyznaje w swym pamiętniku Dąbrowski — do owej reputacyi, jaką Polacy zdobyli sobie we Francyi i we Włoszech. Chwilowe zniechęcenie, jakie zapanowało wśród naszego żołnierza na wieść o układach w Leoben, nie osłabiło bojowego ducha legionistów. Wskutek rozruchów w Reggio, wywołanych poduszczeniami reakeyonistów między okolicznymi góralami, otrzymał legion rozkaz wyruszenia w tamte strony i przywrócenia porządku, co też uskutecznił w przeciągu dni kilku. I właśnie w Reggio stworzył Wybicki pieśń legionów, znaną pierwotnie pod popularnem mianem mazurka Dąbrowskiego. Poeta, tworząc ów utwór, był niejako wyrazem uczuć, przepełniających piersi walczących, a szukających naturalnym rzeczy porządkiem ujawnienia w piosnkach, w dumkach żołnierskich, w poezyi chropawej i prostej, jak oręża szczęki, ale nacechowanej wojowniczym zapalem, który przenikał nasze legiony. W legionach każdy niemal batalion, każdy szwadron miewał własnego poetę. Nucono podczas marszów i przy ogniskach obozowych rozmaite śpiewki, co niezawodnie skłoniło Wybickiego do stworzenia tej piosnki, tak prostej a porywającej, pełnej siły i życia, która stęsknionym rozbitkom zdała się zwiastunką rychłego do kraju powrotu i skruszenia pętów niewoli.

Mazurek Dąbrowskiego miał zrazu znaczenie ściśle okolicznościowe i dopiero pod wpływem później-

szych wypadków przybrał charakter narodowego spiewu. Autor sam nie przywiązywał, zdaje się, do swego utworu wagi, jakiej on następnie nabral w ustach narodu. Niebawem, bo już w marcu 1798 roku odczuwszy boleśnie zawód, doznawany przez legionistów, przelewających krew za obcą sprawę we Włoszech, powrócił Wybicki do Paryża, by po krótkim wypoczynku znów powrócić nad Ren. Wzywał go tam stary druh Kniaziewicz. — „Zaklinam cię na miłość tej sprawy, której całe życie poświęciłeś — pisał do Wybickiego generał w pierwszych dniach stycznia 1800 roku — żebyś z nami chciał dzielić kłopoty, nieoddzielne od pierwszej formacyi korpusu. Twoje światłe rady w momentach, kiedy bieda najwięcej dokucza, staną się balsamem dla niemających doświadczenia i stałości, Tobie zaś samemu skutek tę rozkosz przyniesie, którą człowiek czuje, kiedy dobrymi czynami dzień zakończył“... W Falsburgu, gdzie mieścił się główny zakład legii naddunajskiej, czynnym był Wybicki żywym słowem, przykładem i pismem, przyczyniając się niepomniernie do podniesienia ducha narodowego i poziomu moralności w gronie młodych kolegów. Dopiero wieść o traktacie lunewilskim, zawartym przez pierwszego konsula z zupełnem pominięciem sprawy polskiej, zniewoliła zacnego patriotę do cofnięcia się w zacisze prywatnego życia, które wszakże rzucił na wieść o pogromie Prus pod Jeną i jadąc dniem a nocą, stawił się na wezwanie Napoleona w Berlinie. Zawołany do zamku, ujrzał Wybicki władcę, dzierzącego w rękę losy jego-ojczyzny. Bezintereso-

wność jego, gdy zapytany przez cesarza o wartość dóbr skonfiskowanych, jego własnością będących, odpowiedział, iż to rzecz zbyt drobna by miał nią trudzić zwycięzcę i pytał o rozkazy — zjednała Wybickiemu od razu zaufanie Napoleona. Między innemi wybadywał go cesarz, czy armia francuska, wkroczywszy do Polski, znajdzie tamże potrzebne wygody, oraz żywność. Odpowiedział Wybicki wówczas, iż Polak krew i swój byt cały odda dla odzyskania niepodległości ojczyzny, a na zapewnienie cesarza, iż Polska odzyska niepodległość, skreślił pamiętną odezwę, wzywającą cały naród do powstania. Odtąd do ostatnich chwil życia służył nieustraszenie ojczyźnie, jużto jako członek komisji rządzącej, to znów w charakterze naczelnika władzy sądowniczej i jeszcze przed zgonem dożył tej pocięchy, iż pieśń jego przeszła w usta ludu, śpiewana podczas ważniejszych obchodów narodowych w Warszawie, w Krakowie i w Poznaniu. Rewolucya listopadowa nadała utworowi Wybickiego ostateczną formę, rozpowszechniła jego nutę w rozmaitych śpiewnikach, treść jego uzupełniła nowemi zwrotkami i śmiało twierdzić można, iż autorem mazurka Dąbrowskiego stał się w owym czasie cały naród, walczący z Rosyą. Na polach Grochowskich otrzymała pieśń legionów chrzest krwawy. Pod Olszynką śpiewały ją nasze pułki wśród gradu kul nieprzyjacielskich. Odtąd wielokrotnie w latach 1831 i 1863/4, w chwilach krwawych z wrogiem zapasów, rozlegał się na polu walki ten hymn nieśmier-

telny, o którym słusznie mówi jeden z naszych poetów, że jest on hymnem chwały narodowej...

Obok Wybickiego, otoczonego po długich latach cierpień i tułactwa, zasłużonym szacunkiem u ziomków, obsypanego godnościami i dostatkiem, widnieje smętna postać Eliasza Tremona, jednego z owych śmiałych emisaryuszów, którzy nie bacząc na srogie kary, jakie im zagrażały w razie ujęcia, szli pod przybranem nazwiskiem z wychodźstwa do kraju, przekradając się przez graniczne kordony, narażeni na tysiączne trudy i niebezpieczeństwa, bezimienni apostołowie wielkiej sprawy. Historia owych czasów przekazała nam, prócz Tremona, z tego grona straceńców nazwiska: Ogińskiego, De la Roche'a, Blumera i działającego pod przybranem mianem Budzyńskiego, późniejszego ministra skarbu, Jana Węgłęńskiego, ale podobnych im, przepadłych w znacznej części bez wieści wysłanników, było o wiele więcej. Zgon iście męczeński Tremona, tworzący godne zakończenie jego żywota, pełnego walk i poświęceń, jest jednym więcej powodem, by nie pominąć go milczeniem, gdy mowa o wybitniejszych z zastępu legionistów działaczach. Bo też agitatoreм niezmordowanym był Tremo, łączący żywość i obrotność Francuza z walecznością i z ofiarnością Polaka. Syn kuchmistrza Stanisława Augusta żołnierzem stał się, nie dworakiem i podczas insurrekcyi Kościuszkowskiej zaciągnął się w szeregi powstańcze. Zaliczony do pułku jazdy, przydzielonego do korpusu Mokronowskiego, walczył następnie pod rozkazami tego generała pod

Marymontem i w jednej ze zwycięskich dla oręza naszego potyczek dostał się do niewoli do Głogowy, a następnie do Nissy; zaznał niemało przykrości jako jeńiec od brutalnych, pruskich komendantów i odzyskał wolność dopiero po upadku powstania. Mając pozostawiony do woli wybór miejsca pobytu, domagał się paszportu do Warszawy, lecz po drodze zatrzymał się w Poznaniu, gdzie miał siostrę zamężną. Tam przypadkowo spotkał głośniego później na multańskich kresach Ksawerego Dambrowskiego, który już podczas ruchawki wielkopolskiej znaczną sobie zdobył sławę, jako dzielny partyzant. Dambrowskiemu, internowanemu czasowo w mieście, doniesiono poufnie, iż skazano go na ośm lat więzienia w twierdzy. Należało więc uciekać co rychlej i Tremo sam mu oświadczył gotowość towarzyszenia w tej wielce niebezpiecznej wyprawie. Nietylko więc wystarał się o konie i powóz, ale dla zmylenia pogoni osobiście udał się do komendanta w Poznaniu, zapowiadając mu swój wyjazd do Warszawy. Dambrowski miał wymknąć się z nim razem w przebraniu służącego. Plan, dobrze obmyślany, powiódł się wybornie i zanim policya pruska zauważyć mogła zniknięcie Dambrowskiego, obaj przyjaciele byli już daleko od miasta. Goniąc dniem i nocą, zdołał Tremo zręcznie oszukać czujność prowincjonalnych landratów, wobec których odgrywał na przemiany rolę kupca Raynolda, jadącego wraz z służącym na jarmark do Lipska, to znów dworzanina księcia Sułkowskiego z Leszna, cieszącego się szczególnym faworem władz pruskich. Do-

kładna znajomość języka niemieckiego oraz zręczne korzystanie z wiadomości, zebranych podczas pobytu w Poznaniu, a w razie potrzeby i afiszowanie się z pruskim patryotyzmem ułatwiły zbiegom szczęśliwe dostanie się do Saksonii, a następnie do Francji. Na paryskim bruku rozeszły się ich drogi. Podczas gdy Dąbrowski przyłączył się do skrajnej partii wychodźców, kupujących się dokoła kasztelana Mniewskiego, a powtarzającej w dobrej wierze terrorystyczne hasła, głoszone nad Sekwaną, oddał się Tremo na usługi stronnictwu Barsa i Wybiekiego, patryotów, mniej może krzykliwych, ale bardziej czynnych. Zkądinąd dowiemy się o zasługach, jakie położył nieustraszony młodzian, już to udając się w celu wyszukania Henryka Dąbrowskiego do Warszawy, już też jako adjutant generała w pierwszych chwilach organizacji legionu w Medyolanie. Zamianowany podczas kampanii neapolitańskiej szefem szwadronu w świeżo tworzącym się pólku jazdy Karwowskiego, padł Tremo ofiarą powstańczej zasadzki. Właśnie stali nasi w Sezzi, gdy nadeszła wiadomość, iż zbuntowane chłopstwo opanowało Traette, gdzie do niedawna załogowali legionieści i przychylnego ze strony ludności doznali przyjęcia. Wówczas to Tremo, sądząc, iż łagodną perswazją skłonić zdoła powstańców do złożenia broni, wybrał się do nich na czele plutonu jazdy. Ufność swą przypłacił straszną śmiercią. Udając bowiem gotowość poddania się, zwabili go powstańcy między wąskie uliczki miasteczka, gdzie zniemacka pochwyconego powiesili na sznurze nad stosem płonącego

sitowia i w ten sposób żywcem na wolnym ogniu upiekli. Z plutonu, towarzyszącego Tremonowi, ocalało sześciu zaledwo legionistów, którzy przebiwszy się przez tłumy powstańców, zdołali przynieść Dąbrowskiemu wieść żalobną o zgonie jednego z najdzielniejszych jego pomocników.

Nie minęła wszakże barbarzyńców zasłużona kara. W jakiś czas później oddział legionistów, wzmocniony przez francuską piechotę, podstąpił pod wiarołomne miasto. Mieszkańcy chcieli się zdać na łaskę i niełaskę, ale komendant wyprawy, generał Vartin, trzymając się ściśle otrzymanych rozkazów, zdobył miasto szturmem i w pień wyciął ludność wraz z buntownikami. Na gruzach zburzonych domostw umieszczono z jego polecenia napis: ...„Tu była Traetta, powstała przeciw wojsku francuskiemu i już jej nie ma!...”

Gruzy buntowniczego grodu starczyć musiały za pomnik dzielnemu Tremonowi, którego energię i rzutkość na równi chyba postawić wypadnie z żelazną wolą, z wytrwałością i pracowitością Stanisława Fiszera, również kościuszkowskiego żołnierza, a nawet jednego z ulubionych adjutantów naczelnika. O zdolnościach tego męża, który później jako inspektor piechoty oraz szef sztabu głównego, tak ważną odgrywał rolę w organizacyi wojsk Księstwa warszawskiego, wiadomo wszystkim oddawna. Mniej natomiast jest znanym epizod z życia generała, gdy po upadku powstania w roku 1794 znalazł się w Paryżu ogołocony niemal zupełnie z funduszków. Pracowity, zamknięty w sobie, stoik w ca-

łem tego słowa znaczeniu, był wówczas Fiszer ściśle odosobniony. Wiecznie zapracowany w swej izdebce, albo też w księgozbiorach publicznych, nie bywał nigdzie mimo częstych zaprosin, otrzymywanych ze strony ziomków, znających go dawniej z pogodnego, wesołego usposobienia. Stronienie to od towarzystwa przypisywano powszechnie mizantropii, nabytej w niewoli rosyjskiej, z której niedawno powrócił, lecz dopiero przypadek wykrył przyczynę samotnego trybu życia Fiszera. Oto dnia pewnego na przechadzce osłabł on nagle, a gdy przejeżdżający ulicą fiakier zaoferował mu swe usługi, zawołał nagabywany, zapomniawszy o obecności towarzyszącego mu Drzewieckiego:

— Jam dwa dni nie jadł, a ty chcesz, żebym ci za przejażdżkę płacił!...

I w tej chwili, wstydząc się mimowolnego wybuchu, zaczął mówić o czemś wesołym z Drzewieckim, który zaraz po powrocie z przechadzki udał się do bawiącego w Paryżu Kościuszki z przedstawieniem nędzy, jaką znosi były jego adjutant. Otrzymaawszy od naczelnika rulon, zawierający sto talarów, pospieszył Drzewiecki do znajomego aptekarza, który pieniądze zawiązał w pakiet, gdyby lekarstwo i odesłał Fiszerowi pod wskazanym adresem. Ale obdarzony i słyszeć nie chciał o przyjęciu datku, lecz zapowiedział przybyłemu dnia następnego Drzewieckiemu, że sumę otrzymaną wręczy zarządowi szpitala św. Łazarza. Chcąc zyskać na czasie, przystał pozornie na tę myśl Drzewiecki, lecz odprowadzając Fiszera z szpitala, przypomniał mu pozo-

stających w biedzie rodaków, a między innymi pułkownika Gawrońskiego, do którego też w przechodzie wstąpili. Pułkownik musiał raz jeszcze wysłuchać historii tajemniczego daru, ale przyjęcia ofiarowanej sumy również odmówił. W końcu przełamano rulon na dwie połowy i Fiszer z Gawrońskim podzielili się po bratersku pieniędzmi. Wystarczyły one Fiszerowi na czas dłuższy, gdyż żywił się w owym czasie suchym chlebem, okraszonym serem, albo też dla odmiany wytłoczonymi winogronami... Zajście to najlepiej charakteryzuje legionistów. Byli to ludzie, wyrośli nie z soli i nie z roli, ale z tego, co boli. Nędzę znosili ze stoicznym spokojem, a w twardych z'łosem zapasach zdobywali hart ducha niezłomny. Ojczyzna była celem ich życia, honor bożyszczem.

Słynnym z tego powodu w całej armii włoskiej był kapitan Bogusławski, który w życiu odbył sześćdziesiąt pojedynków i piętnastu przeciwników położył trupem. Bawiąc za urlopem w Padwie, udał się on dnia pewnego w ubraniu cywilnem do restauracyi, gdzie kilku oficerów francuskich jęło kpić z niepokiesznej, figury siedzącego w kątku sali kapitana. Bogusławski znosił spokojnie szyderstwa Francuzów, lecz w końcu uderzony przez jednego z napastników gałką z chleba w czoło, powstał z krzesła i zbliżywszy się do oficerów, wyzwał ich na pistolety. Jako miejsce spotkania oznaczono Weronę, dokąd też bezwzględnie udał się nasz legionista i opowiedziawszy dowódcy pułku, do którego należeli jego przeciwnicy, cały przebieg zajścia, prosił

go o wyznaczenie sekundantów z grona oficerskiego. Uczyniono zadość jego życzeniu. O umówionej godzinie czterej wyzwani i Bogusławski znaleźli się wraz z sekundantami za murem koszarowym. Pułkownik podał za nimi, podczas gdy reszta oficerów, z drugiej strony muru zgromadzona, oczekiwała na wynik pojedynku. W krótkich przerwach usłyszano ośm strzałów, poczem pierwszy z za muru wyszedł pułkownik, za nim postępowali sekundanci — wszyscy bladzi i zmieszani. Ostatni wracał miarowym krokiem, spokojny, jak zwykle, Bogusławski, który wytrzymałszy z zimną krwią każdy pierwszy strzał swych przeciwników, zabił na miejscu tego, który go galką uderzył, dwóch dowcipniejszych ranił śmiertelnie, zaś czwartemu z nich, najmniej stosunkowo winnemu, przestrzelił obie nogi. Skłoniwszy się obecnym, odjechał Bogusławski do Wenecyi, gdzie wówczas batalion jego stał załogą, a Francuzi odtąd winnym otaczali respektem mundur legionistów.

Niemniej głośnym, acz na szczęście bezkrwawym był pojedynek oficerów legii naddunajskiej, porucznika Chryzantego Krasieńskiego z kapitanem Szerszeniewiczem, odbyty na wałach fortecznych Metzu. Z pistoletów, wypożyczonych od konsystujących w mieście dragonów, strzelali do siebie zapaśnicy siedm razy, nie odniósłszy najłżejszego draśnięcia i dopiero wdanie się szefa Drzewieckiego kres położyło dalszej pukaninie, oraz przywiodło poważnionych do zgody.

Ów Drzewiecki, znany w późniejszym wieku, za świetnych czasów Krzemieńca, pod popularnem mianem

„pana szefa“, niemała, też rolę odegrał zarówno podczas insurekcji Kościuszkowskiej, jakoteż w legionach włoskich, a później w legii naddunajskiej. W Galicyi dał się poznać Drzewiecki w roku 1794, jako człowiek obrotny i energiczny, umiejący korzystać ze zbiegu okoliczności dla urzeczywistnienia swych planów. Wysłany przez Kościuszkę do Lwowa celem pozyskania szlachty galicyjskiej dla sprawy powstania, zawinął się tak zrecznie, iż znalazł przystęp do głównodowodzącego generała, którym był Józef hr. d' Harnoncourt. Ten przyjął życzliwie naszego emisariusza i oświadczył mu w cztery oczy, iż jak długo rewolucya nie będzie miała na celu zakłócenia istniejącego porządku rzeczy w Galicyi, tak długo rząd nie będzie stawiał przeszkód jej agentom. Niemniej przychylnego przyjęcia doznał Drzewiecki u szefa władzy cywilnej, barona Gallenberga, który rady swe i przestrogi zakończył żartobliwem wezwaniem, by zabrał z sobą wojującą na bruku lwowskim młodzież, sprawiającą swem postępowaniem wiele kłopotu władzy.... Jakoż Drzewiecki nie próżnował, lecz wiązał cichaczem konspirację, do której należeli także poważniejsi obywatele. Związkowych było już kilkuset, gdy przegrana pod Szczekocinami wpłynęła ujemnie na neutralną dotychczas wobec powstania politykę austryacką.. Jęto aresztować podejrzanych o sprzyjanie insurekcji ziemian, a Drzewiecki, okuty w łańcuszki, miał być stawiony przed sądem doraźnym, gdy znów powstanie wielkopolskie i bohaterska obrona Warszawy sprawiły przychylniejsze dla

rewolucyjnego ruchu usposobienie w Wiedniu. Uwolniony z więzienia i odstawiony do Lublina, powrócił Drzewiecki niebawem do Lwowa, by w przebraniu sługusa snuć w dalszym ciągu przerwana robotę spiskową, zbierać składki, wyprawiać ochotników na plac boju. W jednym z domów arystokratycznych spotkał go przypadkowo Gallenberg i poznawszy, mimo liberyjnej odzieży, postąpił sobie szlachetnie, dając Drzewieckiemu dwie doby czasu do ucieczki, poczem kazał go policyjnie poszukiwać. Oczywiście pościg był daremny, gdyż emisaryusz umknął już dawno z Galicyi i oparł się aż w głównej kwaterze Kościuszki, z którym razem dostał się do niewoli pod Maciejowicami. Odzyskawszy wolność, nie opuścił rąk bezczynnie, lecz przeciwnie, krzątał się nader gorliwie około formacyi legionów na multańskich kresach, a przesiadując w swym majątku w Leszniowicach pod Lubieniem, przechowywał w swym domu przez czas dłuższy generała Kniaziewiczza, którego związkowi galicyjsey zamierzali postawić na czele siły zbrojnej w razie wybuchu rewolucyi. Szalona wyprawa Denyski zepsuła wszystko. Drzewiecki z Kniaziewiczem musieli uchodzić z kraju i po wielu przygodach dotarli szczęśliwie pod sztandary legionów, powiewające na włoskiej ziemi.

Sprawa legionów multańskich nasuwa nam pod pióro tragiczną postać Władysława Jabłonowskiego, zwanego murzynkiem. Fatalność prześladowała Jabłonowskiego od pierwszej chwili życia.



Syn nieprawy jednej z polskich magnatek, której skronie zdobiła książęca mitra i — murzyna, lokaja, ujrzał światło dzienne w roku 1768 w Polsce, po powrocie matki z dłuższej podróży zagranicą... Niemowlę było kompletnym murzynem i w kilka tygodni po jego urodzeniu rozpuszczono w Warszawie pogłoskę, iż „czarny potworek“ umarł, lecz w rzeczywistości księżna wyprawiła dziecię do Francyi, gdzie dzięki jej staraniom oraz funduszom otrzymał staranne wychowanie. Nazwano go Władysławem Jabłonowskim. Oddany wyrostkiem do szkoły wojskowej w Brienne, opuścił ją w roku 1788 w stopniu porucznika piechoty. W Brienne kolegował Jabłonowski z Bonapartem, który pewnego dnia drwieć począł z jego murzyńskiej powierzchowności. — Lepiej być murzynem z białą duszą, niż białym z czarną — odparł porywczo wyszydzany, a słów tych nie zapomniał mu Napoleon do końca życia...

W rewolucyi Kościuszkowskiej brał Jabłonowski czynny udział, zaś po jej upadku, znalazłszy bezpieczny przytułek w Galicyi, rzucił się sercem całem do robót konspiracyjnych. On to, wraz z Rymkiewiczem zawiózł w maju 1796 roku akt tajnej konfederacyi krakowskiej do Stambułu, celem zachęcenia posła francuskiego w Porcie, Verninac'a, do energiczniejszego na rzecz Polski działania. Później widzimy Jabłonowskiego w głównej kwaterze legionistów multańskich w Bukareszcie, a gdy oddział ten, opuszczony przez naczelnika, rozprószył się na wszystkie strony, nie korzystał bezdomny tułacz z ogólnego pardonu, ani też nie przyjął

za przykładem znacznej części towarzyszków, korzystnych warunków w służbie rosyjskiej, jeno z trudem niemałym przedostał się do Włoch. Początkowo pozostawał Jabłonowski w służbie Rzeczypospolitej rzymskiej i dopiero w roku 1799 znalazł pomieszczenie w pierwszej legii Dąbrowskiego, jako generał brygady, zaś w dwa lata później objął po Kniaziewiczu naczelne dowództwo legii naddunajskiej. Nie długo je wszakże zatrzymał w swem ręku, gdyż z rozkazu pierwszego konsula wyprowadzono go na Santo Domingo, oddając mu komendę jednej półbrygady wojska francuskiego, ucierającego się z buntowniczymi murzynami. Żółta febra, szerząca się w lecie 1802 roku na całym obszarze wyspy, dziesiątkowała białych, podczas gdy murzyni, paląc i rabując wszystko, co im pod rękę wpadło, występowali coraz to śmieiej przeciw wojskom rządowym, zwłaszcza od czasu, gdy na ich stronę przeszedł wraz z całą brygadą kolonialny generał Belair. Przeciw temu to mulatowi, który się ogłosił naczelnym wodzem powstańców, wyprowadzono w sierpniu t. r. Jabłonowskiego. Przez czas dłuższy wymykał się Belair, unikając stanowczej rozprawy, lecz ostatecznie, osaczony przez naszego generała, przyjął w dniu 29. sierpnia bitwę i rozgromiony ze szczerem, musiał uchodzić. Jabłonowski, który już podczas walki uczył skutki zabójczej dla Europejczyków febrы, zlecił podkomendnym dalsze ściganie nieprzyjaciela i zanim jeszcze zdążono mu przynieść pomoc lekarską, oddał ducha w przydrożnej chacie mu-

rzyńskiej, dokąd chorego zaniesiono. Zwłoki jego spoczęły na cmentarzu w Verettes.

Tak zginął towarzysz Napoleona ze szkolnej ławy, znakomity wojownik, który Francji znaczne oddał usługi. Kości jego w obcej złożono ziemi, podobnie, jak śmiertelne szczątki wielu legionistów, bohaterów bezimiennych, żołnierzy obcej sprawy, którzy głową nałożyli za złudne nadzieje, jakimi zakupiono ich ramię.

Szczęsnymi wszakże nazwać jeszcze można tych straceńców, ginących zdala od ojczyzny, wśród piasków Haiti, w porównaniu z garścią towarzyszków, którzy wróciwszy do kraju, zapomnieli o ideałach młodości i za marne zaszczyty, za grosz, rzucony przez nieprzyjaciela, sprzedali swą wojenną sławę. Takim zaprzańcem nieszczęsnym był Ignacy Blumer. I on walczył pod Kościuszką, a później uszedłszy na Wołoszczyznę, jako emisaryusz multańskich legionistów krążył po Galicji, kryjąc się po chatach wiejskich, a nie rzadko po bagnach i leśnych ostępach. Gdy Henryk Dąbrowski rozwinął sztandar legionów w Medyolanie, jeden z pierwszych zgłosił się Blumer do szeregu i walczył nieustraszenie w wszystkich wyprawach naszego wodza. Mianowany na polu bitwy pod Legnano kapitanem i ranny w temże spotkaniu, dostał się do niewoli austriackiej. Osadzono go wraz z innymi jeńcami francuskimi w Ratyzbonie, gdzie nieludzki komendant znęcał się nad nimi brutalnie, nie pomnąc, że ma do czynienia z oficerami. Pewnego dnia, gdy komendant znów począł dokuczać więźniom z powodu, iż na czas nie

zdzęli przed nim furazerek, Blumer, obdarzony przy olbrzymim wzroście niezwykłą siłą, pochwycił staro-
rego zrzęde za kark i przez okno kazamaty chciał go
wrzucić do Dunaju. Odwiódł go od tego czynu jeden
z starszych towarzyszków broni, lecz przerażone niem-
czyśko, którego Blumer przez czas jakiś trzymał,
gdyby w kleszczach zawieszonego, nad przepaścią, przy-
rzekło solenną poprawę i słowa dotrzymało. Odzyskaw-
szy wolność po traktacie lunewilskim, powrócił nasz
siłacz do czynnej służby i wraz z legionistami znalazł
się niebawem na Santo Domingo. Tam też zyskał sto-
pień podpułkownika za męstwo, okazane w starciu
z powstańcami pod Troubombon, gdzie otoczony przez
trzytysięczny oddział murzyński, przerznął się szczęśli-
wie na czele setki legionistów do swoich i przez pięć
godzin z rzędu wytrzymywał straszliwy ogień nieprzy-
jacielski. Nie tu wszakże koniec nadzwyczajnych przy-
gód Blumera. Powracając wraz z swym oddziałem do
Francji, płynął on na okręcie, który, ścigany przez krą-
żowniki angielskie, rozbił się na pustem wówczas wy-
brzeżu Florydy. Rozbitki zamyślali już osiąść na stałe
w tem miejscu i założyć kolonię, lecz Blumer obwołany
przez nich dowódcą, zdołał zwątpiałych zachęcić do
dochowania zaprzysiężonej wierności sztandarom rze-
czypospolitej. Naprawiwszy okręt, dobili cudem prawie
do brzegów Francji, z kąd Blumer przeznaczony do
batalionu zagranicznego, wysłany został na Korsykę.
Później znalazł się w szeregach wojsk księstwa war-
szawskiego. W kampanii 1809 roku odznaczył się pod

Góra, gdzie na czele grenadyerów, bez wystrzału zdobył bagnetem szaniec przedmostowy, przy wzięciu Sandomierza i przy zajęciu Krakowa. Pułkownikiem został w roku 1812 i podczas odwrotu z pod Moskwy resztki swego pułku w wzorowym porządku przywiódł do Olszy. Nazwiska tych walecznych kazał Napoleon wyszyć na sztandarze pułkowym. Zamianowany w armii Królestwa Polskiego generałem brygady, pozostał Blumer w czynnej służbie, jakkolwiek rzucili ją, po krótszym lub dłuższym przeciągu czasu, wszyscy niemal zdolniejsi wodzowie i towarzysze broni z doby legionów zrażeni despotyzmem carewicza, poniżającego rozmyślenie wszystko, co było rzeczywistą zasługą, cnotą, szlachetnością. Pozostał w służbie wraz z Stankiem i z Roznieckim, przywykły do ślepego, bezwarunkowego posłuszeństwa, głuchy na wszystko, co się dokoła działo. W pamiętnej nocy dwudziestego piątego listopada legł Blumer od bratniej kuli pod arsenałem w chwili, gdy usiłował uśmierzyć lud, domagający się broni przeciw ciemieżcom ojczyzny.

Tak zaprzańcom bywa...

Stanisław Schnür-Peplowski.

Lwów w styczniu 1900 r.

I.

Dziwna jakaś tajemniczość otacza lata młodości bohaterów naszych z doby porozbiorowej. Wiemy dokładnie o ich rozgłosnych czynach orężnych, przekazanych potomności przez historię, opiewanych przez poetów, uwiecznionych też po części pędzlem malar skim, czy też dłutem rzeźbiarzy. Znamy koleje ich życia w jasnych i ciężkich chwilach, radości i cierpienia w wieku dojrzałym, ostatnie nawet słowa, wyrzeczone przez tych mężów przed zgonem. Natomiast mrok, trudny do wytłómaczenia, osłania młodość tych ulubieńców narodu, którzy stali się jego dumą i chlubą, których nazwiska przywykliśmy zawsze wymawiać z najwyższą czecią i z uwielbieniem. O Kościuszcze do niedawna jeszcze krążyły fantastyczne legendy, obalone dopiero przed dwoma laty przez uzonego anonima. Polski Bayard, książę Józef, ten rycerz, wolny od bojaźni i skazy, również znany jest naszemu ogółowi raczej z tradycyi i z poezyi, aniżeli jego postać dziejowa a i twórca legionów nie doczekał się dotychczas źródłowej biografii, tłumaczącej całokształt jego działalno-

ści publicznej i wojskowej, a zarazem rozpraszejmy mylnie o nim mniemania, snute bądź pod wpływem nieznajomości istotnego stanu rzeczy, bądź też dyktowane tendencyjnemi uprzedzeniami.

Spróbujmy więc wskrzesić przed oczyma żyjącego pokolenia wielką i szlachetną postać twórcy tych za-
stępów, które sławę polskiego oręża rozniosły szeroko po świecie, wskazać cel wielki, przyświecający dążeniom tego męża, wspomnieć o przeszkodach oraz przeciwnościach, jakie mu przewyciężać wypadało.

Polska nie ma jeszcze do tej pory swego Plutarcha, choć w przeszłości naszej nie brak mężów, których cnoty, czyny i zasługi zdolne byłyby rozgrzać serca i umysły naszego społeczeństwa, służyć mu za godny do naśladowania przykład, stworzyć naukę i wskazówkę postępowania w trudnych dla narodu całego chwilach przesilenia politycznego.

Czynny, pełen burz i przeciwności, żywot Jana Henryka Dąbrowskiego, zasłużył pod każdym względem na uwiecznienie w owej księdze, na której kartach przyszłe, oby szczęśliwe pokolenia, uczyć się będą prawdziwej miłości ojczyzny oraz sposobu, w jaki jej służyć należy.

Jan Henryk Dąbrowski wywodził się z rodziny starszszlacheckiej herbu własnego, nie wyróżniającej się wszakże ani zaszczyty, ani fortuną wśród ogółu herbowej braci. Dziadem naszego bohatera był Jan Dąbrowski, chorąży w chorągwi Jana III-go, osiadły w dru-

giej połowie siedemnastego wieku w Trześniowie, w Lubelskiem.

Pan chorąży był człowiekiem rycerskiego animuszu i w obronie ojczyzny nie szczędził własnej krwi, ani mienia. Stawał w potrzebie chocimskiej, bił się pod Lwowem i Żurawnem, uczestniczył w odsieczy wiedeńskiej, w bitwach pod Parkanami i w zdobyciu zamku Szczeczeny. Tak dopełniwszy swego obowiązku wobec Rzeczypospolitej, zamienił oręż na pług i zaślubiwszy podkomorzanek Szymanowską, osiadł na własnym zagonie. Związek ten pobłogosławiony został trzema synami, z których najmłodszy, Jan Michał, urodzony w dniu ósmym września 1817² roku, był ojcem wodza 1717! legionów. Wkrótce po przyjściu na świat trzeciego syna, pan chorąży przeniósł się do wieczności, pozostawiając wdowę wraz z dziećmi w nienajlepszych stosunkach majątkowych. „Mój ojciec stracił jeszcze w dzieciństwie swego ojca, który z powodu ustawicznych niepokojów i podczas elekcji nadworeżył majątek i niewiele zostawił swej rodzinie“ — pisze generał w swej autobiografii, skreślonej w języku niemieckim w r. 1802. — Mimo to chorążyna starała się dać synom jak najstarszanniejsze wychowanie i wysłała ich do szkół jezuickich w Lublinie. Dwaj starsi poculi wokacyę do stanu kapłańskiego i przywdziałwszy duchowną sukienkę poświęcili się służbie ołtarza, zaś najmłodszy chorążyc znalazł gorliwego opiekuna w zamożnym kuzynie. Michale Dąbrowskim. Ów Michał Dąbrowski, kawaler maltański, człowiek bogaty i wpływowy, zajął się ubogim sierotą

i za pomocą prymasa Potockiego umieścił trzynastoletniego chłopaka jako pazia na dworze Leszczyńskiego. U boku króla Stanisława bawił Dąbrowski w Warszawie, a następnie w Gdańsku, lecz po opanowaniu tego miasta przez Augusta III, opuszczony przez opiekunów, nie znalazł dla siebie innego ratunku, jak wstąpienie do wojska saskiego. W piętnastym roku życia widzimy go kadetem w pułku kirasyerów Pestenpostel, w którego szeregach odbył kampanię turecką pod dowództwem hrabiego Rutowskiego i odznaczywszy się w bitwie pod Tymokiem, zwrócił na siebie uwagę kawalera de Saxe. To też po zawarciu pokoju (w r. 1739), oraz po powrocie wojsk posilkowych do Saksonii, młody Dąbrowski, postawy pięknej i rosłej, przeniesiony został w stopniu chorążego do gwardyi przybocznej (*Garde du corps*). Jakkolwiek służba przy boku monarzym wcale nie była uciążliwą i jak najpomyślniejszą przyszłość rokowała dla ubogiego oficera, to jednak Dąbrowski, stęskniony do stron rodzinnych, upraszał po sześcioletnim pobycie w Dreźnie o przeniesienie go do świeżo utworzonego pułku szwoleżerów imienia księcia Alberta.

Pułk ten, uformowany z samych Polaków, na koniach polskiej rasy, miał komendanta pocziwego Sasa, generała Wilmensdorfa, którego główna kwatera mieściła się w Malborgu, w Prusach królewskich. Po kampanii 1745 roku, zakończonej porażką armii saskiej pod Kesselsdorfem, pułk księcia Alberta przeniesiony został na leże do Polski, gdzie w dobrach stołowych Niepoło-

mice wyznaczono mu stanowiska. Dąbrowskiemu dostała się kwatera w Sierosławicach nad Wisłą, dzierżawionych przez generała Krystyna Lettowa, komendanta konnej gwardyi koronnej. Mimo cudzoziemskiego na pozór nazwiska, dom Lettowów był szczerze polski. Lettowowie pochodzili z dobrej szlachty litewskiej wyznania kalwińskiego i podczas prześladowań religijnych za Zygmunta III. opuścili rodzinne strony, przenosząc się do Pomeranii. Generał Lettow służywał też pierwotnie w wojsku pruskim i dopiero po utworzeniu przez Augusta II. pułku gwardyi koronnej, zwanego później mirowskim od nazwiska pierwszego jego dowódcy, Miera, przeszedł pod sztandary Rzeczypospolitej. W domu generała poznał Dąbrowski najstarszą tegoż córkę, Zofię Maryannę i pozyskawszy wzajemność panny, zaślubił ją w roku 1750. Było to stadło bardzo dobrane. Mąż pełnił w dalszym ciągu służbę, podczas gdy młoda pani porucznikowa gospodarzyła, przebywając w pierwszych latach małżeństwa w domu rodzicielskim. Działwy przybywało z każdym rokiem, a po dwu córkach: Ludwice oraz Aleksandrze, urodzonych w Sierosławicach, przyszedł na świat z upragnieniem oczekiwany syn, któremu na chrzcie świętym nadano imiona Jana Henryka. Ujrzał nasz wojownik światło dzienne w dniu dwudziestym dziewiątym sierpnia 1755 roku w Pierzchowicach, pod Bochnią, dokąd przeniosła się Dąbrowska dla objęcia własnego gospodarstwa, gdyż wieś ta była własnością jej rodziców. Już na dwa lata przed urodzeniem się syna kupił Dąbrowski, ówczesnym zwyczajem, kom-

panię w pułku, w którym dotychczas służył, a ponieważ kapitan był zarazem administratorem swego oddziału, przeto też zapobiegliwa małżonka postarała się o puszczenie jej w dzierżawę na dogodnych warunkach dóbr królewskich Osieka, w województwie lubelskiem, skąd dostarczała wszelkich prowiantów konsystującemu w Warszawie mężowi.

W Osieku upływały dziatwie Dąbrowskich pierwsze lata życia pod serdeczną opieką matki, jakiej im niebawem miało zabraknąć. Wybuch wojny siedmioletniej kres położył szczęściu młodej pary. Mąż wraz z pułkiem pospieszył na widownię walki do Czech, a tymczasem osierocona małżonka wpadła w suchoty, które pod wpływem tęsknoty, rozłąką wywołanej, tak szybkie czyniły postępy, iż kapitan Dąbrowski powróciwszy za urlopem z początkiem 1758 roku do Osieka, przybył jedynie po to, by pożegnać ukochaną towarzyszkę życia.

Zmarła na jego rękę w dniu siódmym stycznia t. r., licząc zaledwie trzydziesty rok życia. Powinność żołnierska powoływała zboląłego wdowca do obozu. Został przeto drobną dziatwę pod opieką babki, sam zaś powrócił do służby. Następne dwa lata upływały małemu Henrykowi — tego bowiem imienia od dziecka używał w Pierzchowicach — w domu generałowej Lettowej i dopiero w siódmym roku życia odwieziono go z polecenia ojca do Kuchar, gdzie wspólnie z swymi braćmi Kępieńskimi miał pobierać nauki pod dozorem przysłanego z Saksonii mentora. — „Nie mogę wypo-

wiedzieć — czytamy w wspomnianej już autobiografii generała, z jakim przywiązaniem i starannością wuj i ciotka obchodzili się ze mną. Uważali oni sobie istotnie za obowiązek w niczem nie dawać pierwszeństwa nademną żadnemu z swoich synów, gdyż wszystko miałem wspólne z nimi. A jeżeli kiedy małe, dziecinne spory między nami powstały, i wuj i ciotka zawsze mnie za niewinnego uznali. W istocie chcieli mi oni niejako nieszczyćście z osierocenia matki i z wystawienia ojca na niebezpieczeństwa osłodzić i ciężar jego zmniejszyć, chociaż ja wówczas tego, jako dziecko, ani nie czułem, ani też poznać nie mogłem. Byliśmy też wszyscy trzej cioteczni (Jan i Karol Kępieńscy tudzież Krystyan Lettow), jak bracia rodzeni między sobą i kochamy się aż do tego czasu. Szczególniej zaś najstarszy, Jan Kępieński, który o kilka miesięcy jest młodszy odemnie, był moim nierozłącznym towarzyszem...”

Nie dziw przeto, iż po ukończeniu walki, gdy Dąbrowski, już jako major, powrócił do kraju, syn jego jedyny nie poznał rodzica, gdyż, jak sam powiadał, nie mógł wcale pojąć, aby miał innego ojca, prócz wuja Kępieńskiego, ani inną matkę, prócz ciotki. Tem też boleśniejsze dla Henryka musiało być rozstanie z domem, który za własny uważał. Musiał jednak wraz z ojcem udać się do Saksonii, gdyż z chwilą śmierci Augusta III. i elekcji Poniatowskiego wszystkie pułki saskie, rozłożone dotychczas w Polsce, powracały w granice elektoratu. Garnizon majora Dąbrowskiego znajdował się w Hojerswerdzie, w Luzacyi, dokąd też udał się

wraz z synem w roku 1766, podczas gdy cała rodzina Lettowów, wyznająca, jak wspomniano, kalwinizm, musiała szukać chwilowego przytułku na Śląsku pruskim, uchodząc przed prześladowaniem dyssydentów, jakiego się dopuszczali Barszczanie.

Wraz z jenerałową Lettowową i z obiema córkami Dąbrowskiego przebywała też w Pacawicach, na Śląsku, rodzina Kępieńskich, która, rzuciwszy swe posiadłości na łaskę losu, stroniła statecznie od wojny domowej, zakłócającej wewnątrz dzierżaw Rzeczypospolitej. Tymczasem major Dąbrowski oddał Henryka, nie znającego dostatecznie języka niemieckiego, do szkół w Kammentz, poczem zabrawszy go do Hojerswerdy, powierzył dalsze jego wykształcenie pułkownikowi Lestocque, który miał syna w tym samym wieku. Edukacya owa domowa nie długo wszakże trwała, gdyż już w roku 1770, a zatem w trzynastym roku życia widzimy Henryka, jako chorążego, (Fahnjunker) w pułku księcia Alberta, w którym ojciec od lat szeregu służył. A jakkolwiek widoków rychłego postąpienia na wyższy stopień na razie brakło, wobec redukcji całej armii saskiej, to przecież musiał w jej szeregach pozostać młodzieniec, ponieważ projekt umieszczenia go w gwardyi koronnej polskiej z powodu nieustannych rozruchów w kraju okazał się niewykonalny. Odbyta w tym celu wycieczka na Śląsk, do rodziny, nie odniosła żadnego rezultatu. Natomiast major Dąbrowski, zachodząc w lata, zapragnął mieć dzieci przy sobie, więc też zabrał od babki do Hojerswerdy obie córki, które ukończyły już

poprzednio pensję w Warszawie. Ożywił się znacznie dom starego żołnierza, ale przyszło mu teraz walczyć z kłopotami pieniężnymi. „Ojciec zaczął się martwić i zapadać na zdrowiu“ — pisze generał w swych wspomnieniach. — „Majątek jego w Polsce był uwikłany, a z szarzy miał tylko bardzo szczupłe dochody. Szczęściem, iż siostry moje kształciły mnie zdołały przykładem swego wychowania, moralności i upodobania w czytaniu książek, tak, iż mi je ojciec zawsze na przykład wystawiał. Dziewczeta te trzymały mnie w klubach, tłumili moją porywczosć i strzegły, abym nie przybierał tonu kordygardy. Szczególniej młodsza, Aleksandra, była dla mnie surową ochmistrzynią, a jej nagany bardziej się obawiałem, niż ojcowskiej. Starsza znów Ludwika wzdychała tylko, gdy wbrew jej woli postępował i zanadto mnie kochała, aby mi prawdę powiedzieć...“

W rzeczy samej niełatwe zadanie miały panny Dąbrowskie, chcąc utrzymać w klubach młodzieniaszka, który już od roku 1772 nosił oficerskie szlify i miał bardzo wiele wolnego czasu do rozporządzenia. Był on tak zwanym agregowanym podporucznikiem, to jest nadliczbowym i bezpłatnym, a ponieważ kompanię zredukowano do dwudziestu pięciu szeregowców, przeto też oficerowie nie mieli nic do czynienia, gdyż o mustrze, o instrucey, tudzież o regulaminie nikt nie pomyślał. Dopiero w dwa lata później został nasz Henryk płatnym podporucznikiem, a ponieważ poczęto w owym czasie myśleć o reorganizacyi armii elektor-

skiej, więc wraz z innymi zabrał się młody oficer do pracy nad przyswojeniem sobie zasad nowego regulaminu, który na próbę zaprowadzono w pułkach jazdy saskiej. W jesieni 1776 roku odbywały się wielkie manewry piechoty w okolicy Budziszyna, na które przybył sam elektor. Pospieszyła więc dla przyjrzenia się tym ćwiczeniom rodzina Dąbrowskich, a przy tej sposobności zawiózł major swego jedynaka w odwiedzinach do dawnego towarzysza broni, podpułkownika Gustawa de Rackel, mieszkającego w tamtych stronach we wsi Loga. Tam poznał dwudziestoletni Henryk o rok od niego młodszą córkę przyjaciela ojcowskiego, Gustawę Henrykę. Była to — czytamy w zapiskach generała — młoda, wesola, bardzo skromnych obyczajów panienka, wychowana do życia domowego i do gospodarstwa. Po pierwszych odwiedzinach nastąpiły częstsze i miłość wzajemna. Przysięgliśmy sobie wzajemność i wierność.

Jakoż pierwsza ta miłość w sercu młodziuchnego oficera nie była przełotnem uczuciem, miłością, o jakie nietrudno w życiu garnizonowem, gdyż Henryk dochował święcie wiary swej wybranej. Przeniesiony w owym czasie z Hojerswerdy do Straubitz'u, utrzymywał z panną de Rackel tajemną korespondencję. „Rodzice nasi wiedzieli wprawdzie o naszym wspólnem przywiązaniu — opowiada Dąbrowski w swych zapiskach — lecz nie przypuszczali, aby się tak głęboko zakorzeniło..“

Miłosny afekt nie przeszkodził wszakże gorliwemu żołnierzowi w pełnieniu obowiązków służbowych

i widocznie już wówczas musiały jego zdolności zwrócić uwagę przełożonych, gdyż w roku 1777 odkomenderowano go wraz z wyborowym szwadronem do obozu pod Grossenhagen, gdzie odbywały się ćwiczenia jazdy na większe rozmiary. Innowacye te nie podobały się rozleniwiałym długoletnią beczynnością oficerom dawnej służby, którzy gromadnie poczęli się podawać do dymisyi, otwierając tem samem młodszym drogę do awansu. Tak więc młody Dąbrowski był już w roku 1777 porucznikiem, a ponieważ dowódcą pułku został zamianowany pułkownik Rackel, stryj panny Gustawy, przeto nietrudno było zakochanemu w bratanicy komendanta, uzyskać przeniesienie do Vittgenau'u, miejscowości, oddalonej zaledwo o trzy mile od wiejskiej siedziby Rackel'ów.

Bezpośrednim zwierzchnikiem Henryka był poczciwy, stary Kurlandczyk, kapitan Wallnus, który przed laty służąc w Polsce, znał dobrze rodzinę Dąbrowskich i doznał od niej pewnych przysług. Odwdzięczał się więc za nie, jak mógł, swemu podkomendnemu, któremu nawet później całe mienie zapisał. Nie pożywił się bardzo spadkobierca ową spuścizną, bo stare kapitanisko był bonvivant, co się zowie, ale w każdym razie ten postępek świadczył o dobrych chęciach testatora...

Wojna sukcesyjna 1778 roku nastąpiła młodeму Dąbrowskiemu sposobność do wyruszenia po raz pierwszy w pole. Pożegnawszy przeto kochankę, udał się wraz z armią nad granicę czeską, gdzie wojska

elektorskie połączyły się z pruskiemi celem wspólnej akcyi przeciw Austryakom.

— Miałem chęć odznaczenia się — powiada o sobie generał — lecz ani wiadomości, ani dostatecznej okazji do tego nie było.

Szczęście natomiast uśmiechnęło się jego ojcu, wynagradzając mu dotychczasowe zawody życiowe. Mianowany na polu bitwy pułkownikiem, otrzymał dowództwo pułku imienia księcia kurlandzkiego, a równocześnie spadła na niego znaczna sukcesya po generałowej Lettowowej, zgasłej w owym czasie w Pierzchowicach. Trudy wszakże obozowe, przebyte podczas ostatniej, kampanii, podkopały do tego stopnia siły starego żołnierza, iż musiał rzucić służbę i szukać pomocy lekarskiej, lecz mimo najtroskliwszej opieki, stan jego zdrowia pogarszał się z dniem każdym i w dniu 28 sierpnia 1779 roku pułkownik Dąbrowski zakończył życie w Dreźnie.

— „Zabrał z sobą do grobu sławę cnotliwego, poczciwego człowieka, odważnego żołnierza i najlepszego w świecie ojca“ — pisze o nim wdzięczny syn. — „Drugiej żony już nie wziął, a ciotka moja, Kępieńska, opowiadała mi, iż to matce naszej na łożu śmiertelnem przyrzekł, chociaż tego po nim nie wymagała. Zostawił on znaczny majątek i zapisał go testamentem nam obojgu żyjącym dzieciom i wnuczce swej a córce mej śp. siostry Aleksandry, Ludwice Barner. (Aleksandra Dąbrowska, zaślubiona porucznikowi Barnerowi, podkomendnemu ojca, zmarła już w kwietniu

1776 r.; w rok później pojął Barner za małżonkę młodszą jej siostrę, Ludwikę). — Niektóre z swych ulubionych sprzętów i znaczny kapitał legował dla mnie z osobna... Na mego ojca spadła wieś Pierzchowice w sukcesyi, którą po jego śmierci odziedziczywszy, potem z powodu nieszczęśliwego stanu ojczyzny a szczególnie z powodu formowania legionów cioteczennemu bratu memu, Janowi Kępieńskiemu, pod pewnymi warunkami odstąpiłem. Pozostałym po ojcu majątkiem podzieliliśmy się, nie używając do działów ani sędziego lub adwokata, ani pośrednika lub świadków. Godna zastanowienia, że szwagier mój Barner w imieniu swej córki do działów należący, był lutrem, siostra moja kalwinką, ja katolikiem, a jednak podzieliliśmy się najzgodniej...”

Po upływie żałoby i uporządkowaniu interesów spadkowych w kraju, ożenił się Dąbrowski z panią swych myśli. Ślub młodej pary odbył się w dniu 28. marca 1780 roku w Łodzie, pod Budziszynem, w obecności najbliższej rodziny, tudzież poczciwego Wallnusa, który Henryka i jego żonę uważał za własne dzieci. Nowożeńcy przebywali zrazu w Lübbenie, gdzie stał pułk Dąbrowskiego, a następnie w Dreźnie, dokąd go przeniesiono jako porucznika do gwardyi przybocznej. Komendantem tego oddziału był Maurycy hr. Bellegarde, wnuk z lewej ręki Augusta II. — matka jego była córką króla i Fatymy — człowiek, nadzwyczajnymi obdarzony zdolnościami, wysoce wykształcony, oraz żołnierz z krwi i z kości. W krótkim stosunkowo

czasie doprowadził on gwardyę przyboczną do tego stopnia doskonałości, iż nie tylko stała się ona wzorem dla całej jazdy saskiej, lecz przykładem, chętnie naśladowanym przez oficerów francuskich, austriackich i pruskich, umyślnie przybywających do Drezna, celem przypatrzenia się temu korpusowi. Hrabia Bellegarde, zamianowany inspektorem jazdy saskiej, poczynił w tej broni wiele ważnych ulepszeń tak pod względem taktycznym, jakoteż co do wewnętrznego porządku w służbie garnizonowej, oraz polnej. Zniósł w kawalerii plagi, żądał należytego traktowania podwładnych oficerów przez przełożonych, zaprowadzał po pułkach biblioteki, a wszystkie jego rozkazy, instrukcye, oraz objaśnienia odznaczały się niepospolitą zwięzłością i jasnością.

Miałem tedy szczęście pod takim służyć mężem — mówi Dąbrowski w ostatnim ustępie swej autobiografii, niedokończonej nęstety — i w gwardyi przybocznej znaleźć oficerów, którzy się już za przykładem pułkownika byli wykształcili i innym za wzór służyć mogli, ^{co} tem korzystniejszem dla mnie było, iżem przybył do tego korpusu z wiadomościami niedostatecznemi, a mnóstwem przesądów, wystawiając sobie, jak i wielu innych, iż nie więcej umieć nie potrzeba, jak tylko regulamin na pamięć, a osobliwie regulamin nowo zaprowadzony w roku 1776, który bez wątpienia jest najgorszy, jaki tylko być może. Zresztą ani nie wiedziałem, aby jaka inna książka mogła być dla nas potrzebna, oprócz owego regulaminu. Postać moja i ży-

wość niezmiernie się podobały pułkownikowi, gdyż w ogólności lubił ludzi młodych, z którymi przy każdej sposobności zapuszczał się w rozmowę. Tym sposobem poznałem nieumiejętność moją i zazdrościłem kolegom, którzy z nim o książkach wojskowych rozmawiać, na wszystko dostateczną mogli dać odpowiedź, albo stosowne w swoim miejscu czynić pytania. To obudziło we mnie chęć naśladowania. Czując zaś potrzebę mentora, któryby mną w tych dobrych chęciach kierować umiał, udałem się do rotmistrza Blüchera, którego pułkownik Bellegarde najwięcej cenił i z nim bardzo często o dziełach wojskowych rozmawiał. Był to człowiek nadzwyczajnie pracowity i cierpliwy, więc też od niego zażądałem rady. Natychmiast pożyczył mi ze swej biblioteki kilka dzieł, traktujących o taktyce i wyjaśniał mi, czego nie zrozumiałem. Brał on jeszcze lekcye matematyki, inżynieryi, rysunków topograficznych i artyleryi, na które i ja bezzwłocznie uczęszczać zacząłem, sposobiąc się z całą usilnością do mego zawodu...”

Dziwną losów ironią, wspomnianym dopiero co mentorem Dąbrowskiego w tajnikach taktyki był nie kto inny, jeno Blücher, późniejszy feldmarszałek i zwycięzca z pod Waterloo!

Dzięki sumiennej a wytrwałej pracy Dąbrowski w krótkim czasie postąpił na rotmistrza gwardyi przybocznej oraz adjutanta hrabiego Bellegarde, na którym to stanowisku pozostał aż do roku 1790.

Wieść o uchwale sejmu konstytucyjnego, podnoszącej liczbę wojska narodowego do stu tysięcy, skło-

niła Dąbrowskiego do poświęcenia swych usług ojczyźnie. Podobno nakłonił go do tego kroku książę Adam Czartoryski, bawiący jako poseł Rzeczypospolitej w Dreźnie, a równocześnie z Dąbrowskim powrócili pod ojczyście znaki: książę Józef Poniatowski i Michał Wielehowski z armii austriackiej, Mokronowski i Zabiello z francuskiej, wreszcie Grochowski z pod komendy króla Fryderyka, tworzącego nieustannie świeże pułki, będące podstawą przyszłej wielkości Prus. Za przykładem Prus szły Rosya i Austria, pomnażające z każdym rokiem swą siłę zbrojną, przekształconą w duchu nowoczesnych wymagań, podczas gdy Polska pogrążona w bezrządzie i ospałości, otoczona przemożnymi sąsiadami, smutny w dziedzinie wojskowości przedstawiała widok.

— Rzeczpospolita stoi bezrządem, więc nie potrzeba wojska ani podatków, bo Europa upaść nam nie pozwoli! — powtarzali w najlepszej wierze domorośli statystyci i politycy, bajający o konieczności utrzymania równowagi europejskiej. Licho zbrojne, niekarne pospolite ruszenie, oraz nieliczny i zaniedbany pod każdym względem autorament cudzoziemski, tworzyły w ich pojęciu siłę zbrojną, dostateczną do zapewnienia Rzeczypospolitej należytej powagi i obrony wobec ościennych mocarstw. Piechota, owa podstawa armii nowożytnej, pozostawała u nas w najgłębszym upośledzeniu, zaś kawalerja narodowa liczyła w swych szeregach więcej dygnitarzy i oficerów rozmaitych stopni, aniżeli szeregowców, zdolnych w rzeczywistości do pełnienia służby

frontowej. Chorągiew pokryta składała się z czternastu „towarzyszy“ oraz z czternastu szeregowców nie-szlacheckiego pochodzenia, zaś cały obowiązek służby panów towarzyszy polegał na tem, że raz do roku zjeżdżali się na tak zwane koło rycerskie, celem odebrania żołdu dla swych pocztowych.

Widziałem nieraz tych oficerów i tych towarzyszków — opowiada Kosmowski w swych pamiętnikach. — Każdy jechał karetą w sześć koni, za nim wozy kuchenne, a przed nim i obok niego kilkunastu dworskich albo luzaków, ubranych w granatowe kurtki z żółtymi guzikami i paliowymi obszlegami. Za przybyciem do chorągwi zaczynały się bale i fetowania. Żadnej tam musztry nie było. Nawet warty nie umieli zaciągać. Jeżeli wystąpiła cała chorągiew w pole, więcej nie umiał nikt komenderować, jak: marsz, nabijaj broń, do ataku! Obroty nieznane im były.

Na równi z piechotą zaniedbaną była artylerya, pozbawiona dowódców zawodowo wykształconych, zaś ogólna organizacya wojska polegała na werbunku, skutkiem czego w szeregach, miasto karnego, wyéwiczzonego żołnierza, znachodziła się zbieranina obieżyświatów, zwabiona trunkiem werbowników, oraz obietnicą lekkiego chleba, a nie mająca najlżejszego wyobrażenia ani o subordynacyi ani też o honorze wojskowym. Próżniactwo, gra, hulanka i błyszczenie szlifami oficerskiemi przez ludzi, obcych zupełnie oficerskiemu rzemiosłu — oto co zastał Dąbrowski z chwilą wstąpienia w szeregi wojska narodowego, rażące rozlu-

źnieniem zupełnem wychowawca niemieckiej, rygorystycznej rutyny.

— Głowę sobie urwać trudno — żali się w owym czasie Dąbrowski, przydzielony w stopniu majora do sztabu generała Byszewskiego — postępować po naszymu w gwardyi, to trzeba głowy wszystkim pourywać, a innemi zastąpić!...

W krótkim tem powiedzeniu malują się wiernie wszystkie kłopoty i nieprzyjemności, z jakimi miał do walczenia Dąbrowski w gronie nowych towarzyszków broni. Już sama jego powierzchowność, twarz gładko wygolona, sztywna postawa, wymowa, skażona cudzoziemskim akcentem, a nie szafująca zbytkiem słów — zjednały mu wśród pocziwych, lecz nie grzeszących wyższem wykształceniem wiarusów, pogardliwe miano Niemca, które go przez długie lata prześladowało. Dodajmy do tego temperament aż nazbyt porywczy, charakter surowy i zimny na pozór, pewną nieprzystępność w obejściu, połączoną z ścisłą służbistością i z nawykniem do porządku, a zrozumiemy łatwo powody niechęci, jaką spotkał wykształcony i zamknięty w sobie major w kole prostodusznych rębajłów, dla których poza wypitką i wybitką nie było życia, ni też użycia. Kampania 1792 roku zastała Dąbrowskiego na stanowisku wicebrygadiera kawalerii narodowej, zaś o przebiegu tej walki, zakończonej haniebnym akcesem Stanisława Augusta do Targowicy, znajdujemy w pamiętniku przyszłego legionisty owo wielce znamienne zapatrywanie: „Armia, licząca sześćdziesiąt tysięcy ludzi,

nie była ani zniechęconą, ani zwątpiałą i była zaopatrzoną we wszystko. Były środki powiększenia jej jeszcze, a w samej Polsce znaleźć można było fundusze na dalsze zaopatrzenie i utrzymanie wojska, tem bardziej, gdyby naród ujrzał był na jego czele swych przedstawicieli. Wprawdzie dowodzili armią generałowie i oficerowie niedoświadczeni, lecz im nie brakło ani odwagi, ani miłości ojczyzny, ani dobrej woli, ani wreszcie zdolności wojskowych, wrodzonych Polakom. Nie wyłączam z ich liczby ani księcia Józefa Poniatowskiego, ani generałów Wielohorskiego i Mokronowskiego, uważanych za stronników królewskich, którzy niewątpliwie byliby się bili na równi z innymi za konstytucyę, wbrew woli nawet samego króla, w razie, gdyby marszałkowie sejmu udali się do armii. Lecz gdy ich ujrzano w nieczynności, opuszczających Warszawę i Polskę zamiast zwołania sejmu, gdy król przystąpił do konfederacyi Targowickiej, a tem samem zostawił Rosyanom oraz ich stronnikom wolność robienia z wojskiem i krajem, co im się będzie podobało, cóż w takim razie miała zrobić armia i jej generałowie?”

Jakoż pozostał Dąbrowski w szeregach wojska narodowego, mimo licznych dymisyj, jakich zażądał w owym czasie korpus oficerski, idąc za przykładem Kościuszki oraz księcia Józefa i z początkiem 1793 r. przebywał wraz z sztabem dywizyi wielkopolskiej w Pyzdrach. Tam też otrzymał Byszewski rozkaz od rezydującej w Grodnie konfederacyi, by cofnął się przed wojskami pruskimi za Pilicę i Bzurę.

Ustępowały tedy nasze wojska ku Łowiczowi, podczas gdy Prusacy wod wodzą Molendorfa zajmowali kolejno Toruń, Wschowę, Międzyrzecz, Poznań, Kargowę i Gniezno, nie napotkawszy nigdzie na poważniejszy opór. Byszewski, człek już wiekowy i nieudolny generał, zawdzięczający swe stanowisko szczególniejszym względom króla; który kilkakrotnie już z własnej szkatuły płacił długi swego ulubieńca, lękał się jedynie osaczenia ze strony nieprzyjaciela i dlatego ustępował bez wystrzału. Zdaje się wszakże, że Dąbrowski na własną rękę stoczył z następującymi zbyt natarczywie Prusakami potyczkę pod Gnieznem. Takby przynajmniej wnosić należało z przemowy posła płockiego Karskiego, który w dniu dwudziestym września t. r. wspomniał w Izbie sejmowej o tem zaszczytnem dla naszego oręża spotkaniu. Z tem wszystkim Gniezno wpadło w moc pruską, a Dąbrowski podał swemu zwierzchnikowi plan wystąpienia zaczepnego przeciw Prusakom. W tym celu należało się zbliżyć pod Warszawę i zaopatrzywszy się w brakującą amunicję, oraz po połączeniu się z załogą stolicy, wyruszyć przeciw nieprzyjacielowi. W razie, gdyby Prusacy naciskać chcieli zbyt silnie naszych, wskazywał on jako drogę odwrotu Gdańsk, gdzieby można wyczekiwać pomocy Francyi, o której — jak powiada w swych pamiętnikach Dąbrowski — patryoci opowiadali tyle nadzwyczajnych rzeczy.

Byszewski zgodził się w pierwszej chwili na projekt Dąbrowskiego, lecz nie chciał powziąć stanowcze-

go postanowienia w tej sprawie bez wiedzy króla, oraz swego szwagra, generała Gorzeńskiego, pełniącego przy boku monarchy obowiązki adjutanta. Celem porozumienia się z Gorzeńskim wyprawiono do Warszawy Fiszera, podówczas kapitana, cieszącego się podczas kampanii dziewięćdziesiątego drugiego roku szczególniejszem zaufaniem Kościuszki, a równocześnie cała dywizja zbliżyła się o dzień marszu do stolicy, zajmując pozycję między Grodziskiem a Tarczynem. Dla upozorowania tego ruchu wysłał Byszewski raport, w którym donosił, iż party przez Prusaków, a оголоcony z artyleryi i z amunicyi, dąży ku Warszawie, by otrzymawszy potrzebne zaopatrzenie powrócić na dawne stanowisko.

Król i Gorzeński zajęli wobec przedłożonego im planu wyprawy przeciw Prusakom stanowisko wyczekujące, nie oświadczając się zrazu ani za, ani też przeciw tej myśli, a tymczasem Fiszer wśród oficerów garnizonu warszawskiego znalazł bardzo wielu popleczników, gotowych dołączenia się z dywizją wielkopolską i już komenda Byszewskiego zamierzała wkroczyć w trzech kolumnach do Warszawy, celem opanowania arsenału, gdy niespodzianie przybył do Grójca generał Gorzeński i w poufnej rozmowie zniewolił chwiejnego dowódcę do zmiany postanowienia. O ubieżeniu arsenału nie mogło być zresztą i mowy, choćby z tego powodu, że Igelstrom, uprzedzony przez dwór królewski, wzmocnił załogę rosyjską w stolicy i wznosił na Woli

baterię, bronioną przez dwadzieścia dział, a zamykającą przystęp do miasta.

Tak więc nie nie wskórawszy, musiał Byszewski oddalić się z pod Warszawy na wyznaczone mu leże w województwie sandomierskiem. Główna jego kwatera mieściła się w Końskich, a lewe skrzydło dywizyi, rozłożone w okolicy Małogoszczy i Radoszyc, stykało się z częścią dywizyi małopolskiej, dowodzonej przez partyotycznego generała Wodzieckiego, przebywającego w Krakowie. Aliści zaledwo żołnierz zajął zimowe kwatery, rozeszły się wśród wojska niepokojące wieści, sprzeczne co do szczegółów, lecz zgodne pod względem zamierzonego rozbrojenia armii narodowej. I tak utrzymywano, że dzieła tego dokonają Prusacy, to znów Austriacy, zbierający swe siły pod Bochnią, i nie brakło też wieści, że korpusy rosyjskie, działając wspólnie z cesarskimi, otoczą naszych i rozbiorą, jak to uczynili z partjami wojsk narodowych, rozrzuconych na Ukrainie i na Podolu. Pogłoski te niepokoili zarówno dowódców, jak podwładnych, niepewnych, co im najbliższa chwila przyniesie, więc też Byszewski wyprawił Dąbrowskiego, by pod pozorem odwiedzenia krewnych w Krakowskim, porozumiał się z Wodzieckim na wypadek zaskoczenia przez wojska nieprzyjacielskie. Zapewny Wodziecki nie wahał się ani na chwilę ze zgodą, iż w razie napadu obie dywizye będą się wspólnie broniły do upadłego; więc rozpatrując rozmaite projekty na przyszłość, podniesiono znów podczas narad w Krakowie myśl skupienia w okolicy tego miasta całej ar-

mii polskiej, by na jej czele przerznąć się do Francyi. Omówiono nawet wszelkie szczegóły tego planu, który z powodu wielkiego oddalenia wojsk pruskich i rosyjskich nie przedstawiał dla dywizyi Byszewskiego i Wodzickiego znaczniejszych trudności.

W przeciągu dni czterech mogły się one skupić między Modlnicą a Bronowicami i nagle wtargnięciem do Galicyi zasłonić ruch równoczesny pułków, rozrzuconych na Wołyniu i Podolu, dążących pod Sandomierz, gdzie miał być punkt zborny wszystkich oddziałów. Następnie na Śląsk, Morawy, Bawaryę i Szwabię miał się odbywać pochód ku Renowi, celem połączenia się z wojskami francuskimi. Słabą stroną tego projektu, powtarzającego się kilkakrotnie w przededniu legionów, przedstawiała okoliczność, iż armię litewską, tudzież garnizon warszawski, odcięte licznymi oddziałami nieprzyjacielskimi, należało pozostawić ich losowi.

Pouczony niedawnem doświadczeniem, że Byszewski zbyt ciężkim jest do wyprawy tego rodzaju, godził się Dąbrowski na powierzenie dowództwa nad połączonymi dywizyami Wodzickiemu, który z swej strony miał czynić starania w celu pozyskania Kościuszki w charakterze naczelnego wodza, oraz nakłonienia bawiących za granicą posłów sejmowych, zwolenników ustaw majowych, by łączyli się z armią, jako przedstawiciele narodu. Narady z Wodzickim przeciągnęły się do pierwszych dni czerwca t. r., a za powrotem do Końskich zastał Dąbrowski swego zwierzchnika w najwyższej trwodze z powodu zagrażającego mu — jak



utrzymywał — ze strony wojsk prusko-rosyjskich rozbrowienia. Przybyły nie starał się bynajmniej uspokoić tchórzliwego generała, przed którym też nie myślał wyjawiać rezultatu narad, odbywanych w podwawelskim grodzie, lecz owszem nakłaniał Byszewskiego, by celem odparcia zagrażającej mu napaści okopał się w okolicy Bronowic. Ale i na tę radę, która w gruncie rzeczy zbliżała do siebie obie dywizye, nie mógł się zgodzić wiecznie niezdecydowany generał i odniósł się do Ożarowskiego, dowodzącego zastępczo armią, z zapytaniem, jak mu postąpić wypada. Oczywiście, niedługo mu przyszło czekać na odpowiedź, gdyż pan hetman, jako żarliwy adherent dążącej do redukcji armii Targowicy, przysłał mu rozkaz pozostawienia dywizyj na rozrzuconych bez żadnej osłony stanowiskach. Tej samej treści rozkaz otrzymał równocześnie Wodzicki i myśl wyprawy nad Ren spełzła na niczem.

Trzeba więc było uzbroić się w cierpliwość i pozorną uległością w błąd wprowadzić zwolenników Moskwy, rządzących despotycznie w nieszczęśliwej Rzeczypospolitej. Z tego też zapewne powodu widzimy w połowie grudnia t. r. Dąbrowskiego w Warszawie, dokąd powołano go w charakterze członka komisji wojskowej, koronnej.

Otwarcie obrad tej władzy nastąpiło zaraz po ukończeniu sesji sejmku Grodzieńskiego, w dniu szesnastym grudnia 1793 roku pod prezydencją hetmana Ożarowskiego, a w składzie komisji, obok ludzi, powszechną wzdumą okrytych, jakimi byli Aleksandrowicz, Mią-

czyński, Łobarzewski i niezdara Byszewski, znaleźli się też komendant garnizonu warszawskiego, generał Cichocki, jeden z głównych aktorów wielkotygodniowej insurekcji, tudzież Dąbrowski. Jeżeli jednak Cichocki zdołał wpływ znaczny wywierać na Ożarowskiego i pozyskać nawet zaufanie chytrego Igelstroma, to mniej układny Dąbrowski omal że życiem i czią nie przypłacił udziału swego w znenawidzonej władzy, która zadecydowawszy redukcję wojska, przyspieszyła samochcąc wybuch Kościuszkowskiego powstania i zakończyła istnienie już po Raławickiej batalii, zapisawszy w swych księgach, w dniu jedenastym kwietnia, rezolucję Rady Nieustającej o szerzeniu się nieposłuszeństwa w wojsku, oraz o rozprzężeniu niemal całkowitem sił krajowych...

Już na miesiąc przedtem, w dniu dwunastym marca, podniósł Madaliński sztandar powstania w Ostrołęce i zabrawszy część swej brygady, w sile siedmiuset jeźdźców wyruszył wzdłuż nowej granicy pruskiej ku Mławie. Zaraz w pierwszej chwili wysłał Igelstrom przeciw buntownikowi i burzycielowi spokojności publicznej — za jakiego komisya wojenna ogłosiła Madalińskiego — brygadyera Bahrejewa, który wszakże zdołał tylko przeszkodzić wyruszeniu z Ostrołęki kilku spóźnionym szwadronom. Zagarniętych ludzi, konie i bagaże oddał Bahrejew Dąbrowskiemu, który ordynansem komisji z dnia siedmnastego marca przeznaczony został na komendanta pozostałej w miejscu części brygady, zaś jeszcze w dniu siódmym kwietnia przysłano mu

wyraźne polecenie z Warszawy, by komendę swą nazywał własnem imieniem, ponieważ Prusacy, posłyszawszy nazwisko Madalińskiego, zaatakują bezwzględnie jego żołnierzy. Do chwili wybuchu insurrekcyi w Warszawie zachował się Dąbrowski spokojnie, ale na pierwszą o wypadkach stołecznych wieść wyruszył na czele swych szwadronów z Ostrołęki i spotkawszy między Tykocinem a Zambrowem tabor rosyjski, zabrał do niewoli oficera wraz z dziesięcioma szeregowcami, tudzież sześć wozów ładownych płótnem i pieniędzmi.

W dniu dwudziestym siódmym kwietnia, wszedł Dąbrowski wraz z swą komendą do Warszawy, gdzie groźna przeciwko niemu podniosła się burza. Sprawcą jej był Starzyński, starosta brański, dowodzący pospolitem ruszeniem na Podlasiu, który korzystając z tego, iż Dąbrowski nie zawiadomił go o swych zamiarach, oskarżył przybyłego wraz z towarzyszącymi mu oficerami Duczymińskim oraz Więckowskim, przed Radą Zastępczą tymczasową, jako nieprzychylnych sprawie powstania. Oskarżenie odesłano do rozpatrzenia wydziału wojskowego, w składzie którego pod prezydencyą Mokronowskiego zasiadali Horain, Makarowicz, Tykel, Węgierski i Wybicki. — „Lud uprzedzony — czytamy w pamiętniku tego ostatniego — otaczał obwinionych nienawiścią, jak zwykle w rewolucyi, do której gmin ciemny się miesza. Dość, aby jeden zaślepiony krzyknął: zdrada! już tłuszcza wyrok śmierci pisze. Skoro Dąbrowski stanął w naszym departamencie, przemówiłem śmiało do tłumu, że chcąc pokonać

nieprzyjaciela, trzeba nam szanować wojskowych, że na jednostronne zaskarżenie nie można oficera z talentami i charakterem potępiać. Niech pan Starzyński złoży dowody skargi, a jutro departament wyda wyrok sprawiedliwy. Spoglądał na mnie z podziwieniem Dąbrowski, bośmy się jeszcze nie znali, a i Mokronowski zalecił mu, aby się na dzień jutrzejszy w departamencie stawił, całą noc zaprzatnałem się szczerze tą sprawą i znalazłszy ją jak najlepszą na stronę Dąbrowskiego, wygotowałem rezolucyę, która go niewinnym i wielce użytecznym do służby krajowej ogłosiła. Stanęli do wyroku Starzyński, Dąbrowski i gmin, co go otaczał. Z powagą i godnością ogłosiłem zdanie departamentu wojskowego, ocalając honor i obywatelstwo Dąbrowskiemu. Zamilkł Starzyński i gmin uwiedziony — przekonał się o niewinności oskarżonego“.

Takiem było pierwsze spotkanie mężów, którzy odtąd przez szereg lat szli ręka w rękę w każdej sprawie publicznej.

Zajście to miało miejsce w dniu trzydziestym kwietnia, jak świadczy ogłoszenie Rady Zastępczej, publikowane w szóstym numerze *Gazety Wolnej Warszawskiej*, o „oddaniu usprawiedliwienia Janowi Dąbrowskiemu, wicebrygadyerowi, Janowi Duczyńskiemu i Józefowi Więckowskiemu, porucznikom kawaleryi narodowej“. Oddział Dąbrowskiego przeobrażony w pułk Mazurów konnych, przyłączony został do korpusu generała Mokronowskiego, rozłożonego w obozie pod Błoniem, a następnie pod Marymontem, lecz w maju

i czerwcu ścierał się niejednokrotnie z nieprzyjacielem a zwłaszcza z plądrującem kraj kozactwem. I tak z różnych wzmianek, podawanych w dziennikach współczesnych, dowiadujemy się, iż w dniu 22. maja wysłany przez Dąbrowskiego, stojącego pod Nową Wsią, patrol ścigał rabujących kozaków aż pod Białą i odbiwszy im zagrabione bydło, trzydziestu napastników położył trupem na miejscu. Niemniej szczęśliwem dla naszych było starcie z uprowadzającym dobytek mieszkańców kozactwem pod Gostomią (w dniu 28. maja), gdzie odebrano nieprzyjacielowi przeszło 500 sztuk bydła, zaś w kilka dni później podjazdy Dąbrowskiego, wysłane w okolicę Nowego Miasta, spotkały Prusaków i dwudziestu kilku przeciwników ubiły na miejscu, nie licząc pojmanyh w niewolę jeńców. Do ważniejszej utarczki przyszło znów w dniu 9. lipca pod Błoniem, gdzie Mokronowski wraz z komendami Dąbrowskiego i Poniatowskiego uderzył na Prusaków, których po uporczywej walce zmusił do cofnięcia się o całą milę z zajmowanych stanowisk. W tym czasie Dąbrowski, piastujący już stopień generała-majora, prócz pułku Mazurów, nie dochodzącego zresztą do trzystu głów, miał pod swymi rozkazami oddział pospolitego ruszenia, zbrojny w piki tudzież cztery armatki, dostarczone mu z arsenału warszawskiego.

W pierwszych tygodniach oblężenia stolicy, rozpoczętego, jak wiadomo, przez wojska pruskie i rosyjskie w połowie lipca t. r., dostało się Dąbrowskiemu stanowisko pod Czerniakowem, skąd w dniu pierwszym

sierpnia wykonał szczęśliwy rekonesans na Augustów i Zawady aż za Wilanów. Podczas tej wycieczki spalono nieprzyjacielskie zapasy siana i słomy za Wilanowem i zabrano znaczne zasoby żywności oraz rekwizytów, porzucone przez uciekających w Augustowie i w Zawadach.

W rozkazie dziennym ogłoszonym wojsku dnia pierwszego sierpnia, dziękował Kościuszko Dąbrowskiemu, „który z komendą swoją pod Czerniakowem szczęśliwie nieprzyjaciela poraził, położywszy na placu 29 kozaków i strzelców konnych, 50 strzelców pieszych, zyskał 37 karabinków i 12 koni. Ze swojej strony generał Dąbrowski trzech tylko ludzi stracił“...

Nie poprzestał wprawdzie Kościuszko na tej zaszczytnej wzmiance, lecz zaofiarował Dąbrowskiemu jako nagrodę za ów czyn tabakierkę złotą, którymi to darami pamiątkowymi zwykł był wynagradzać odznaczających się generałów.

Niebawem znów świeżą sławą okrył się nasz generał.

Było to w ostatnich dniach sierpnia, gdy Prusacy, znużeni bezcelowem ostrzeliwaniem Warszawy, postanowili przypuścić szturm stanowczy do oblężonego miasta. Gwałtowne ataki rozpoczęły się już w dniu 26. sierpnia o świcie, kiedy to pod osłoną silnego ognia z usypanych między Wolą a Gorcami baterij, kolumny szturmowe przełamały linię obronną i wyparły Polaków z wszystkich pozycyj aż do Powązek i Marymontu. Nadbiegł wprawdzie w chwili krytycznej książę Józef

Poniatowski z jazdą i powstrzymał dalszy postęp nieprzyjaciela, lecz gdyby król pruski był poparł wówczas szturmujących świeżymi siłami, to mógłby w dniu owym wkroczyć jako zwycięzca do Warszawy.

Kłeska ta wywołała aż nazbyt może ostre zarzuty przeciw księciu Józefowi, którego obwiniano, iż owej nocy nie przebywał w obozie. Z drugiej znów strony, Poniatowski winę niepowodzenia składał na podpułkownika Wesołowskiego, komendanta straconej pozycyi, oraz na porucznika Aignera, domagając się oddania obu oficerów pod sąd wojenny. Tak się też stało. Wesołowski skazany został na miesiąc więzienia w kajdanach, zaś Aigner na utratę stopnia. Równocześnie jednak naczelnik powierzył dowództwo obozu marymonckiego Dąbrowskiemu, jako zastępcy księcia Józefa, który zgłosił się jako chory.

Prusacy, opanowawszy Wawrzyszew, tudzież Góry Szwedzkie, obrócili istniejące tamże baterye przeciw Polakom i w ciągu następnej doby wykończyli przekop pod folwarkiem powązkowskim celem ostrzeliwania najbliższych, tak zwanych wysokich bateryj. W dniu 28. sierpnia uderzył nieprzyjaciel na pozycję Dąbrowskiego, równocześnie na całej linii, poczynawszy od Powązek, a skończywszy na Bielanach. Zrazu szczęście sprzyjało Prusakom, którzy zdobyli trzy szance i usadowiwszy się w lasku powązkowskim, zapalili okoliczne domostwa. Ale Dąbrowski nie myślał tak łatwo o odwrocie. Odebrał on przedewszystkiem lasek powązkowski atakującym, a poparty przez przyslaną z rozkazu naczeln-

nika piechotę, oraz przez jazdę Kołyszki, nie tylko odparł nieprzyjaciela, lecz nadto zabrał dwie baterye, przez niego usypane. Po południu usiłował nawet wyprzeć Prusaków z zajętych przed dwoma dniami bateryj, lecz znaczna przewaga liczebna po stronie przeciwnika uniemożliwiła mu wykonanie tego zamiaru. Równocześnie zacięty bój wrzał pod Marymontem w nadwiślańskich parowach i podpułkownik Rymkiewicz za okazane męstwo zamianowany został na polu walki generałem. Już słońce zbliżało się ku zachodowi i żołnierz nasz, walczący od świtu bez jadła i napoju, upadał ze znużenia, gdy Prusacy raz jeszcze uderzyli z całą siłą, lecz odrzuceni, cofnęli się ze wstydem, straciwszy do tysiąca ludzi w rannych, w poległych i w jeńcach. Dąbrowski w raporcie, przedłożonym Naczelnikowi, oblicza swe straty na siedmdziesięciu rannych i zabitych a zarazem oddaje najwyższe pochwały waleczności swych żołnierzy oraz mieszczan warszawskich, walczących u jego boku pod wodzą kapitanów municypalnych Traugutta i Majewskiego. Z godną uznania szlachetnością nie omieszkał również generał wyrazić się pochlebnie o zarządzeniach swego poprzednika. „Byłbym przymuszony“ — słowa raportu Dąbrowskiego — „cofnąć się do okopów Warszawy, lecz dystrybucya wojska przez księcia generała Poniatowskiego tak dobrze urządzoną była, że mi łatwo było dać silny nieprzyjacielowi opór i jeden korpus drugim wspierać...”

Z szczególniejszym naciskiem podniósł Dąbrowski waleczność dziewiątego pułku piechoty, którego kome-

dant, pułkownik Gordon, lubo ciężko ranny, nie chciał odstąpić swego batalionu, a nie mogąc mówić, znakami porozumiewał się z brygadyerem Kołyszka, by go kto w dowództwie zastąpił.

„Dzień dwudziesty ósmy“ — mówi Dąbrowski w swym raporcie — „pełen chwały dla waleczności ludu polskiego i znacznej straty nieprzyjaciół, miał jeszcze przykłady osobistego bohaterstwa. Jeden obywatel warszawski, raniony mocno w piersi, prowadzony do wozu, naszedł na artylerzystę jęczącego, któremu kula urwała nogę. Przystąpiwszy, zaczął go ścisnąć i całować. Zachęcał, aby stale znosił cierpienia dla ojczyzny, które, jak mniema, obudwu o śmierć przyprawia. Godni ci ludzie są, aby z imienia znani publiczności byli. Obywatel Wirtelewicz, akademik, dziesiętnik, który dawniej ludowi zdaniem i radą przewodniczył, w akcji prowadził go śmiało na baterie nieprzyjacielskie i wtedy zginął“.

Nie zwlekał też Kościuszko z godnem wynagrodzeniem zasług bohaterów, którzy w tym dniu pamiętnym własną piersią ocalili zagrożoną stolicę i zaraz na placu bitwy — jak donosi *Gazeta Wolna Warszawska* — wręczył Dąbrowskiemu pierścień z napisem: „Ojczyzna obrońcy swemu 28 sierpnia pod Powązkami“, podczas gdy Rymkiewicz oraz inni odznaczający się w tej potrzebie oficerowie otrzymali od naczelnika zegarki, tabakierki i pierścionki złote.

Pierścień, zaofiarowany wówczas Dąbrowskiemu, dał prawdopodobnie Kościuszcze asumpt do ustanowie-

nia w tym kształcie honorowego znaku, którym zamierzył odszczególnić najwaleczniejszych z walecznych. Zaraz też po odstąpieniu Prusaków z pod Warszawy, a zatem w dniu siódmym lub ósmym września pojawił się w pismach współczesnych rozkaz naczelnika, opiewający, jak następuje:

„Samowładcy ustanowili w wojskach swoich powierzechowne dystynkeye; potrzebują oni zachęcać wojsko swe tem silniej, im wojny, które dla pychy tylko swojej prowadzą, nie interesują żadnego z walczących. Inny jest przypadek wojska naszego, kiedy w niem oficer i żołnierz wie, za co się bije, wie, że walczy za najechaną i skrzywdzoną ojczyznę i od ojczyzny tylko nagrody i wdzięczności spodziewać się powinien. Tym celem najwyższy Naczelnik dla dystyngujących się oficerów i żołnierzy ustanowił dystynkeyę w obrączkach złotych z najchlubniejszym dla serc obywatelskich napisem: „Ojczyzna swemu obrońcy“. Dystynkeya ta dawana będzie za zeznaniem komisji, z trzech oficerów złożonej, którzy zaświadczą, że potykający się zasłużył sobie na nią. Imię odbierającego podane będzie do gazety, by współziomkowie wiedzieli, komu cześć i szacunek oddawać, wyrazi się i numer obrączki dlatego, aby się kto nie znalazł, który nie odebrawszy tej nagrody, ubocznieby ją sobie sporządzić kazał.“

Wbrew końcowemu postanowieniu odezwę Naczelnika, na sześćdziesiąt obrączek honorowych, rozdanych podczas trwania insurekcyi przypadło pięć pierścieni, nieoznaczonych liczbą porządkową. Prócz Dąbrowskiego

otrzymali bowiem nieliczne obrączki: generał Gendroye, major Molski, kapitan Woliński, tudzież generał-major Zieliński. Trzydziestu generałów, oficerów i podoficerów, wymienionych imiennie w rozkazach dziennych i w gazetach, otrzymało numerowane pierścienie. zaś pozostałe dwadzieścia pięć obrączek rozdano nie wiadomo komu, gdyż samoistni komendanci otrzymywali od czasu do czasu z rąk Kościuszki pewną ilość obrączek dla odznaczenia niemi wyróżniających się walnością oficerów. Dziś obrączki Kościuszkowskie należą do nadzwyczajnych rzadkości. Ze zbiorów publicznych jedyny pierścień tego rodzaju posiada muzeum narodowe w Krakowie.

Dzień dwudziesty ósmy sierpnia, upamiętnił się równoczesnym atakiem Polaków na Wolę, gdzie Zajęczek zaskoczył niespodzianie uszpionych wśród okopów Prusaków. Placówki ich zaledwo zdołały dać ognia, gdy Polacy byli już w wnętrzu baterii i zagwoździwszy sporo dział, z ujętymi jeńcami powrócili do obozu. Był to już ostatni bój z armią sprzymierzoną pod murami stolicy. W dniu pierwszym września próbował jeszcze nieprzyjaciół układow i w tym celu przybył do Zajęczka generał Manstein. Wysłannik pruski wprost zapytywał Zajęczka, czyby w jaki sposób nie można doprowadzić do zaprzestania obustronnego kroków nieprzyjacielskich. Otrzymaawszy wszakże odpowiedź, że pan jego raz już zerwał przymierze z narodem polskim, szczerze szukającym jego przyjaźni, powrócił do Manstein z niczem do swoich. Przez cały dzień następny

utrzymywali Prusacy gęsty ogień w kierunku Czystego, zaś w dniu piątym września z nadzwyczajną gwałtownością ostrzeliwano Warszawę z baterji wolskich. Tegoż dnia w południe, pojawił się — wedle relacyi Niemcewicza — w namiocie Kościuszki kurjer, obdarty i tak znużony, iż stawiony przed Naczelnikiem, padł u nóg jego zemdlony. Przywoził wiadomość o powstaniu w Wielkopolsce.

Zdaje się wszakże, że tym razem pamięć zawiodła sędziwego poetę, spisującego swe wspomnienia w późnym już wieku, gdyż według współczesnego doniesienia *Gazety rządowej*, już w dniu trzecim września przybyli do obozu Kościuszki wysłannicy wielkopolscy z doniesieniem o insurrekeyi. „Żądza odzyskania utraconej wolności ojczyzny zapaliła serca obywateli Wielkopolskich“ — pisze przy tej sposobności *Gazeta Wolna Warszawska* — „porwali oręż, wytepełili znaczną ilość najezdźników i zrzuciwszy musiem włożone jarzmo, wzięli jedno hasło z nami: żyć wolnymi, albo umrzeć. Siła ich zbrojna codzień się powiększa... Wznośmy modły do Boga Zastępów, czynmy mu dzięki, że rozszerza ducha powstania naszego i pomnaża liczbę obrońców ojczyzny!“

W dobę później Warszawa wolna była od oblężenia. W nocy z piątego na szósteo września wyruszyli Rosyanie pod wodzą Fersena w Lubelskie, podczas gdy armia pruska, podzielona na trzy kolumny, udała się w stronę Częstochowy, Piotrkowa i Zakroczyma. Odwrót Prusaków był tak nagły, iż już w Raszynie po-

zostawili przeważną część swego taboru i lazarety. Po-
spiech ten wszakże nie przeszkodził ustępującym w ra-
bunku i w niszczeniu okolic, jakimi przeciągali. W ten
sposób pragnęli zapewne powetować sobie utraconą pod
murami Warszawy sławę żołnierską. Oswobodzona od
najeźdźników stolica zaledwo uwierzyć mogła tak na-
głemu odwrotowi armii obleźniczej, który niemniej za-
dziwił całą Europę wobec świeżych jeszcze zapewnień
gazet niemieckich, twierdzących stanowczo, że załoga
Warszawy jest bandą powstańczą, pozbawioną karności
i niezdolną do stawienia poważniejszego oporu. Wszak
niedawno temu Prusacy obwinili obleżonych o zatrucie
studzien przedmiejskich i wieść tę rozpowszechnili
w pismach berlińskich, nie zdoławszy niczem udowo-
dnić tak ciężkiego podejrzenia, zaś król Fryderyk Wil-
helm, zajmwszy Wolę, ogłosił przed światem, iż jest
panem głównego przedmieścia Warszawy, które prze-
zwał już Louisburgiem!

O powodach ustąpienia sprzymierzonych z pod
Warszawy najdziwaczniejsze krążyły wieści. Mówiono,
że carowa nie życzyła sobie zajęcia stolicy przez Pru-
saków, to znów opowiadano o jej niechęci wobec króla
Fryderyka, który z tak przemożnymi siłami nie zdołał
zgnieść Polaków. Być też może, że do odwrotu skło-
niły króla pruskiego znaczne straty w żołnierzach, któ-
rzy bądź to ginęli w walce pod okopami, bądź też pa-
dali ofiarą chorób, dziesiątkujących ich szeregi, koczują-
ce na mokrej płaszczyźnie, pozbawione zdrowej ży-
wności i wody. Wszystkie te powody mogły się przy-

czynić w znacznej części do rozłączenia się Prusaków z Rosyanami. Najważniejszą wszakże przyczyną tak niespodziewanego zwrotu rzeczy było powstanie wielkopolskie.

Prusacy ściągnawszy wszystkie swe siły pod Warszawę, pozostawili szczupłe jeno załogi w Poznaniu, Kaliszu, Piotrkowie i Sieradzu. Skorzystało z tego obywatelstwo wielkopolskie i podpisawszy w dniu dwudziestym sierpnia akces do powstania, rozpoczęło walkę z najeźdźcą. Pierwsze powstały Kujawy. Kasztelan Mniewski na czele stu zbrojnych opanował w dniu dwudziestym sierpnia Brześć Kujawski i Włocławek, oraz zagarnął spławiany Wisłą transport amunicji wraz z towarzyszącą mu osłoną wojskową.

Za przykładem Mniewskiego poszedł też starosta Ignacy Bleszyński w Sieradzkim. Zebrani pod jego przewodem powstańcy, uzbrojeni w niedostatek oręża w szyny żelazne, uderzyli w dniu dwudziestym trzecim sierpnia na załogę pruską w Sieradzu i po czterogodzinnej walce zniewolili ją do poddania się. Ruszyły się województwa: kaliskie w Pyzdrach, gnieźnieńskie w Gnieźnie, poznańskie pod Gąbinem. Ostatnia z tych prowincyj Rzeczypospolitej powstała w roku dziewiędziesiątym czwartym Wielkopolska, ale też w ciągu trzech dni płomień powstania ogarnął cały zabór pruski. Żołdactwo najeźdźcze, ustępując z kraju, niszczyło wszystko za sobą. W Sieradzu złupili Prusacy kościół Dominikanów, ubili księdza zakrystyana i porozrzucali komunikaty po ziemi, skąd je lud pobożny podnosił,

mimo zniewag i razów, doznawanych od rozszalałego żołnierstwa.

Wojsko rabowało dwory szlacheckie, znęcało się nad bezbronnemi kobietami, unosiło z sobą srebra kościelne i wymuszało kontrybucye, pod rozmaitymi pozorami nakładane. Rozeszła się nawet wieść, że Paulinom częstochowskim nakazano spisać i spakować skarbiec klasztorny celem zabrania takowego do Berlina, zaś obywateli znaczniejszych, jak kasztelana Kraśnickiego, łowczego Bartochowskiego i wielu innych pozrywali pruscy komendanci z domów i uwozili do śląskich fortec. Mimo to szlachta, mieszczenie a nawet wieśniacy garnęli się do powstania tem gorliwiej, ile że czuli swe opóźnienie w dziele oswobodzenia. W Gnieźnie dwaj kosynierzy, pozostawieni na straży przy zdobytym magazynie wojskowym i zapomniani przez swój oddział, ustępujący z miasta wobec przeważnych sił nieprzyjacielskich, nie ruszyli się ani krokiem z posterunku, i nie chcąc się poddać, padli na miejscu.

Król Fryderyk, strwożony groźnym ruchem w Wielkopolsce, odjeżdżając do Berlina, pozostawił hrabiemu Schwerinowi, naczelnemu wodzowi swych wojsk, instrukcyę tej treści, by otoczywszy zdala Warszawę korpusami, rozłożonymi nad Bzurą, Pilicą i Rawką, utrzymywał załogi w województwach krakowskim i sandomierskiem, a przedewszystkiem stłumił powstanie Wielkopolskie. Jakoż Prusacy okrucieństwem starali się utrzymać rokoszan w posłuszeństwie.

W zbuntowanych województwach krążyła ruchoma kolumna pułkownika Szekelego, Węgry rodem i zręcznego partyzanta, który rozrzucał po kraju uniwersał królewski, grożący szubienicą i konfiskatą dóbr wszystkim uczestnikom powstania, bez różnicy stanu i płci. Nawet podejrzanym tylko o udział w rewolucyi, lub wiedzącym a niedonoszącym o knowaniach powstańczych, zagrażały więzienie w fortecy i kary cielesne. Nie straszyl też Szekeli groźbami, lecz z całą gorliwością pełnił służbę siepacza, pędząc przez różgi i stawiając pod szubienicą kobiety, obwinione o udział w rewolucyi.

„Wielkopolanie żądali pomocy i grozili rychłem rozejściem się“ — pisze generał Dąbrowski w swej Wyprawie do Wielkopolski — „jeżeli jak najprędzej wojskiem regularnem wsparci nie zostaną, ponieważ przyczyniwszy się mocno do uwolnienia Warszawy od obleżenia, teraz całą armię pruską na kark dostali. Tem tedy większą koniecznością było życzeniom ich zadość uczynić“. Przybyli w deputacyi od Wielkopolan generał Niemojewski i pułkownik Moskorzewski doznali w Warszawie jak najlepszego przyjęcia, gdyż Kościuszko w tym ogólnym ruchu widział tyle pożadaną dewersyę wobec nieprzyjaciela i zaraz też w dniu siódmym września sprawa posiłkowania powstańców pod zaborem pruskim przysłała na porządek obrad w Radzie Najwyższej Narodowej. „Niech Was nie odstraszały nieludzkie i owszem barbarzyńskie niemal postęпки, którymi przechody wojsk swoich zaznacza“ — głosiła

najwyższa magistratura powstańcza w odezwie, do obywateli województw wielkopolskich wydanej. — „Są to zadatki jego dobrych chęci, któreby Was teraz w znaczniejszej nierównie części pod słodkiem jego panowaniem czekały“.

„Dlatego współobywatele, nie chowajcie dopóty zdobytego na najezdniu oręża, dopóki ojczyzny waszej zupełnie od niego oswobodzonej, wolnej i zabezpieczonej nie ujrzycie. Dzieło to godne jest Was, Wielkopolanie. Kiedy męstwo Wasze powstało wśród burzy i wśród największego nieprzyjaciół natężenia, kiedy tychże nieprzyjaciół o ucieczkę przyprawiło, zaczóżyście pierzchających nękać nie mogli lub nie zdołali? Ojczyzna podała Wam broń w ręce, przywiązanie do niej utrzymać ją w nich powinno, a przy cnotliwych zamiarach nie niepodobnem być nie może...“

Nie poprzestała wszakże na gorących słowach zachęty Rada Najwyższa, lecz Kościuszko w obozie pod Mokotowem, w dniu 9. września, wręczył Dąbrowskiemu rozkaz wyruszenia do Wielkopolski. Dana mu instrukcja opiewała wcale ogólnikowo. Naczelnik jego przeorności i talentom pozostawił wybór odpowiednich dróg i środków, zalecając generałowi, aby o ile możności najprędzej starał się połączyć z powstańcami wielkopolskimi i objąć nad nimi naczelne dowództwo. „Generał użyje wszystkich sił — pisał Kościuszko w swem poleceniu — aby nieprzyjaciela zgnębić, z kraju wyprowadzić i kasy mu i magazyny odbierać. Jednem słowem

ma się starać nieprzyjacielowi wszędzie szkodzić i niszczyć go!”

Tegoż samego dnia w Bielańskim lasku odbył Dąbrowski przegląd przeznaczonego na wyprawę wielkopolską korpusu, liczącego półtrzecia tysiąca żołnierza i dział szesnaście, a nazajutrz udał się w pochód ku Bzurze. W dniu 13. września przebył szczęśliwie tę rzekę pod Kamionną, gdzie opanował znaczny magazyn pruski i zniósł strzegący takowego oddziałik. W Kamionnie też połączył się z generałem Madalińskim, przybyły na czele swej brygady w 600 koni, zaś Wybicki, towarzyszący Dąbrowskiemu w charakterze pełnomocnika rządowego, zapośredniczył zgodę między oboma wodzami. Madaliński, rozczulony wymową Wybickiego o potrzebie jedności dla dobra sprawy ojczystej, ucałował Dąbrowskiego i zawołał: Choć starszy generał idę pod twoje rozkazy! Słowa te znamionowały serdeczny i szczery charakter starego rębajły, jakim był Madaliński, nie grzeszący bynajmniej wyższem wykształceniem, ale żołnierz odważny w ogniu i gorący patriota. Zwykł on być mawiać: Ja, gdzie chcecie, żołnierza wprowadzę, ale nie ręczę, czy go wyprowadzić potrafię!.. Wiedzą i zdolnościami górował oczywiście nad nim Dąbrowski, lecz od dziecka wzrosły w obcych szeregach, nie posiadał wówczas jeszcze daru jednania sobie popularności, przymiotu, koniecznego dla wodza powstańczej armii.

W dniu 18. września był Dąbrowski w Kole i połączył się z powstańcami, wiedzionymi przez Mniewskiego i Niemojewskiego, którzy już potykali się, acz



mniej szczęśliwie, z naczelnym wodzem sił pruskich, hr. Schwerinem. W Słupcach, koło Konina, pomnożyli szeregi Dąbrowskiego ochotnicy, przybywający z województw: kaliskiego i gnieźnieńskiego, których przywieźli generałowie ziemianscy Lipski i Skórzewski.

Kilka dni z rzędu zajęła Dąbrowskiemu organizacja połączonych pod jego komendą oddziałów powstańczych, złożonych z kosynierów, strzelców i jeźdźców, z ludzi młodych przeważnie i pełnych zapału, ale uzbrojonych lichu, niejednostajnie, a przytem nie mających pojęcia o wojskowej karności. Dodał im generał dla prędszego wyrobienia oficerów z regularnego wojska, co nie obyło się bez pewnych przykrości, gdyż oficerowie liniowi niechętnie szli pod rozkazy generałów ziemiańskich, nieobeznanych dostatecznie z żołnierskiem rzemiosłem.

W ostatnich dniach września liczył już Dąbrowski sześć tysięcy zbrojnych pod swymi rozkazami i wyprowadził część korpusu pod Poznań, na czele pozostałych sił stał się z Szekelim. Krwawy ten partyzant, na którego wspomnienie drżały okoliczne dwory i miasta, sam szukał spotkania z Dąbrowskim i o północy 29. września zaatakował jego stanowiska pod Łabiszynem. Bój był krótki ale niezwykle zacięty. Po krótkiej walce działowej uderzono na bagnety i broń sieczną, a niebawem nieprzyjaciół, zasławszy pole bitwy trupami i rannymi, jał uchodzić ku Bydgoszczy. Pod Szekelim konia ubito, a i sam Dąbrowski omal że nie dostał się do niewoli pruskich huzarów, którzy obsko-

czyli go do koła, korzystając z chwilowego cofnięcia się lewego naszego skrzydła. O świcie ruszono w poгон za uchodzącym i w dniu 2. października podstąpił Dąbrowski pod Bydgoszcz, która po trzygodzinnym szturmie wpadła w ręce naszych. Szekeli uchodząc z miasta, ugodzony w lewą nogę kulą armatnią, leżał na bruku między rannymi, a widząc nadbiegających kosynierów, jał ich wołać na ratunek. Poznany przez jednego z włościan, zdał się na łaskę i niełaskę majorowi Zabłockiemu, który go kazał odnieść do najbliższego domu i opatrzyć.

Niebawem też w kwaterze rannego znalazł się Dąbrowski, który drżącego o swe życie okrutnika uspokoił, kazał mu zwrócić pałasz, przysłał mu księdza i żadaną sumę pieniężną. Upokorzony tą wspaniałością Szekeli, zapragnął przed śmiercią widzieć się sam na sam z Dąbrowskim i Mniewskim, których ostrzegał, by się nie posuwali w głąb kraju, gdyż od Pomorza i Brandeburgii dążą znaczne siły pruskie, z którymi jego oddział miał się połączyć. Zmarłego kazał generał pochować z honorami wojskowymi, zaś Madaliński zaopiekował się pozostałą po nim rodziną. W zdobytym mieście znajdowały się zasobne magazyny soli, sukna, broni i siodeł. Samych wozów amunicyjnych zabrano dwieście, prócz innych rekwizytów wojennych, wielce przydatnych dla armii powstańczej. Zaraz też przywrócił Wybicki w Bydgoszczy władzę narodowe, zaś naczelników urzędów pruskich odesłał jako zakładników do Warszawy. W proklamacyi, wy-

danej do mieszkańców, ogłoszono, że wojska narodowe przybyły w celu uwolnienia braci z pod obcego jarzma i zaręczono wszystkim bez wyjątku bezpieczeństwo życia tudzież mienia. Choć przeto wzięto Bydgoszcz szturmem, uszanowali zwycięzcy począwszy od wodzów a na kosynierach skończywszy, własność i spokój ludności. Wprawdzie Dąbrowski nałożył w pierwszej chwili na miasto trzysta tysięcy złotych kontrybucyi dla wojska, poprzestał jednak na sześćdziesięciu tysiącach, które też złożono. Nadto chcieli mieszczenie ofiarować generałowi dar odpowiedni za utrzymanie karności i porządku wśród żołnierzy, lecz usłyszeli z ust jego następującą odpowiedź:

— Było to moją powinnością, a zasłużyłem nagrodę, więc się jej od ojczyzny spodziewam!...

Jakoż prócz portretu Fryderyka Wielkiego, nie przyjął Dąbrowski od bydgoszczan żadnej darowizny, a nawet w magazynach rządowych zalecił spisanie jak najdokładniejszych inwentarzy, nakazując równocześnie, by znalezionych zasobów używano jedynie na potrzeby wojskowe.

Zdobycie Bydgoszczy rzuciło taki popłoch na Prusaków, iż nawet hr. Schwerin, stojący pod Koninem, nie ważył się wystąpić zaczepnie przeciw insurgentom, działającym z pomnożonemi — jak sądził — siłami. W Berlinie poczęto się lękać o Gdańsk, gdzie dostrzegano już „ducha rewolucyjnego“.

Niemniejsze też wrażenie wywołało dotychczasowe powołenie wśród powstańców. Panowie Polacy — za-

pisuje Dąbrowski w „Wyprawie Wielkopolskiej — rozumie po tej szczęśliwej akcji, że nam już Toruń, Grudziądz i Gdańsk bramy otworzyły, żeśmy już całą Polskę oswobodzili... Tymczasem położenie naszego woźdza odciętego od głównej armii, dowodzącego korpusikiem, złożonym z nowozaciecznego żołnierza i z powstańczej ruchawki, było wielce kłopotliwe, tem bardziej, że miał przeciwko sobie co najmniej trzykroć silniejszego nieprzyjaciela, rozporządzającego ostrzelaniem w boju wojskiem.

Słał więc do Naczelnika kuryera — był nim znany wierszopis Molski — z zawiadomieniem o wzięciu Bydgoszczy a zarazem z doniesieniem, iż wobec niedostatecznych sił powstania wielkopolskiego, potrzebuje nieodzownie posiłków w piechocie i w ciężkiej artylerji. Molski przybył do obozu pod Korytnicą w dniu szóstym października i w dwie doby później puścił się w powrotną drogę, wioząc dla Dąbrowskiego patent na generała-porucznika, „uwielbienie“ za wyprawę wielkopolską i przepyszną szablę turecką w upominku od Kościuszki. Nadto najwyższa Rada Narodowa wyliczyła żonie Dąbrowskiego, przebywającej w Warszawie, sumę sześciu tysięcy złotych na tymczasowe wydatki. Równocześnie jednak przyniósł Molski pierwszą wiadomość o przegranej Maciejowickiej, o ujęciu Kościuszki, o pochodzie wojsk rosyjskich na Warszawę, wreszcie o cofaniu się Mokronowskiego z Litwy.

Wieści te otrzymał Dąbrowski w dniu dziewiętnastym października, w obozie pod Dębowcem, gdzie zna-

lażł się w obozie wraz ze swym korpusem po nieudanej próbie ucieżenia Torunia, strzeżonego przez silne oddziały nieprzyjacielskie.

W ślad za Molskim przybiegł też drugi zwiastun klęski z pismem Rady Najwyższej, oznajmiałcem wojsku klęskę pod Maciejowicami, tudzież objęcie naczelnego dowództwa przez Wawrzeckiego. Otoczony ze wszystkich stron korpusami pruskimi, następującymi coraz natarczywiej i pozbawiony nadziei otrzymania jakichkolwiek posiłków, musiał Dąbrowski cofać się ku Bzurze, celem połączenia się z główną armią.

Jakoż wśród ciągłych utarczek z zastępującymi mu drogę Prusakami, uskutecznił nasz generał trudny ten ruch z najzupełniejszem powodzeniem, nie utraciwszy ani jednego niewolnika z wiedzionych jeńców, ani jednej powózki z taboru. Dopiero 24. października, gdy już cały korpus Dąbrowskiego przeszedł na lewy brzeg Bzury, rozpoczął idący za nim w tropy generał Schwerin silną kanonadę, lecz po kilkogodzinnej strzelaninie oba wojska pozostały na dawniej zajętych pozycjach.

Tak się skończyła wyprawa wielkopolska, o której nawet zawistny Prądyński twierdzi, iż ona założyła kamień węgielny do sławy Dąbrowskiego. Wprawdzie nadmienia uczony ów taktyk, że ekspedycya do Wielkopolski była głoszona nad miarę wartości, jaką mieć mogła dla sztuki wojennej, bo tam nie było, ani być nie mogło znakomitych bitew, ani wielkich kombinacyj wojennych. Przyznaje jednak, iż Dąbrowski,

zapuszczając się zaczepnie aż w Prusy Zachodnie, zniesieniem Szkelego, zajęciem Bydgoszczy i zagrożeniem Gdańskowi a następnie zręcznem wywinieniem się wśród pogoni pruskich korpusów, wysłanych z różnych stron na jego zniesienie i przeprawą przez Bzurę, okazał prawdziwą biegłość wojenną, oraz dał miarę swoich usposobień i zdolności wojskowych...

W dniu dwudziestym szóstym października, zawezwany przez naczelnego wodza, pospieszył Dąbrowski do Warszawy, celem uczestniczenia w zwołanej przez Wawrzeckiego radzie wojennej. Zastał w stolicy początek końca rewolucyi. Rada zastanawiała się nad możliwością obrony Pragi, zaś Dąbrowski był zdania, by opuścić Warszawę i Pragę i z wszystkimi siłami przerzucić się do Wielkopolski, celem rozdzielenia i przełamania zastępów przeciwnika. Wypracował nawet szczegółowy plan tej operacyi, na który Wawrzecki pierwsiastkowo się zgodził. Magistrat warszawski miałby kapitulować, podczas gdy król wraz z Radą udaliby się za wojskiem, którego straż przednią miał wieść Dąbrowski. Jakoż nie tracąc czasu, udał się generał do swego korpusu, rozłożonego w Brochowie i stosownie do otrzymanych z głównej kwatery rozkazów, posunął się już do Gostomii i jał budować pod Nowem Miastem mosty na Pilicy, gdy w dniu dziewiątym listopada zawiadomił go Wawrzecki o oddaniu stolicy Rosyanom, oraz wzywał do cofania się po Grojec.

Tymczasem w innych korpusach szerzyły się demoralizacya i dezercya. Zaczny Gedroyc zaledwo pięćset ludzi z swej dywizyi zdołał zatrzymać pod bronią. Generałowie, oficerowie, a za ich przykładem szeregowcy, rzucali szeregi i opuszczali obóz gostomski, dokąd też niebawem przybył bezradny Wawrzecki, by dnia dwunastego listopada dać pozostałemu wojsku rozkaz przeprowadzenia się przez Pilicę i marszu w kierunku Nowego Miasta. Pochód odbywał się w największym nieładzie. Całe bataliony i szwadrony opuszczały sztandary narodowe. Za rozprzegającą się armią, gdyby szakale i sępy za konającym królem pustyni, ciągnęły kozackie drużyny Denisowa i pruskie komendy, usiłujące kłamliwemi obietnicami nakłonić pozostałą jeszcze garść walczących do sprzeniewierzenia się ojczystym znakom.

Tak więc rozpuścili swe oddziały Kołyszko i Ożarowski, pozwalając iść żołnierzowi, dokąd go oczy poniosą. W dalszym marszu przez Drzewicę i Opoczno, topniały z każdą godziną skutkiem zbiegowstwa narodowe zastępy. Pod Opocznem opuszczono dział ośmdziesiąt, rozbiegły się brygady jezdne Biernackiego i Rzewuskiego. Z czterech tysięcy jazdy, przyprowadzonej przez Wawrzeckiego, pozostała zaledwie część czwarta pod bronią. Najmniej stosunkowo dezercyi zdarzało się w komendach Dąbrowskiego i Madalińskiego, lubo ten ostatni, narzekający nieustannie na zdradę już w Białołęzegrach porzucił towarzyszków niedoli. Niepodobna było wszakże z tą garstką i myśleć o przerznięciu się przez Niemcy ku Francyi, który to plan ponownie przy-

pomniał generałom Dąbrowski, a pogoń rosyjska i pruska ścigała coraz to natarczywiej niedobitków, porywając ludzi, zabierając pociągi wojskowe i działa. Doprowadzony do ostateczności, a nie chcąc złożyć broni wobec nieprzyjaciela, zamierzał Dąbrowski przedostać się nad granicę galicyjską, rynsztunek oraz oręż złożone w stosy, podpalić i obdzieliwszy pozostałą w kasie gotowizną oficerów, tudzież żołnierzy, rozpuścić ich do domu. Wykonaniu tego zamiaru przeszkodził wszakże rozkaz naczelnego wodza, powołujący Dąbrowskiego do Radoczyc, gdzie w dniu 17. listopada wojsko nasze, otoczone korpusami Denisowa i Fersena — złożyło broń... Oficerowie i żołnierze otrzymawszy żołd zaległy, rozeszli się na wszystkie strony, zaś Wawrzeckiego wraz z Dąbrowskim, Gedroycem, Niesiołowskim i Gielgudem odstawiono pod strażą do Warszawy.

„Taki a nie inny był koniec rewolucyi naszej“ — pisze Dąbrowski w swej relacyi o wyprawie wielkopolskiej. — Otoczeni przez Rosyan, Austryaków i Prusaków, inaczej skończyć nie mogliśmy...”

II.

Już w Radoszycach uprzedził Denisów naszych generałów, iż nie są wprawdzie jeńcami, równocześnie wszakże zaprosił ich do Warszawy, gdzie Suwarow życzył sobie ich widzieć i znajomość z nimi zabrać... Jakoż za przyjazdem do stolicy pozostawiono ich na wolnej stopie, lecz zaraz dnia następnego musieli się stawić przed obliczem zwycięzcy, który oświadczył przybyłym z całą stanowczością, że jeżeli podpiszą zobowiązanie niesłużenia przeciwko Rosyi, wolno im będzie udać się, dokąd zechcą. W przeciwnym razie groził im odesłaniem do Petersburga. Napróżno protestowali generałowie przeciw tej decyzyi, jako przeciwnej kapitulacyi. Na nic nie zdała się interwencya Gorzeńskiego, jednego z głównych autorów radoszyckiego układu, a choć Stanisław August wmieszał się w tą sprawę, wszystkie przedstawienia i noty nie odniosły żadnego skutku wobec oporu Suwarowa, który nieodmiennie domagał się od starszyny wojskowej podpisania fatalnego rewersu. Generałowie — jak opowiada Dąbrowski w swych wspomnieniach z wyprawy 1794

kopolskiej — ulec musieli przemocy. Sam Wawrzecki nalegał na nich, by spełnili żądanie carskiego wodza. Usłuchali go i podpisali przedłożony im dokument, lecz powolnością tą nie zdołali okupić swobody. Wawrzeckiego wywieziono w głąb Rosyi, zaś jego towarzyszków internowano pod ścisłym nadzorem w Warszawie. Los ich znośnym był w porównaniu z prześladowaniem, jakiego ofiarą padł ranny Zajączek, szukający schronienia w austryackim zaborze i uwięziony z polecenia rządu wiedeńskiego w Josefsztadzie, podczas gdy staro Madalińskiego strzegli Prusacy w Wrocławiu.

Mianowany komendantem Warszawy generał Buxhewden, rządził się samowładnie w stolicy, jakkolwiek formalnie jeszcze nie postanowiono niczego o losie Rzeczypospolitej. Oficerom i szeregowcom wojska narodowego wydano paszporty z poleceniem natychmiastowego wyjazdu z miasta, a tylko obywatelom warszawskim, służącym w wojsku i posiadającym w stolicy rodzinę lub własność nieruchomą, pozwalał komendant na pobyt w Warszawie pod warunkiem przedstawienia rękojmi, że zachowają się spokojnie...

Nastała teraz dla Warszawian doba żołnierskich rządów, gdyż wszystkie polecenia Buxhewdena, najprzeróżniejszej natury, spełniał bezwzględnie magistrat miejscowy. Całe miasto podzielono na siedm cyrkulów, w których rządzili despotycznie oficerowie rosyjscy, ustanowieni dla przestrzegania policyjnego porządku. Mimo znacznych opłat i danin nakładanych z rozmaitych tytułów na ludność, straszliwa nędza i brak opie-

ki lekarskiej dały się odczuwać w szpitalach warszawskich, przepełnionych chorymi i rannymi. Nieszczęśliwym tym ofiarom zbywało nawet na koniecznej żywności a wobec szczupłej ilości posługaczów i felczarów szpitalnych, zdarzały się wypadki, że umarli leżeli wśród żyjących w salach nieprzewietrzanych i niedostatecznie opalanych. Nie dziw przeto, iż śmiertelność w lazaretach przybrała niebawem tak znaczne rozmiary, iż miastu zagrażała epidemia a dla zebrania potrzebnych na ulżenie rannym funduszków, zarządzono po domach kwestę...

Wobec tej nędzy i cierpienia dziwnie przykre sprawiać musiał wrażenie uroczysty obchód rocznicy koronacy królewskiej, przypadający w dniu dwudziestym piątym listopada, gdyż prócz pontyfikalnego nabożeństwa u św. Jana, zakończonego *Te Deum*, urządzono wieczorem galowy koncert w teatrze, gdzie też odtanzezony został balet p. t. „Sierota hiszpańska... W pięć dni później postanowiono ostateczne rozwiązanie miejscowego korpusu kadetów, tak chlubnie zapisanego w dziejach panowania Stanisława Augusta. Kasa szkoły rycerskiej nastąpiła z powodu braku potrzebnych na jej utrzymanie funduszków i była jedną z ostatnich czynności bezsilnego króla, który jedyne ocalenie widział w zdaniu losów Rzeczypospolitej w ręce „wspaniałomyślnej tryumfatorki“ Katarzyny.

„Polska podobną jest do pustyni — pisał Stanisław August w dniu dwudziestym pierwszym listopada t. r. do swej potężnej przyjaciółki. — Waszej Impera-

torskiej Mości zdaje się być postanowione położyć granice innym, skoro sama sobie granice korzyści swego zwycięstwa oznaczysz.“

Jeszcze podczas pobytu królewskiego w Warszawie odczytywano po wszystkich kościołach dekret Piusa VI., przywracający do władzy duchownej skazanego na śmierć przez trybunał rewolucyjny, lecz ułaskawionego przez Kościuszkę biskupa lubelskiego, Skarszewskiego, zaś w sam dzień wili Bożego Narodzenia wywieziono do Petersburga Kilińskiego, Kapostasa, marszałka Potockiego, kasztelana Mostowskiego, oraz byłego prezydenta stolicy, Zakrzewskiego. Katarzyna II. nie umiała przebaczać.

Dąbrowskiego pozostawiono na razie w spokoju i pozwolono mu zamieszkać w Warszawie wraz z rodziną, którą, prócz żony, składało dwoje dzieci: dwunastoletni podówczas synek, Jan Michał, urodzony w Dreźnie, oraz młodsza od niego córeczka, zaślubiona później generałowi Palombini. Jedyńm funduszem, z którego się utrzymywał wówczas Dąbrowski, były dochody z Pierzchowie, administrowanych z całą sumiennością przez szambelana Jana Kepieńskiego. Generał korzystając z pozornej względności Suwarowa, który zaraz po podpisaniu rewersu kazał mu zwrócić pałasz i przy każdej sposobności oświadczał się wobec niego z przyjaźnią, starał się wydostać od niego paszport do wyjazdu za granicę. Ale przebiegły marszałek którego słusznie ktoś nazwał małpotygrysem, kryjącym pod prostaczą powierzchownością spryt oraz chytryść

prawdziwego Azyaty, nie chciał tak łatwo wypuścić ptaszka z klatki i składał się wobec Dąbrowskiego niemożnością wydania żadanego zezwolenia.

Szukając innego sposobu do wydobycia się z pod czujnej opieki rosyjskiej, udał się Dąbrowski do króla i na pytanie Stanisława Augusta, co dalej z sobą zrobić zamierza, odpowiedział, iż na razie chciałby powrócić do służby saskiej. Rozmowa owa miała miejsce w połowie grudnia t. r. Takby przynajmniej wnosić należało z listu królewskiego, noszącego datę siedemnastego grudnia 1794 roku, zachowanego w papierach generała. W piśmie tem, wystosowanem w języku francuskim, polecał Stanisław August Dąbrowskiego względem elektora z prośbą o umieszczenie go w wojsku saskiem, nadmieniając równocześnie o korzystnych obietnicach, czynionych generałowi przez Prusy i Rosyę. Ale nasz wojownik nie był jurgeltnikiem, sprzedający za garść złota ostrze swej szpady. Czekał on więc, co mu przyszłość przyniesie, a milczeniem zbywał nęcące pokusy, jakimi go chciano nakłonić do wyrzeczenia się sprawy ojczystej. Ciężko i posepnie wlokły się Dąbrowskiemu długie chwile wyczekiwania wśród wyludnionej stolicy, która po wywiezieniu króla do Grodna w głuchem pograżyła się milczeniu. Żaden jaśniejszy promyk nadziei nie zdołał się przedrzeć do pogrzebionej przez Rosyan Warszawy, a wszelkie zabiegi generała, by choćby listownie nawiązać stosunki z bawiącymi nad Sekwaną ziomkami, rozbitkami z ostatniej rewolucyi, nie odniosły na razie żadnego skutku. Przepadały bez

ślądu wyprawiane listy, posłańcy powracali z niczem, nie mogąc się przedrzeć przez czujne kordony mocarstw rozbiorowych.

Dopiero zawarcie traktatu bazylejskiego między Francją a Prusami (w kwietniu 1795 roku), zdawało się zapowiadać pomyślniejszą na przyszłość odmianę. Francya wyprawiła na dwór berliński jako swego przedstawiciela Caillarda, w ślad za którym przybył do pruskiej stolicy wysłany przez patryotów paryskich major Forestier, dzielny w niedalekiej przyszłości legionista, konspirator zbyt gorący. Tak więc za pośrednictwem Forestiera mógł się Dąbrowski znosić z Caillardem oraz z Wybickim, przebywającym już od dłuższego czasu we Francyi.

Temu ostatniemu przesyłał generał wiele pism, przedstawiających wewnętrzny stan kraju, zaś we wrześniu 1795 r. przedłożył Dąbrowski Caillardowi notę, w której po raz pierwszy wyjawiał rządowi francuskiemu projekt formacyi legionów pod jego opieką. Uznawszy jako prawowitych przedstawicieli narodu posłów ostatniego Sejmu, przebywających w Paryżu, wskazywał Dąbrowski na możliwość formacyi korpusów polskich, rekrutowanych kosztem rządów Rzeczypospolitej, bądź to z dezertów austriackich oraz rosyjskich, bądź też z oficerów oraz żołnierzy rozwiązanej armii narodowej, które to oddziały w razie dla sprawy naszej niepomyślnym, mogłyby po dopełnieniu powinności żołnierskiej we Francji uzyskać tańsze prawo obywatelstwa. Zarazem oświadczył generał, że projekt, przez

niego podany, nie jest bynajmniej wyrazem zapatrywań poszczególnych osobistości, lecz jednoczy w siebie nadzieję i pragnienia całego grona wojskowych dawnej służby, którzy w razie potrzeby gotowi byli nie tylko stwierdzić swe postanowienie podpisami, lecz oświadczać chęć udania się do Paryża celem zaofiarowania swych usług rządowi francuskiemu.

Nie doczekał się Dąbrowski tak rychło odpowiedzi na swą propozycję, a tymczasem wśród wychodźstwa naszego nad Sekwaną najdziwaczniejsze o nim poczęły krążyć wieści. Mówiono, że generał doznaje nadzwyczajnych względów ze strony rosyjskiej, że gdyby chciał, mógłby być w tym samym stopniu przyjęty w armii carskiej, ale że przekłada nad nią służbę pruską i tym podobne baję. Przerażony owemi wieściami Wybicki słał gorące listy do przyjaciela, zaklinając go, by w obcą służbę nie wstępował, gdyż jeszcze nie wszystko stracone. Dąbrowski odebrawszy takie pismo, zdziwił się niepomrotnie i nie omieszkał uspokoić swego druha, że nie myśli wcale o służeniu obcym, co też niebawem czynem mógł stwierdzić.

Równocześnie w łonie polskiego wychodźstwa, zebranego na gościnnej ziemi francuskiej, ważne gotowały się wypadki. Francya, walcząca z koalicją, zapewniała tułaczów, drogą, co prawda, półurzędową, iż niebawem już weźmie udział w odbudowaniu Polski, oraz, że postara się o oderwanie Prus od związku z dworami północnymi i wspólnie z Turcyą, tudzież z Szwecyą, wystąpi przeciw Rosyi. Pod opieką rządu młodej Rze-

czypospolitej istniały już od dłuższego czasu patryotyczne kluby polskie w Paryżu i w Wenecyi, gdzie przedstawiciel Francyi, obywatel Lallemant, otrzymał od naczelnej władzy instrukcyę, by jak najgorliwiej zaopiekował się przebywającymi w tem mieście Polakami. Oba kluby porozumiewały się z sobą w drodze korespondencyi, którą ułatwiali posłowie francuscy, dostarczający zarazem paszportów swego rządu wybierającym się do kraju emisaryuszom. Zawarcie wspomnianego już traktatu bazylejskiego z Prusami ostudziło potroszę przesadne nadzieje naszych patryotów, łudzących się w najlepszej wierze nadzieją, że Francya wystąpi bezwzględnie w sprawie restauracyi Rzeczypospolitej. Barsowi, który posiadał wyrobione już stosunki wśród członków konwentu i wydziału dobra publicznego, oświadczono grzecznie, lecz stanowczo, że przypomnienie kwestyi polskiej podczas układów bazylejskich nie mogło mieć miejsca, choćby z tego powodu, że Francya za jakąbądź cenę potrzebowała pokoju, gdyż wojska, wysilone długą walką, wymagały koniecznie spoczynku, podczas gdy kraj, zniszczony anarchią, musi wprzód zagoić swe rany, zanim będzie Rzeczpospolita w stanie rozpoczęcia nowych z monarchiczną koalicją zapasów.

Przykrość tego oświadczenia starał się rząd złagodzić, zapewniając Barsa, że zawarty pokój jest raczej chwilowem zawieszeniem broni i upraszając Polaków o cierpliwość, oraz o wytrwanie w przygotowaniach do walki wolnościowej, której chwila jest już niedaleka. Też same słowa zachęty i otuchy powtórzył uda-

jący się w poselskiej misji do Stambułu obywatel Ver-
ninse zebrany w Wenecyi Polakom, oświadczając im,
że Rzeczpospolita, obaliwszy u siebie szerzący w kraju
anarchię rząd terrorystyczny, wystąpi niebawem już
z pomocą wszystkim uciśnionym ludom, dobijającym
się wolności. Zarówno w Paryżu, jak w Wenecyi, do-
magano się od naszych wychodźców, by nie ustawali
w propagandzie rewolucyjnej i przygotowali ogół umy-
słów w kraju do powstania. Niedziw przeto, iż wśród
emigracyi polskiej wzięły na razie górę żywioły skrajne,
które mimo najlepszych chęci kompromitowały naszą
sprawę wobec Francuzów, zrywających stanowczo z ja-
kubinizmem, zbyt krwawo zapisanym w świeżej jeszcze
pamięci całego kraju. Pragnąc sparaliżować wpływ ów
ujemny, wywierany przez krzykaczów i demagogów,
starał się Kazimierz de la Roche, szczerze sprawie pol-
skiej oddany, o zbliżenie znakomitszych naszych wy-
chodźców do wybitniejszych osobistości rządowych.

W tym celu, nie szczędząc kosztu, otworzył przy
ulicy Świętego Honoryusza salony hotelu Diesbach,
ofiarowując je na pomieszczenie patryotycznego klubu
polskiego. Bywały na tych zebraniach, urządzanych
z nadzwyczajną wystawnością i urozmaicanych produk-
cyami znakomitych artystów, panie Beauharnais, Tallien,
Louvet, la Gorce, prym wiodące w współczesnem to-
warzystwie paryskim, a prócz dygnitarzy rządowych
i wpływowych posłów, gościli na owych wieczorach
znakomiści pisarze, jak Chénier, Freron, la Harpe, Rous-
seline, Talma lub Thibaudeau, w których obecności

umiał zręczny gospodarz tak pokierować rozmowę, iż schodziła ona na tory polityki, pozostającej w związku ze sprawą polską, a wówczas Bars, Wielohorski, Wybicki, Mniewski lub inni z znakomitszych wychodźców starali się zapoznać zebranych z położeniem narodu, świeżo wykreślonego z politycznej karty Europy. Wybicki, któremu dyrektoryat w zaufaniu powierzył zdawanie sprawy z urzędowej korespondencji polskiej tudzież rosyjskiej, nie omieszkiał przy żadnej sposobności zwracać uwagę francuskich mężów stanu na niebezpieczeństwo polityki caratu, świeżo wzmocnionego upadkiem Polski. Walczył żywym słowem i ulotnemi pisemkami, układanemi w języku francuskim na rzecz sprawy naszej, a nawet — jak twierdzi w swych wspomnieniach — ułożył wspólnie z Barsem, z Prozorem i z Wielohorskim notę do dyrektoryatu, w której projektował formacyę odrębnego korpusu polskiego z jeńców galijskich, internowanych w pruskich fortecach. Podobno nawet dyrektoryat przyjął myśl tę wcale przychylnie i zapytywał poufnie autorów projektu, który z jenerałów stanąłby w danym razie na czele legionu? Wymieniono rządowi kolejno Wielohorskiego i Zajączka, jako zdolnych i energicznych dowódców — ale stanowczej odpowiedzi ze strony sfer decydujących doczekać się nie zdołano...

Wobec tego w poufnych naradach patryotów coraz częściej powtarzać poczęto nazwisko Dąbrowskiego. Zarówno Bars, jak Wybicki przedstawiali naszego woźdza jako człowieka wyjątkowej energii i żelaznej woli,

obdarzonego nadto niezwykłą zdolnością organizacyjną. De la Roche pisał kilkakrotnie do Dąbrowskiego za pośrednictwem Caillarda, ale listy, przejęte w drodze przez Rosyan, czy też Prusaków, nie dochodziły na miejsce przeznaczenia. Wówczas de la Roche wpadł na śmiały pomysł przedarcia się do Warszawy celem osobistego porozumienia się z Dąbrowskim. Zabrawszy z sobą Eliasza Tremona, syna dawniejszego kuchmistrza Stanisława Augusta, który podczas ostatniego powstania odznaczył się męstwem, udał się de la Roche przebrany za kupca i za obcym paszportem na Lipsk, Drezno i Wrocław do Polski. Aliści nie stanęli jeszcze odważni emisariusze u kresu swej podróży, gdy gadtliwość wtajemniczonych wychodźców, omal, że nie zgubiła całej sprawy. Wobec tego de la Roche zatrzymał się w Dreźnie i sam tylko Tremo przybył do Warszawy, zabawiwszy poprzednio przez czas dłuższy u swych krewnych w Poznańskiem. Jako pozór przybycia do dawnej naszych władców stolicy służyło Tremonowi zastępstwo rozmaitych domów handlowych francuskich, które go upoważniły do wywalczenia ich pretensyj u Stanisława Augusta, a zagwarantowanych przez dwory rozbiorowe. Załatwienie odnośnych formalności nie przeszkadzało energicznemu młodzieńcowi w znoszeniu się z wojskowymi dawnej służby, jakimi byli Hauman i Gedroye, tudzież w zbliżeniu się do Dąbrowskiego, który przekonawszy się z wręczonych mu listów o rzeczywistym celu przybycia emisariusza, nie tylko zgodził się na objęcie dowództwa powstać mających legio-

nów, lecz nadto wskazywał Tremonowi wybitniejsze osobistości, z którymi w tej sprawie należało się porozumieć. Schadzki i narady spiskowców odbywały się w mieszkaniu kasztelana Polanieckiego, na tak zwanej „kanonii“, w bezpośrednim sąsiedztwie królewskiego zamku i utrzymywane były w jak najściślejszej tajemnicy, dzięki czemu Prusacy, którzy w pierwszych dniach stycznia 1796 roku weszli do Warszawy, by się w niej na dobre rozgościć, nie wpadli bynajmniej na trop robót konspiracyjnych.

Zmiana rządów w kraju wypadła na rękę Dąbrowskiemu, który zawiązał bezzwłocznie stosunki z dawnymi towarzyszami broni i z klubami patryotycznymi, istniejącymi za granicą, oraz w Krakowie i we Lwowie, a w połowie lutego t. r. otrzymał tyle pożądane zezwolenie na wyjazd z Warszawy do Berlina, gdzie prócz wspomnianego dopiero co Caillarda znalazł też gorliwego pomocnika w osobie niejakiego Parandiera, ongi sekretarza Ignacego Potockiego, pełniącego też same obowiązki w poselstwie francuskim nad Szpreą. Stanawszy z początkiem marca w Berlinie, utrzymywał nasz generał bliskie stosunki z osobistościami, mile widzianymi u dworu, do których zaliczali się książę biskup Krasiecki i książę Antoni Radziwiłł, w najbliższej przyszłości powinowaty królewski, a zawezwany w dniu siedemnastym marca na posłuchanie u monarchy, ku niemałemu zdziwieniu dworaków zjawił się na pokojach w mundurze wojsk narodowych. Król chciał go przyjąć na oddzielnej audyencyi, ale na oświadczenie Da-

browskiego, iż nie ma zamiaru ubiegania się o jakąkolwiek łaskę, ani też przedstawienia szczegółowej propozycyi, zaniechał tego zamiaru.

Rozmowa generała z Fryderykiem Wilhelmem trwała przeszło godzinę i przedmiotem jej były wypadki ostatniej kampanii, przy której to sposobności żalił się król na nieszczere postępowanie swych sprzymierzeńców, Rosyan, utrudniających jego działanie podczas oblężenia Warszawy. Na pytanie monarchy, jaki duch panuje w Polsce, nie omieszkął zauważyć Dąbrowski, że cały naród stanąłby po stronie Prus, gdyby rząd królewski zamierzył przywrócić Polsce niepodległość i przyczynić się wraz z innemi mocarstwami do przywrócenia politycznego bytu Rzeczypospolitej. Dodał przy tej sposobności generał, że Polacy wybraliby nieochybnie króla swym konstytucyjnym władcą, albo też zaofiarowaliby koronę któremu z książąt, przez niego wskazanych...

Według innej znów wersji, zapisanej w pamiętnikach Tomasza hr. Ostrowskiego — generał, zapytany przez króla, jaki teraz duch panuje w Polsce, odpowiedział:

— Duch niepodległości dla ojczyzny!

Fryderyk Wilhelm na to zamilkł, ale wręcz zapytał, czyby przyjął od niego komendę korpusu? Na co Dąbrowski królowi odpowiedział:

— Jeżeli ten korpus będzie nosił polskie mundury, to wtenczas godność tę przyjmę...

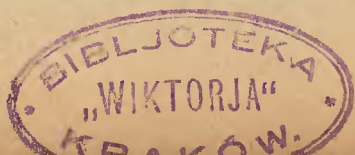
Fryderyk Wilhelm nie odrzekł ni słowa na szczere wynurzenia wojownika, który snąć nie wiedział o zasa-

dzie, iż na królewskich dworach mowa nie służy bynajmniej do wyjawienia tego, co się myśli i czuje...

Po chwili zakończył król rozmowę kilkoma pochlebnemi słowy dla męstwa i dla waleczności Polaków, którą to grzecznośćkę uważał za dostateczną zachętę dla Dąbrowskiego, celem skłonienia go do przyjęcia służby w armii pruskiej. Nasyłał więc nieustannie na niego swych zaufanych doradców Möllendorfa i Bischofswerdera, którzy nie szczędzili generałowi najświetniejszych propozycyj w razie wstąpienia w szeregi pruskiego wojska.

Na te obietnice odpowiadał wszakże Dąbrowski, iż mógłby poświęcić swe usługi jedynie sprawie narodowej. Jeżeli więc król Fryderyk pragnie korzystać z jego szpady, niech odda mu dowództwo trzydziestotysięcznego korpusu, oraz porozumie się z rzeszą polską, celem przywrócenia uciśnionemu narodowi polskiemu jego wolności, praw i niezawisłego bytu politycznego. O czemś podobnem nie myślał wprawdzie dwór berliński, ale fawory, okazywane Dąbrowskiemu, celem pozyskania dzielnego wodza dla armii królewskiej, podnosiły jego wartość nie tylko wobec ogółu mieszkańców stolicy, lecz także w oczach Caillarda, który w poufnych notach, przesyłanych swemu rządowi, nie szczędził słów pochlebnych dla patriotyzmu, odwagi i zdolności generała.

„Dąbrowski posiada zaufanie rodaków i wojskowych polskich — pisał Caillard w dniu trzynastym marca t. r. do Paryża — jest wielce zdolnym, świa-



łym, żadnym sławy. Na wypadek wojny między Austryą i Turcyą jest rzeczą konieczną, aby rząd francuski pozyskał tego wojownika dla siebie.“

Inaczej, bardziej prostodusznie oceniał Dąbrowski postępowanie ówczesne rządu pruskiego i w czasie pewnej konferencji z ministrami królewskimi przedłożył im memoriał, opracowany z całą strategiczną dokładnością, a wskazujący sposób wspólnego działania Prus z Francją w sprawie polskiej. Niemniej, nie więcej przedstawiał generał sterownikom pruskiej polityki projekt wywołania rewolucyi w Galicyi, podówczas ogłoszonej zupełnie z wojsk cesarskich.

Powstanie miało wybuchnąć równocześnie we Lwowie, w Jarosławiu, w Lublinie, w Sandomierzu i w Krakowie, w chwili wkroczenia wojsk pruskich do Galicyi. Król lub który z książąt domu Hohenzollernów zwołać miał sejm z roku 1792 do Poznania, ogłosiwszy się poprzednio władcą Polski pod gwarancją rzeczypopolitej francuskiej.

Tymczasem powstańcy galicyjscy wieść mieli partyzantkę, zaś Wielkopolska dostarczyłaby trzydzieści tysięcy żołnierza, uzbrojonego kosztem pruskim, a dowodzonego przez polskich oficerów. Do Galicyi wejść w takim razie Rosyanie, z którymi musiałyby rozprawić się na razie trzy korpusy pruskie, operujące od strony Żmudzi, Warszawy i Karpat. Licząc na neutralność Turcyi, Saksonii i Danii, przypuszczał Dąbrowski że dwór wiedeński, widząc głównego wroga w Rosyi, zrzecze się Galicyi, gdyż ściągnięcie sił zbrojnych z nad

Renu wymagałoby kilku miesięcy czasu i wykazywał niezmiernie korzyści, jakie Prusy w razie przyjęcia tego projektu osiągnąć mogą.

I tego planu nie przyjął rząd pruski, lecz z osnowy dopiero co przytoczonego projektu wnioskować by należało, że Dąbrowski musiał w owym czasie pozostawać w bliższem porozumieniu z patriotami galicyjskimi, gdyż bez ich wiedzy i woli nie byłby występował z planem powstania w tej prowincyi. O związkach przyszłego twórcy legionów z klubem lwowskim nie mamy niestety żadnych wiadomości. Wiemy natomiast, iż major Forestier, służący w swoim czasie Dąbrowskiemu, jako pośrednik w Berlinie, wdał się na własną rękę w związki z gorętszymi żywiołami w Warszawie, gdzie też równocześnie z uwięzieniem Forestiera, (w czerwcu t. r.), liczne nastąpiły aresztowania.

W owym czasie nie było już Dąbrowskiego w Berlinie. Zrażony dwulicowem postępowaniem rządu pruskiego, udał się pod pozorem załatwienia spraw osobistych do Dreżna, dokąd przybył w dniu trzynastym czerwca t. r. Tam też zetknął się z powracającym nad Sekwanę Tremonem i wysłuchawszy jego relacji, postanowił niezwłocznie za nim pospieszyć. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności przeszkodził wszakże wykonaniu tej myśli. W Dreźnie, które to miasto zdawien dawna było przytułkiem dla naszych wychodźców, znalazł się w owym czasie generał Godroye i jako pan z panów czuł się urażonym, że nie jego, lecz Dąbrowskiego, zwykłego, jak mniemał, szlachetkę, powołuje ogół-ziom-

ków na czoło przyszłych legionów. Dumny Litwin nie taił z tego powodu urazy i w czasie jednej z gorących rozpraw, wiedzionej w gronie wojskowych, przebywających w Dreźnie, dał niedwuznacznie do poznania generałowi, iż wciska się na niewłaściwe miejsce i pozbawia przewodnictwa tych, których samo już urodzenie przeznaczyło do przodowania narodowi. Nie pozostał mu też dłużnym w odpowiedzi Dąbrowski i przypomniał hardemu pankowi świeże jeszcze przykłady Rzewuskich i Szczęsnych Potockich, którzy pnąc się do steru rządów, dla zadowolenia własnej ambicji, siebie i ojczyznę pogrążyli w upadku...

Przykre to zajście wywołało smutne wrażenie wśród przebywających w stolicy saskiej wychodźców, na których wezwanie pospieszył z Lipska szlachetny de la Roche i nie bez trudu zapośredniczył zgodę między poróżnionymi. W imię wspólnej sprawy, generałowie podali sobie dłonie i Gedroyc, wtajemniczony w plany przyszłej organizacyi, powrócił w rodzinne strony, podczas gdy de la Roche przeniósł się na stały pobyt do Berlina, powołany przez Radziwiłłów w charakterze ich plenipotentą i przybocznego sekretarza. Za jego to podobno instancją u książąt domu królewskiego, odzyskali wolność w dniu zaślubin Ludwiki, synowicy Fryderyka Wilhelma II., z Antonim Radziwiłłem, generałowie Madaliński, Grabowski i Giełgud, pozostający dotychczas w niewoli pruskiej, a postępek ten, dyktowany zresztą kurtoazją wobec nowożeńca, wywołał ponowne, zwodnicze niestety nadzieje wśród pol-

skiej kolonii w Berlinie i spowodował powrót Dąbrowskiego do rezydencji Hohenzollernów.

Tym razem nie długo już bawił nasz generał nad Szpreą, gdyż wskazówki agentów legacyi francuskiej nie pozwoliły mu się łączyć polonofilizmem, jaki chwilowo ton nadawał na dworze i w połowie sierpnia t. r. widzimy Dąbrowskiego wraz z synem i z nieodstępnie mu towarzyszącym Tremonem w Lipsku, skąd słał listy do Caillarda, dopraszając się u niego o pismo polecające do generała Jourdana. Nosił się podówczas Dąbrowski z zamiarem wyjazdu do Frankfurtu, a następnie do obozu armii republikańskiej, i niezwłocznie po otrzymaniu żądanej rekomendacyi puścił się w podróż ku granicy francuskiej. Po drodze poznał i zaprzyjaźnił się szczerze z Jourdanem, z Bernadottem, oraz z Championettem i w dniu trzydziestym października t. r. stanął u kresu swej wędrówki, w Paryżu.

Poprzedzony korzystnymi relacyami, jakie zdali o nim dyrektoryatowi Jourdan i Bernadotte, a w szczególności dzielny Kleber, dowodzący podówczas armią Sambry i Meurzy, doznał Dąbrowski zaraz po przyjeździe do Francyi jak najprzychylniejszego przyjęcia w kołach rządowych. Zaraz też porozumiał się z Wybickim, który go powiadomił o dotychczasowych zabiegach, poczynionych w sprawie formacyi legionów i nie tracąc czasu, już w dniu dziesiątym października przedłożył dyrektoryatowi obszerny memoriał w sprawie formacyi legionów francusko-polskich przy armiach republikańskich, walczących nad Renem oraz we Wło-

szech. W ogólnym wstępie, poprzedzającym ów memoriał, oświadczył generał, iż jako żołnierz jedynie z militarnego stanowiska pragnie zwrócić uwagę rządu francuskiego na smutne następstwa, wywołane rozbiorem Polski dla całej Europy, zagrożonej przewagą Rosyi, a oraz wyraził zapatrywanie, że Polacy, którzy ostatniem swem powstaniem wielce się przyczynili do zwycięstwa republiki w walce z koalicją, mogą nawzajem jedynie od Francyi spodziewać się odzyskania niepodległości politycznej.

Przechodząc do szczegółowego omówienia projektu legionów, chciał w nich widzieć Dąbrowski zarodek i szkołę przyszłej armii polskiej i dlatego też ważniejsze komendy zastrzegał dla generałów, którzy odznaczili się w wojnach, wiedzionych z Rosyą w latach 1792—1794, podczas gdy korpus oficerski, tudzież kadry legionów miałyby się składać z wojskowych dawniej służby, odmawiających wstąpienia w szeregi mocarstw rozbiorowych, oraz z rekrutów galicyjskich, przemocą wcielonych do armii austriackiej.

Legiony, walczące w charakterze korpusów ochotniczych przy armiach republiki, wywołać musiały — zdaniem wnioskodawcy — dezorganizację w armii austriackiej, złożonej we Włoszech z pułków galicyjskich i równocześnie przyspieszyłyby chwilę czynnego wystąpienia sprzymierzeńców Francyi przeciwko Austrii oraz Rosyi. Z drugiej znów strony formacja legionów zapewniłaby nietylko sposób utrzymania licznym wojskowym polskim, lecz wytworzyłaby z nich wypróbo-

wany zastęp, który po wkroczeniu w granice dawnej Polski, powiększony przez rekrutację, mógłby stworzyć poważną siłę, posilkującą skutecznie armię republiki. W dalszem następstwie formacyi legionów wskazywał Dąbrowski na możliwość stworzenia takichże oddziałów nad granicą turecką celem podtrzymywania nieprzyjaznych istniejącemu rządowi ruchów w Siedmiogrodzie i na Węgrzech, oraz zbijał możliwe zarzuty przeciw zawiązywaniu legionów. Zdaniem generała, formacya legionów nie obudziłaby żadnych podejrzeń ze strony Prus, sprzymierzonych podówczas z Francją, gdyż korpus ten, działając pod najwyższem kierownictwem republiki, nie mógłby przedsięwziąć żadnych kroków, szkodliwych dla jej aljanta. Niemniej stanowczo odpierał autor memoriału drugi z rzędu zarzut, polegający na trudności wynalezienia odpowiednich funduszków celem organizacyi legionów. Liczył on mianowicie na pomoc materyalną patryotów polskich, spodziewał się kredytu w bankach holenderskich, zainteresowanych w sprawie istnienia Polski, którym możnaby dać wystarczające zabezpieczenie na dobrach narodowych, sądził wreszcie, że Porta nie odmówiłaby potrzebnej na ten cel pożyczki, którą przyszły rząd narodowy zwróciłby swym wierzycielom.

Memoriał zaopatrzył Dąbrowski następującą uwagą:

...Bez utworzenia tego jądra armii polskiej, ponowny wybuch powstania w tym kraju jest niemożliwym, mimo najusilniejszych zabiegów patryotów, chcących

tego dokazać w granicach Polski. To jest wszakże niewątpliwą prawdą, iż tylko myśl rewolucyi w Polsce może zniweczyć nowe kombinacye, snute przez koalicję państw północnej Europy. Wybuch powstania galicyjskiego oddziałalby do tego stopnia na malkontentów węgierskich, iż Austria, miasto użycia swych sił przeciw Francyi, musiałaby je podzielić celem przywrócenia pokoju we własnych posiadłościach. Prusy, ów naturalny sojusznik Francyi, działając we własnym, samozachowawczym interesie, przystąpiłyby do czynu w chwili ukazania się Polski na widowni politycznej. Turcyja otrząsnęłaby się z apatyi, gdyby ujrzała, że płomień wojny przeciw Austrii i Rosyi rozniecono w Polsce. Szwecya zarzuciłaby system ostrożnej polityki wobec zbliżającej się rewolucyi, która musiałaby ogarnąć też Rosyę i wówczas państwo to, parte tak przez sąsiadów, jakoteż przez własnych poddanych, w przeważnej części niezadowolonych, a nadewszystko przez ludność zabranych polskich prowincyj, musiałoby odmówić dalszego poparcia wychodźcom, royalistom, podburzającym do wojny przeciw Francyi, oraz wyrzec się myśli powiększania swych posiadłości kosztem Europy. Tak więc Rosya byłaby raczej zmuszona do gromadzenia wszystkich zasobów wojennych i pieniężnych celem własnej obrony...

Wywody swe zakończył generał powołaniem się na świadectwo Descorches'a, byłego ministra, rezydenta w Warszawie, oraz Barthelemy'ego i Caillarda, wreszcie ogółu polskich patryotów, cieszących się zaufa-

niem całego narodu. Równocześnie wszakże z memoryalem, dotyczącym sprawy legionów, wręczył Dąbrowski ministrom spraw zagranicznych oraz wojny prośbę, w której dopraszał się o pozwolenie służenia w charakterze ochotnika przy sztabie Klebera. Na to ostatnie żądanie zgodził się dyrektoryat bez dłuższego namysłu i w dniu dwudziestym szóstym tego miesiąca, minister wojny, Petiet, udzielił generałowi żadanego upoważnienia, które w każdym razie było zaszczytnym wyrazem uznania, jakie rząd republikański żywił dla jego osoby, zaś w kilka dni później otrzymał Dąbrowski dwa dokumenty urzędowe, rozwiązujące pomyślnie omawianą od tak długiego czasu sprawę legionów. Pierwszy z tych aktów zawierał odezwę dyrektoryatu wykonawczego, wystosowaną w dniu dwudziestym ósmym b. m. do głównodowodzącego armią włoską generała Bonapartego, a zalecającą temu wodzowi formację legionów kosztem prowizorycznego rządu w Medyolanie lub w Modenie. W drugim piśmie, wygotowanem w dniu trzydziestym października t. r. pisał Petiet do Dąbrowskiego, jak następuje:

Przedstawiłem dyrektoryatowi memoryał, który mi przesłałeś. Zdawał się on zawierać w sobie myśli, które w rzeczy samej mogłyby pośrednio ułatwić patryotom polskim środki do działania w sprawie odrodzenia ich ojczyzny. W myśl konstytucyi, dyrektoryat nie może wprawdzie zezwolić na zawiązanie legionów polskich, pozostających w służbie francuskiej. Natomiast nie upatruje w tem żadnej niestosowności, by legiony powstały

u tych ludów, z którymi Rzeczpospolita pozostaje w dobrych stosunkach, a które dokładają wszelkich starań celem zachowania swej niezależności. Bolonia, Ferrara, Medyolan, zgłosiły się do dyrektoryatu z propozycją urzeczywistnienia projektu, który przedstawiłeś, skutkiem czego rząd wystosował w tej sprawie list do Bonapartego, komendanta armii włoskiej...

Pismo to było pierwszym zwiastunem lepszej przyszłości po długich miesiącach wyczekiwania i niepewności. Wywołało więc jak najkorzystniejsze wrażenie.

Prawdziwie szczęśliwym czuć się musiał z takiego załatwienia sprawy Dąbrowski, którego położenie wśród swarliwego wychodźstwa, nagromadzonego w Paryżu, nie należało do najprzyjemniejszych. Głównie burzył ziomków przeciw generałowi kasztelan Mniewski, który jeszcze z czasów wyprawy wielkopolskiej jakoweś zale żywił wobec Dąbrowskiego, zwąc go uporeczywie Niemcem, a nazwisko to powtarzała w dobrej wierze krzykliwa, z radykalnych żywiołów złożona, gromadka adherentów kasztelana, który papką i solą jednał sobie po staremu zwolenników, obrzucając przeciwników politycznych oskarżeniem, iż działają z natchnienia dworu berlińskiego, to znów z poduszczenia Stanisława Augusta. Wprawdzie nie brakło wśród wychodźców ludzi rozsądnych i umiarkowanych, dalekich od walk stronnicych oraz śmiesznej pretensyi reprezentowania całego narodu na obczyźnie, ale głośniejszym i ruchliwszym był obóz przeciwny, skłaniający się ku paryskim tero-

rystem i kompromitujący w ten sposób sprawę narodową wobec obcych.

W oczach tej partii Dąbrowski wraz z przybyłym dopiero z kraju generałem Wojezyńskim, uchodzili za agentów zdetronizowanego króla, którym należało na każdym kroku stawiać przeszkody.

Decyzja dyrektoryatu wyzwała Dąbrowskiego od konieczności staczania dalszej walki z bulwarowymi politykami, otwierając przywykłemu do czynu żołnierzowi szerokie do działania pole. Świeże atoli przeszkody stały znów w drodze generałowi, odraczając chwilę jego wyjazdu z Paryża. Był po prostu bez grosza, podobnie, jak poważna część wychodźców, żywiących się i mieszkających na kredyt, a dyrektoryat, wyprawiając go do Włoch, nie pomyślał wcale o wyznaczeniu mu potrzebnych funduszy na tak daleką i kosztowną w owe czasy drogę.

Szczęśliwa gwiazda i tym razem wybawiła Dąbrowskiego z kłopotliwego położenia. Niespodzianie przyjechał w tym czasie do Paryża major Zabłocki, adjutant generała w czasie kampanii Kościuszkowskiej, przywożąc dla Wybickiego sumę tysiąca czerwonych złotych, przysłaną mu z kraju. Oczywiście Wybicki nie namyślał się ani na chwilę i zaspokoiwszy pretensję swego gospodarza, który go na słowo żywił, resztę pieniędzy oddał do rozporządzenia Dąbrowskiego, Wielhorskiego, Barsa. Teraz już nie nie zdawało się stać na przeszkodzie wyjazdowi generała do Włoch, gdy zjawił się nad Sekwaną Zajączek, który zaraz po swem

przybyciu jał przeciw Dąbrowskiemu występować w sposób namiętny i gorszący zarazem.

Późniejszy książę-namiestnik Królestwa Kongresowego był bez wątpienia żołnierzem walecznym, zdolnym generałem, cenionym z tego powodu przez Napoleona, ale pod względem charakteru przedstawiał poważne braki. Rozpoczynawszy karierę od pełnienia funkcji lajbhuzara przy hetmanie Branickim — tak przynajmniej utrzymuje współczesny pamiętnikarz Gąsianowski — stawał za pańską karetą podczas przejażdżki lub przy obiedzie za stołkiem swego chlebowodawcy, by mu zmieniać farfurki. A że był przystojny i sprytny, przeto Branicki zrobił go dla fantazyi swym adjutantem, zaś pani hetmanowa lubiła widzieć Zajączka, galopującego w świetnym mundurze u drzwiczek jej karety... Egoista z usposobienia, nie pogardzał też Zajączek, wzorem innych karierowiczów, fałszem oraz intrygą, a jakkolwiek wyniesienie swe zawdzięczał magnackim faworom, nie cierpiał wyższych klas społecznych i już w czasie insurekcji Kościuszkowskiej, zaliczał się do najbardziej zacieklej demagogów. Szczególnym celem jego nienawiści był zarówno Dąbrowski, jak książę Józef Poniatowski, którego Zajączek pogardliwie „książątkiem“ nazywał.

Owoż po upadku Kościuszki, przedzierając się przez kordon austriacki, schwytany został Zajączek przez władze cesarskie i osadzony w Josefstadzie, a następnie w Ołomuńcu, skąd dopiero pod jesień 1796 roku zdołał umknąć i przedostać się do Francyi. Tam zetknął

się z dawnymi radykałami warszawskimi, z Taszyckim, Mniewskim, Orchowskim, którzy, nie przebierając w środkach, walczyli przeciw Dąbrowskiemu, Barsowi, Wybiickiemu, słowem przeciw wszystkim działaczom w sprawie legionów, nie oszczędzając nawet pocziwego Kniaziewicza, ani też cichego, oddanego zawodowym studjom Sokolnickiego, byle tylko ich kosztem wywyższyć zasługi „wielkiego patryoty“ Zajączka.

Nie pogardzała owa partya jakobińska potwarzą i oszczerstwem, których ślady zachowały się po dziś dzień w współczesnych publikacjach, a oliwy do ognia dołała ostra krytyka działalności militarnej Zajączka, wyrażona przez Dąbrowskiego w ogłoszonej świeżo przez niego bezimiennej publikacji p. t. *Beitrag zur Geschichte der polnischen Revolution im Jahre 1794.*, wydanej równocześnie w Frankfurcie i w Lipsku. Zajączek, urażony ową krytyką, uznał za stosowne wystąpić z obszernym zarzutem wobec Dąbrowskiego, iż zarobiwszy znaczne sumy na ostatnich zamieszkach krajowych, zamierza na legionach jeszcze więcej zyskać. Tak więc Dąbrowski, doprowadzony do ostateczności, musiał wyzwać na rękę przeciwnika i dopiero usilnym zabiegom Kniaziewicza, Sokolnickiego oraz Wybickiego, udało się powaśnionych nakłonić do pozornej chociażby zgody. Zaraz też po załatwieniu tej przykrej sprawy, puścił się generał wraz z Wojeżyńskim oraz Tremonem w drogę do Włoch. W połowie listopada widzimy Dąbrowskiego w Bazylei, zkaąd wyprawił list serdeczny do Klebera i tłumacząc mu powody, dla których mu-

siał się wyrzec zaszczytu służenia przy jego boku, upraszał go o względy dla wojskowych polskich, którzyby się w przejeździe do niego zgłosili. Nie pozostał mu Kleber dłużnym w odpowiedzi, w której obok wyrazów żalu z powodu wyjazdu Dąbrowskiego do Włoch, mieściło się też zapewnienie tego wodza, iż w razie, gdyby Polska powstać miała z upadku i zapotrzebować jego usług, on dumnym będzie, iż może działać choćby na podrzędnem stanowisku, dla przywrócenia wolności ludowi, stworzonemu na to, aby jej używał..

W Medyolanie, gdzie mieściła się główna kwatera Bonapartego, stanął Dąbrowski w dniu drugim grudnia, 1796 r. i zastał tam już garstkę Polaków, walezących pod obcym sztandarem na rzecz wolności włoskiej. Rząd bowiem Rzeczypospolitej transpadańskiej postanowił zaraz w pierwszych chwilach swego istnienia stworzyć własną siłę zbrojną, a ponieważ odwykły od broni wieśniak lombardzki nie przedstawiał odpowiedniego materiału na żołnierza, przeto postanowiono powołać pod sztandary świeżo powstałej republiki cudzoziemców. Jeńcy austriaccy, złożeni przeważnie z rekruta galicyjskiego, dostarczyli zaraz w pierwszej chwili najliczniejszego zastępu nowozacieężnych, z których utworzono osobny batalion. Komendę tego oddziału powierzono Strzałkowskiemu, który jako major służywał w dawnej gwardyi koronnej i dzielnie stawał w ostatniej rewolucyi, by po jej upadku zaofiarować swą szpadę Francyi. Batalion Strzałkowskiego nosił mundur i odznaki lombardzkie, ale komendę miał polską. Równo-

częśnie ze Strzałkowskim przybył też do Włoch Amilkar Kosiński, dzielny żołnierz kościuszkowski, który zrazu jako ochotnik, a po otrzymaniu naturalizacyi mianowany kapitanem kwatermistrzowstwa, odbył pod rozkazami Bonapartego kampanię dziewięćdziesiątego szóstego roku. Był też w głównej kwaterze adjutantem naczelnego wodza zdolny i przedsiębiorczy Sułkowski, lecz szczupła ta garstka Polaków, w obce przebrana mundury i obcej służąc sprawie, nie zwracała na siebie uwagi wśród wielojęzycznych zastępów Bonapartego i dopiero pojawienie się Dąbrowskiego w Medyolanie dało początek formacyi naszych legionów na ziemi włoskiej.

Dąbrowski przywiózł z sobą, jak już wspomniano, pismo polecające dyrektoryatu wykonawczego do generała Bonapartego, opiewające, jak następuje: „...Patryoci polscy, pragnąc przygotować środki, wiodące ich do odrodzenia ojczyzny, chcą, obywatelu generale, znaleźć pomieszczenie w okrytych sławą zastępach republiki francuskiej. Jenerał Dąbrowski zaprojektował nam, abyśmy przyjęli do służby zbiegów z wojsk cesarskich. W myśl konstytucyi, nie może rząd francuski przyjmować jako najemników wojska cudzoziemskie i z tego powodu projekt ów był niewykonalny. Ponieważ jednak dla interesów rzeczypospolitej nie może być okolicznością obojętną ułatwianie zbiegowstwa Polakom, pozostającym obecnie w służbie austriackiej, przeto też dyrektoryat poleca ci, abys zbadał, czy prowizoryczne

rzady: medyolański lub modeński, nie okazałyby się skłonnymi do przyjęcia ich w swą służbę?...

Mimo przychylnej treści powyższej odezwy, przyjęcie, jakiego doznał nasz generał w głównej kwaterze, nie było zachęcające i zdawało się źle wróżyć o powodzeniu sprawy legionów. Bonaparte, który nawiasem mówiąc, niechętnie przyjmował jakiekolwiek zlecenia od władzy naczelnej, udzielił przybywającemu w dniu czwartym grudnia posłuchania w sposób obojętny i niezbyt grzeczny. Odebrawszy z rąk Dąbrowskiego pismo dyrektoryatu, nadmienił chłodno, iż nie wątpi wprawdzie o waleczności Polaków, lecz nie ma żadnej pewności, czy żołnierz, zbiegły z szeregów austriackich, zdoła stawić czoło dawnym towarzyszom broni.

→ Kazałem na próbę uformować batalion Polaków — dodał w końcu Bonaparte, mający na myśli oddział Strzałkowskiego. — Panowie możecie być w nim umieszczeni jako oficerowie...

Zimna ta odpowiedź uraziła Dąbrowskiego oraz towarzyszących mu Wojczyńskiego i Tremona. Nie pojmując sprzeciwiania się ze strony naczelnego wodza poleceniom dyrektoryatu, przypisywali je tajnym instrukcyom rządu francuskiego, chcącego się w ten sposób pozbyć Polaków. Zamierzali już nawet porzucić dwór medyolański — jak żołnierze armii włoskiej zwali kwaterę swego wodza — gdy traf szczęśliwy zetknął ich z Kosińskim. Ten ostatni, człek energiczny i ruchliwy, posiadał już rozliczne w Medyolanie stosunki, a zwłaszcza pozostawał w ścisłej zażyłości z Gazarim,

generalnym sekretarzem prowizorycznym rządu sabaudzkiego. Kosiński szybko rozpatrzył się w sytuacji i odwiódł zniechęconego generała od zamiaru opuszczenia głównej kwatery, a równocześnie przez Gazarię trafił do członka rządu, Viscontiego, któremu przedstawił konieczność zwiększenia korpusu armii krajowej, celem skutecznego w razie potrzeby posilkowania wojsk francuskich.

— Kraj wasz — prawil upojonym świeżo udzyskaną wolnością Włochom — lubo stojący na wysokim stopniu oświaty, sztuk i nauk, nie odznacza się duchem wojennym, tyle potrzebnym obecnie do szczęścia waszego. Teraz nastrocza się sposobność najpomysłniejsza zastąpienia tego przymiotu, tak dla was ważnego, przez przyjęcie na koszt krajowy korpusu polskiego pod nazwą legionów posilkowych Lombardyi, co łatwo nastąpić może, jeżeli plan utworzenia takiego korpusu administracya główna kraju przedłoży jako projekt własny Bonapartemu...

Słowa te trafiły do przekonania osób, rządzących Lombardya, a szef sztabu Napoleona oraz najzaufańszy powiernik jego planów, Bertier, zaliczający się podobno do przyjaciół domu Viscontich, wyrobił Dąbrowskiemu w pierwszych dniach stycznia 1797 roku ponowne posłuchanie u naczelnego wodza. Tym razem doznał nasz generał jak najlepszego przyjęcia i w dniu dziewiątym stycznia t. r. przyszła do skutku umowa, w myśl której administracya generalna Lombardyi przyjmowała usługi Polaków, tworzących legiony posilkowe polskie.

Mundury, odznaki i organizacja tego korpusu miały być zbliżone, o ile możności, do formacyi dawnego wojska narodowego. Na epoletach legionistów o barwie narodowej widniały słowa: „*Gli uomini liberi sono fratelli*“ (Wolni ludzie są braćmi) a nadto oficerowie i szeregowcy legionu nosili kokardę z pomocą ludziom wolnym. Żołd i utrzymanie tudzież świadectwa służbowe otrzymywali legioniści na równi z wojskiem narodowym, zaś stanowisko korpusu wobec rządu warował osobny, najważniejszy bezwątpienia artykuł umowy.

„Lud lombardzki oświadcza — czytano w szóstym ustępie rzeczonej konwencyi — że Polaków, uzbrojonych celem obrony wolności, uważać będzie jako prawdziwych braci, nie zaś jako zaciąg cudzoziemski. Stosownie też do tego przyznaje im administracya generalna Lombardyi wszystkie prawa, służące rzeczywistym obywatelom kraju. To jednak nie przeszkodzi im w udaniu się do ognisk rodzinnych, jeżeli tego wymagać będą wypadki oraz jeżeli wolna Lombardya nie będzie potrzebowała bronić swej niepodległości“.

Akt konwencyi, zawierającej w oryginalnem brzmieniu dziesięć artykułów, potwierdzonych przez Bonapartego, wyszedł podobno z pod pióra Kosińskiego, który, wedle pamiętników współczesnych, miał być również autorem podpisanej przez Dąbrowskiego w dniu dwudziestym stycznia 1797 roku odezwy do ziomków. Pamiętny ten akt opiewał, jak następuje:

Wolność.

Równość.

Odezwa do Polaków.

Dąbrowski, generał lieutenant rzeczypospolitej polskiej,
umocowany do formowania Legionów Polskich
we Włoszech.

Do Współ-Obywateli!

Wierny oczywiście mojej do ostatniego momentu,
walczyłem za iey wolność pod nieśmiertelnym Kościu-
szką, upadła ona pod przemocą i nie pozostaie nam
iako pocieszające wspomnienie, żeśmy krew przelewali
za ziemię przodków naszych, żeśmy widzieli nasze cho-
ragwie zwyciężkie pod Dubienką, Racławicami, War-
szawa i Wilnem.

Polacy, nadzieia powstaie... Francya zwycięża, ona
się biiie za sprawę narodów, staraymy się osłabić iey
nieprzyjaciół.

Francya pozwala nam schonienia, czekając lep-
szych czasów dla kraju naszego, idźmy pod iey chorą-
gwie, te są oznakiem honoru i zwycięstwa.

Legiony Polskie formują się we Włoszech na tej
ziemi niegdyś Świątyni wolności. Już Officerowie i Żoł-
nierze, towarzysze trudów waszych i męstwa są ze mną,
iuz się bataliony formują, przybywacie koledzy, rzucai-
cie bron, którą was nosić przymuszono, bijmy się za
sprawę wspólną wszystkich Narodów, za wolność pod
walecznym Bonaparte, zwycięzcą Włoch.

Tryumfy Rplitej Francuzkiej są naszą jedyną na-
dzieją, za iey pomocą i iey aljantów, może zobaczymy

ieszcze domy nasze, któreśmy z rozrzewnieniem porzucili.

W kwaterze-główney w Medyolanie. Dnia 1. Pluviose Roku V. Rzeczypospolitey Francuzkiej iedney i niepodzielney (20. stycznia 1797).

General-Lieutenant polski

Jan Dąbrowski.

Proklamacya rzeczona, ogłoszona w językach: polskim, francuskim, niemieckim i włoskim, rozeszła się w tysiącach egzemplarzy po świecie. We Francyi rozpowszechniał ją niezmordowany de la Roche, a kluby patryotyczne polskie, istniejące w Paryżu, w Wenecyi, oraz w celniejszych miastach niemieckich, starały się przemycić odezwę Dąbrowskiego przez graniczne kordony do kraju, pozbawionego wieści o rozbitkach z ostatniej rewolucyi. Arkusze odezwy rozrzucono na linii posterunków austriackich we Włoszech, gdzie nierzadko obok rekrutów, pochodzących z Galicyi, znaleźć można było wojskowych dawnej służby, oficerów kościuszkowskich, przemocą zabranych pod karabin. Wrażenie proklamacyi Dąbrowskiego potęgowała jeszcze bardziej odezwa administracyi generalnej lombardzkiej, przemawiająca w imieniu narodu włoskiego do wszystkich Polaków, opuszczających ziemię ojczystą. Mówiono w niej o enotach narodu polskiego, o nieustraszonych zastępach, które się dobrze zasłużyły całej ludzkości w walce przeciw ciemierzcom, depczącym nogami wszelkie prawa i wskazywano zarazem Francję jako wyswobodicielkę

ujarzmionych narodów, utrwalaając zwycięskim orężem panowanie ludu.

Wezwaniu takiemu któżby się oprzeć zdołał? Wyprawiony do zakładów, istniejących w Piemontcie i w Lombardyi, Kosiński, wyniesiony równocześnie do rangi podpułkownika, zorganizował z jeńców austriackich batalion strzelców, nad którym mu powierzono dowództwo. To samo Eliasza Tremo, adjutant Dąbrowskiego, wysłany do Francyi, zgromadził w ciągu dni kilkunastu zastęp ochotników, wystarczający aż nadto do stworzenia drugiego batalionu.

Słowem, nie brakło zapła, ani też ludzi, obytych z żołnierskiem rzemiosłem i chętnych do zapełnienia szeregów w legionach, ale w chwili najgorętszej nie stało funduszów na uzbrojenie i ubranie ochotników. Skarb rzeczypospolitej lombardzkiej świecił pustkami, a nie o wiele zasobniejszą okazała się kasa wojenna Bonapartego. Tak więc nieszczęsnym tułaczom groził ponowny, trudny do odrobienia zawód. Nie dopuścił wszakże do tego Dąbrowski, który dla urzeczywistnienia swego projektu nie zawahał się z rzuceniem na kartę całej swej fortuny. Wyprawiwszy Woyczyńskiego do Wenecyi, by wśród tamtejszych patriotów szukał pieniędzy, udał się w największej tajemnicy do Galicyi i w połowie lutego 1797 roku stanął w rodzinnych Pierzechowicach.

Szambelan Kępieński bawił podówczas w Płuchowie, ale na wieść o przyjeździe generała, pospieszył na powitanie kuzyna, oraz towarzysza lat dziecinnych.

Dąbrowski oznajmił mu krótko a węzłowato cel swego przybycia i zaproponował kuzynowi nabycie Pierzechowic. W sąsiedztwie, w Liplesie, mieszkał Ludwik hr. Dębicki, generał wojsk polskich, spowinowacony z Dąbrowskim, gdyż ożeniony był z siostrą jego cioteczną, Gorecką, wdową po Gordonie. Zaproszono go na radę wraz z osiadłym w tych stronach Ludwikiem hr. Moszczeńskim. Część gotowizny miał Kępieński w domu, reszty potrzebnej dopełnił Dębicki, i tak w dniu 22. lutego t. r., bez komornika i adwokatów, stanął układ sprzedaży Pierzechowic. Akt sprzedaży sporządzono w kilkunastu słowach i generał, uzyskawszy potrzebne fundusze, powrócił co rychłej do Włoch.

Teraz szeregi legionu pomnażały się z nadzwyczajną szybkością. Z początkiem marca korpus ten liczył już do dwóch tysięcy ludzi pod bronią, na których czele wyruszył Dąbrowski do Mantui, świeżo opanowanej przez armię republikańską. Uniform legionu, zbliżony, o ile możliwości, do munduru dawnego wojska narodowego, składał się z granatowej kurtki, takichże pantalonów oraz z czapki. Poszczególne bataliony różniły się między sobą barwą wyłogów. I tak pierwszy batalion odznaczał się wypustkami karmazynowemi, zaś oficerowie oraz żołnierze posiadali guziki i szlify srebrne, podczas gdy strzelcy Kosińskiego przy zielonych wyłogach używali szlif oraz guzików złotych. Za przybyciem do Mantui, poczęto formować ze zbiegów, oraz z jeńców armii austriackiej nowy batalion fizylierów, podczas gdy w Medyolanie organizowano arty-

leryę legionu. Żółte wyłogi i srebrne szlify oznaczały fizyliarów, zaś czarne wypustki i także lampasy przy złotych szlifach i mundurze zielonym nosili artylerzyści.

Chrzest ogniowy otrzymał legion w walce z ludowem powstaniem, wybuchłem w okolicy Brescyi, pod wpływem zamieszek, których widownią stało się państwo kościelne. Mimo formalnego traktatu, zawartego przez Bonapartego z stolicą Piotrową, górale, podburzani przez wiejskie duchowieństwo przeciw Francuzom, nie tylko mordowali bez litości błędzących samopas żołnierzy i kuryerów rządowych, lecz pustoszyli ogniem i mieczem posiadłości zwolenników republiki. Pierwsza wyprawa legionu uwieńczona została jak najpomyślniejszym rezultatem. Bandyci, żądni jedynie łupów, nie dotrzymali placu naszemu żołnierzowi i rzuciwszy bron, rozprószyli się w górach bez śladu, podobnie jak górale w Romanii, przeciw którym wyprawiono strzelców Kosińskiego.

W kwietniu przywrócono już pokój w dotkniętych powstaniem okolicach, jakkolwiek komendanci legionów nie uciekali się przy pacyfikacyi kraju do kuli i stryczka, czem aż nazbyt może chętnie posługiwali się Francuzi. Przeciwnie legioniści, załogujący w rozmaitych miejscowościach, pozostawili po sobie jak najlepsze wspomnienie u ludności tamtejszej. Rząd lombardzki nie omieszkiał wynagrodzić naszego żołnierza zaofiarowaniem sztandarów dla każdego batalionu z osobna, zaś Dąbrowskiego obdarzył koniem z przepysznym rze-

dem. Dar ten przyszedł generałowi w samą porę, gdyż łożąc z własnej kieszeni na zaspokojenie potrzeb swego oddziału, obywatł się do tej pory lichym wierzchowcem, zaś huzar jego przyboczny chadzał pieszo... Zaraz też administracya krajowa zaproponowała Dąbrowskiemu tworzenie kawaleryi legionów, oraz pomnożenie istniejącego już oddziału artyleryi, lecz na razie musiano zaniechać tej myśli dla braku odpowiedniej ilości oficerów, którzy przedzierając się z kraju przez Niemcy i prowincye austryackie, nie zdołali jeszcze na czas zdążyć.

Tymczasem w pierwszych dniach marca rozpoczęła się na włoskim teatrze wojny ponowna walka z Austryą, której zastępy wiódł najzdolniejszy z wodzów cesarskich, arcyksiążę Karol, podczas gdy pod rozkazami Bonapartego wystąpili do boju generałowie tej miary, co Joubert, Bernadotte i Massena. Armia austryacka, zdemoralizowana dotychczasowymi klęskami, poniesionemi na italskim półwyspie, nie znalazła nawet dość czasu na skupienie swych sił, rozrzuconych na znacznej przestrzeni między Alpami Noryckimi a Tryestem, gdy Francuzi zaatakowali ją równocześnie w trzech punktach. W krwawem spotkaniu pod Tagliamento złamanym został główny korpus wojsk cesarskich i arcyksiążę cudem zaledwo ocalał przed ujęciem go w niewolę, Palma Nuova, Gradyska, Treviso, wpadały kolejno w ręce zwycięskiej armii republikańskiej, wkraczającej śmiało w głąb dziedzicznych krajów monarchii. Z końcem marca główna kwatera Bonapartego znajdowała się w

wała się w Celowcu, a przednie jego straży ukazywały się już na wyżynie Semmeringu, gdy w dniu siódmym kwietnia obie strony walczące zgodziły się na zawarcie rozejmu, po którym nastąpiło podpisanie preliminarjów pokojowych w Leobenie.

W kampanii tej nie brał udziału nasz legion, liczący do pięciu tysięcy ludzi pod bronią, lubo Dąbrowski dopraszał się gorąco powołania go na linię bojową. Niezrażony wymijającemi odpowiedziami Bonapartego, przedstawił mu nasz generał projekt wyprawy do Galicyi, którą podejmował się uskutecznić pod warunkiem wzmożenia sił legionu siedmiotysięcznym oddziałem francuskim, oraz odpowiednią artyleryą. Na Palma Nuova i Riekę, przez Dalmacyę, Serbię i Mołdowoszczyznę, zamierzał on posunąć się ku granicom Bukowiny, by następnie wkroczyć do Galicyi, gdzie spodziewał się znaleźć ludność dostatecznie przygotowaną do ogólnego powstania. Rewolucya w Galicyi musiałaby spowodować Austryę do odwołania części jej wojsk z krajów włoskich, a w dalszem następstwie wywołałaby powstanie w całych Węgrzech.

Oczywiście liczył Dąbrowski w tym wypadku na neutralność Prus, zawistnych wobec Austrii, które miałyby dozwolić podążającym ku Galicyi korpusom wolnego przechodu przez swe posiadłości. Utrzymywał nadto, iż oddział francuski, uczestniczący w wyprawie galicyjskiej, w razie klęski może być pewny opieki tureckiej, pod której osłoną powróci do ojczyzny, rząd zaś republiki, pośrednio tylko wmięszany w ową spra-

wę, nie będzie dźwigał na sobie żadnej odpowiedzialności.

Projekt Dąbrowskiego, oparty na zbyt rozległych i z trudnością dających się obliczyć kombinacjach, znalazł żywe poparcie nie tylko w kołach legionistów, ale i wśród wychodźstwa polskiego w Paryżu dokładającego wszelkich starań, by usposobić rząd republiki przychylnie dla myśli naszego generała. Sam nawet kierownik francuskiej polityki zagranicznej, Karol de Croix, nie taił się bynajmniej z zapatrywaniem, że należy zachęcić Polaków galicyjskich do rozwinięcia sztandaru powstania i zwracał uwagę Ogińskiego, że rzeczą jego ziomków jest korzystanie z sposobnej pory oraz dopełnienie obowiązków, nakazanych przez honor narodowy. Pod wpływem takich wynurzeń, patrioci paryscy zgodzili się jednomyślnie na plan zrewolucjonizowania Galicji i wyprawili w swem imieniu Ogińskiego wraz z Mniewskim do głównej kwatery Dąbrowskiego, który z końcem marca otrzymał tyle pożądanego rozkazu posunięcia się do Palma Nuova.

Żołnierz był najlepszym duchem ożywiony, czując, iż zbliża się do linii bojowej, gdy wtem nagle, jakby grom z jasnego nieba, spadła na legionistów wieść o układach pokojowych w Leobenie. Wśród ogólnego przygnębienia pospieszył generał do Gracu, by z ust Bonapartego dowiedzieć się cośkolwiek pewnego o losie Polaków. Prócz zaszczytnych wszakże pochwał dla waleczności i karności legionistów, usłyszał od naczelnego wodza ogólnikową zachętę do dal-

szego wytrwania wraz z utyskiwaniem, iż stosunki polityczne nie pozwalają teraz uczynić cokolwiek stanowczego dla sprawy Polaków. Z uczuciem bolesnego zawodu powrócił Dąbrowski do swoich, by wziąć na czele legionu udział w blokadzie Wenecyi, która utratą niepodległości przepłacić miała naruszenie z swej strony neutralności podczas ostatniej kampanii. Równocześnie oddział legionistów pod wodzą Liberackiego zdobywał szturmem zbuntowaną przez weneckich oligarchów Weronę. Miasto wpadło w ręce naszych, lecz mężny Liberacki, walcząc w ulicach zdobytej Werony, legł na miejscu od kuli powstańczej. Tymczasem główne siły załogowały w Mestryi, dokąd też przybył szczęśliwie Kniaziewicz wraz z Drzewieckim, podążający z kraju pod bratnie sztandary.

Po kapitulacyi królowej Adryatyku, która nie znalazła dość odwagi, by pomyśleć o stawieniu zbrojnego oporu Francuzom, dostał Dąbrowski rozkaz udania się do Bolonii i tam też otrzymał radosną wiadomość, że dawny jego podkomendny, Białowiejski, na czele tysiąca nowozaciecznych, spieszy z Lille celem połączenia się z legionem. Maj zeszedł generałowi na pracach organizacyjnych, gdyż korpus jego liczył już w owym czasie dwie legie piesze, każda w sile trzech batalionów (batalion składał się z dziesięciu kompanij po 125 żołnierzy), oraz trzy kompanie artylerji pod szefem Aksamirowskim. Pod względem służby garnizonowej obowiązywał regulamin, przyjęty w armii francuskiej, lecz co do musztry oraz domowej karności trzymano się w le-

gionie przepisów, obowiązujących w dawnej armii Rzeczypospolitej, z tym jedynie wyjątkiem, że kara cielesna nie była w użyciu. Niedziw przeto, że do legionów garnęli się nieustannie dezterterzy z armii austriackiej, tudzież polscy jeńcy wojenni, tak, iż niebawem obie legie miały dostateczny komplet szeregowców i podoficerów. Nie na wiele zdały się przeto ogłaszane przez dwory rozbiorowe zakazy, grożące karą śmierci każdemu, ktoby poważył się utrzymywać jakiegokolwiek stosunki z legionistami. Duch najlepszy panował wśród legionów, podsycany nadzieją rychłego powrotu do ojczyzny.

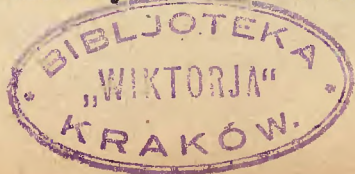
Inne wszakże były zamysły Bonapartego, który żadną miarą nie chciał uwierzyć, by legionieści, rekrutowani w znacznej części z szeregów austriackich, mogli się bić odważnie przeciw armii cesarskiej. I dlatego na wieść o rozruchach w Reggio wywołanych poduszczeniami reakcyonistów, nakazano Dąbrowskiemu przywrócenie do porządku tegoż miasta. W pierwszych dniach lipca wyruszył generał do Reggio na czele batalionu grenadyerów i już w przeciągu tygodnia mógł donieść naczelnemu wodzowi, iż spokój panuje w zagrożonych powstaniem miejscowościach. Równocześnie starał się Dąbrowski przypomnieć Bonapartemu, by na kongresie rasztadzkim, do którego właśnie czyniono przygotowania, sprawa Polski nie została pominięta milczeniem. Wódz naczelny wymijającą dał w jej sprawie odpowiedź naszemu generałowi. Przyrzekał wprawdzie, iż na wypadek zerwania układów pokojowych, odda na jego rozkazy dywizję francusko-włoską celem posiłkowania

polskiego legionu, ale co do żądania aby Polacy weszli w skład przyszłego kongresu, wręcz się sprzeciwił.

Życzliwość przyjaciół wolności — zapewniał Bonaparte naszego wodza — jest po stronie walecznych Polaków, lecz zależy to od czasu i przeznaczeń, aby ją w życie wprowadzić...

Ogólnikowa ta odprawa mniej niekorzystne sprawiła wrażenie wobec równoczesnego rozkazu, by legie zbliżyły się ku widowni przyszłej walki. Już przednie stráže dochodziły do Pisanny, gdy nadbiegł kuryer z wiadomością o zawarciu z Austryą ostatecznego traktatu w Campo Formio. Dąbrowski odchorował tę wiadomość, ale usłuchał rozkazów, wychodzących z głównej kwatery, a nakazujących odwrót na całej linii.

Pod jesień zajęli legioniści leże w Ferrarze i w Mantui, batalion zaś strzelców pod wodzą Chłopickiego, wysłano na załogę do burzącej się nieustannie przeciwko republikańskiej załodze Wenecyi. Jeszcze przed odjazdem Napoleona do Rasztadu, pospieszył do niego Dąbrowski, by w imieniu podkomendnych zalecić jego względem sprawę Polski, lecz już w pierwszych dniach grudnia t. r. stanął z powrotem, by objąć naczelne dowództwo wyprawy, której celem było uśmierzenie groźnych ruchów, pojawiających się w granicach państwa kościelnego. Prześladowanie republikanów w posiadłościach papieskich, oraz podburzanie ludności przeciw Francuzom za pośrednictwem krążących po całych Włoszech emisaryuszów, stanowiły *casus belli* i Dąbrow-



skiemu, posilkowanemu przez oddziały wojsk cyrzałpińskich, nakazano wkroczyć do państwa kościelnego.

W przeciagu kilku dni, niemal prawie bez oporu, zajęli nasi miejscowość Pogio di Berni, tudzież wzniesioną na niedostępnych skałach warownię Sam Leo, a ponieważ wojska papieskie cofały się bez wystrzału, przeto przed upływem miesiąca prowincye Pesaro oraz Urbino dostały się w ręce republikańców, zaś Dąbrowski zamieszkiwał w Pesaro w rezydencyi kardynała Saluzzo, który znając dobrze Polaków z czasów, gdy był jeszcze nuncyuszem w Warszawie, czuł się bezpieczniejszym pod opieką legionistów, aniżeli wśród rozszalałego motłochu miejscowego.

Tymczasem w murach wiecznego miasta przyszło w ostatnich dniach grudnia t. r. do krwawej katastrofy. Pódezas demonstracyi ulicznej, wyprawionej pod oknami francuskiego peselstwa, uderzyło wojsko na tłum i w czasie tego starcia legł śmiertelnie ugodzony generał Duphot. Poseł francuski, Józef Bonaparte, opuścił przeto niezwłocznie Rzym i odwołał się do pomocy Dąbrowskiego, który posunął się pod Fano. Tam też z końcem stycznia 1797 r. zjawił się niespodziewanie Berthier, dowodzący zastępczo armią włoską i zapytał groźnym tonem naszego generała, co go skłoniło do zaczepnego działania? W odpowiedzi złożył mu Dąbrowski pismo Józefa Bonapartego, wraz z wyjaśnieniem, iż ważną tę pod względem strategicznym pozycyę, zajął bez straty choćby jednego żołnierza. Ale Berthier, korzystając z przewagi, jaką mu dawało naczelne stano-

wisko, jał wyrzucać generałowi, iż dowodząc szeregami, chciał działać zaczepnie i mógł w ten sposób na szwank narazić reputację niewyciężonej dotychczas armii. Trafnie wszakże odparł mu Dąbrowski, wyrażając zdziwienie z powodu tego rodzaju zarzutów, pochodzących od towarzysza broni Bonapartego, który czynem stwierdza każdego czasu, że prowincye zdobywa się nie ilością żołnierzy, lecz zręcznością i odwagą wodzów...

Ostatecznie jednak musiał Dąbrowski postąpić według rozkazu swego zwierzchnika i cofać się w kierunku Urbino, podczas gdy pozycye przez niego opatrowane, zajmowały silne kolumny wojsk francuskich, podążające z jak największym pośpiechem. Piechotę transportowano na wozach, zaś działa przewożono pocztą.

W miarę zbliżania się sił liniowych, ustępowały legiony, kupiąc się w okolicy Rimini, gdzie w dniu 7. lutego znajdowała się główna kwatery Dąbrowskiego, który, skazany na chwilową bezczynność, korzystał z chwili wytchnienia, by znów w drodze dyplomatycznej poruszyć naszą sprawę. Sposobność do tego kroku nastąpiła mu nota anonima, Polaka, „znakomitego przez swe zdolności, patriotyzm, oraz ważne urzędy piastowane w kraju“ — jak się wyraża Dąbrowski w swym pamiętniku, mówiąc o autorze memoriału.

Nowy ten projekt podnosił myśl restauracyi Polski przy pomocy dworu wiedeńskiego, w zamian za co

„Francyi, jako pierwszemu narodowi w Europie“ — twierdził anonimowy autor memoriału — „wypada przede wszystkim skarcić niesprawiedliwość oraz ucisk, a zarazem poprzeć usiłowania sejmu polskiego, któryby należało zwołać na ziemi włoskiej, dążące do ustalenia powszechnego pokoju. Na wypadek zaś, gdyby Rosya i Prusy, zaślepione swym separatystycznym interesem, zamierzały się oprzeć postanowieniom sejmowym, wówczas ciało to przystąpiłoby do działań, jakieby uznało za stosowne, oraz jakieby wskazały mocarstwa, współpracujące w dziele szczęścia narodu polskiego“.

Otóż owa nota, przesłana Dąbrowskiemu z kraju, zachęciła go do podniesienia kwestyi polskiej na cesarskim dworze, gdzie przedstawicielem Francyi w owe czasy był Bernadotte. Nie był zresztą generał w swej działalności politycznej odosobniony, gdyż zarówno w Paryżu, jak i w Wiedniu gorliwie popierał jego usiłowania zacny Borreau, ostatni przedstawiciel Francyi w Warszawie za Stanisława Augusta, a następnie więzień petropawłowskiej twierdzy. Dyplomata ów, szczerze nam życzliwy, w szeregu memoriałów i not, wypracowanych po części z polecenia Bonapartego, wykazywał konieczność częściowego przynajmniej wskrzeszenia Polski drogą zwrotu niektórych jej dzielnic, zabranych przy ostatnim podziale. Borreau pragnął także, aby inicjatywa w tym kierunku wyszła przede wszystkim od Austrii, jako od państwa najbardziej interesowanego w utworzeniu silnej od Rosyi przegrody.

Na konstytucyjnym tronie polskim zasiadłby arcyksiążę Karol, ożeniony z księżniczką saską.

Bernadotte nie odmówił wprawdzie poparcia przedłożonym mu projektom, ale wszelkie jego zabiegi rozbiły się o konserwatyzm austriackiej polityki, która, mimo chwilowego zbliżenia do Francyi, nie mogła się zdecydować na krok tak stanowczy, jakim było zerwanie z mocarstwami rozbiorowemi, oraz wystąpienie w charakterze wskrzesicielki Polski. Tak więc wyczekując z dniem każdym odpowiedzi z Wiednia, otrzymał Dąbrowski w połowie kwietnia wcale niespodziewane zlecenie, by na czele swego korpusu wzmoćnił w Rzymie, tudzież w Civita Vecchia załogi francuskie, których część znaczną wyprawiono do Egiptu.

Marsz ten odbywał się powoli, bez żadnych przeszkód ze strony ludności, która nauczyła się już odróżniać legionistów od niekarnych wojsk francuskich, ściągających przeciw sobie nienawiść krajowców lekceważeniem obrządków kościelnych oraz łupiestwem. Na Pezaro, Immoli, Ankone, Spoleto, odbywał się dalszy pochód legionu i w dniu trzecim maja 1798 r., weszli nasi w mury wiecznego miasta. Żołnierz polski starał się pokazać najokazalej przy tej sposobności. Wystąpili więc legioniści w odświeżonych mundurach, a postacie ich marsowe, obcy język komendy, tudzież chęć ujrzenia nieznanego dotychczas ludu, zgromadziły tłumy ludu na ulicach miasta. Najpiękniejsza pogoda sprzyjała wejściu legionistów. Okna domostw przepelniały oginiste Rzymianki, ciekawem spoglądające okiem na

jasnowłosych, roslých i barczystych synów północy, którzy w trzech kolumnach weszli na kapitoliańskie wzgórze przy odgłosie trąb i bębnow.

Rozwinęły się szeregi dokoła posagu Marka Aureliusza, żołnierze sprezentowali broń i w środek szyku wjechał Dąbrowski, który w te słowa odezwał się do swych podkomendnych:

— Stanęliście u szczytu góry, na której od wieków sława jaśniała. Ona i wam towarzyszy. Pomnijcie, w jakim dniu wstępujecie tutaj, w dniu drogiej dla was pamiątki. Niech godło sławy i miłości kraju, w sercach waszych na zawsze pozostanie!

Po tej przemowie rozeszło się wojsko na przygotowane kwatery, zaś Dąbrowski, korzystając z podniosłego nastroju chwili, polecił w rozkazie dziennym młodzieży i oficerom, by, nie tracąc czasu nadaremnie, w godzinach wolnych od służby, zajmowali się swem wykształceniem, zwłaszcza w zakresie języka ojczystego, historii i matematyki.

Na pomieszczenie legionistów przeznaczono klasztor Ara Coeli. Wiarusy święcili w dniu ósmym maja uroczyste pamięć patrona Polski w kościółku świętego Stanisława. Z niemniejszą też uroczystością obchodzono w miesiąc później akt odebrania chorągwi Mahometa, zdobytej przez Jana III. pod Wiedniem, a przechowywanej w Loreto. Do odebrania tego sztandaru otrzymał Dąbrowski upoważnienie z głównej kwatery. Niezwłocznie więc polecił przeniesienie chorągwi do Rzymu, co też uskutecznił z wszystkimi honorami wojsko-

wymi. Równocześnie otrzymał nasz generał w darze od jednego z konsulów Rzeczypospolitej rzymskiej klingę szabli Sobieskiego, ofiarowanej również po odsieczy wiedeńskiej Przenajświętszej Matce Boskiej Loretańskiej. Z drogocennej rękojeści tej szabli, szczerozłotej i wysadzanej kosztownymi kamieniami, nie pozostało już w owym czasie ani śladu. Pamiątkowe te dary nie zdołały wszakże zaradzić panującemu wśród legionistów niedostatkowi, a z powodu częstych zmian w składzie rządu cyzalińskiego, był legii ani pod względem prawnym, ani też materalnym, nie był dostatecznie zapewniony. Dąbrowski i Wielohorski czynili w tej mierze usilne starania w Medyolanie, ale na razie nie zdołali usunąć różnorodnych trudności, gdy tymczasem legioniści pełnili służbę o chłodzie i głodzie.

Na domiar złego, skutkiem upałów i nieodpowiedniego pożywienia, wszczęły się między wiarusami gorączkowe choroby, zaś Włosi, widząc naszego żołnierza, modlącego się po kościołach, usiłowali, acz napróżno, nakłonić legionistów do sprzeniewierzenia się narodowym znakom. Podżegaczów musiał generał ukarać śmiercią przez rozstrzelanie, a widząc, iż przez listy, oraz posły niczego dla legionu nie zdoła uzyskać w głównej kwaterze, udał się w drugiej połowie lipca do Medyolanu, gdzie zabawił aż do grudnia t. r.

Dzięki nadzwyczajnym zabiegom udało się Dąbrowskiemu przeprowadzić mianowania dla nadliczbowych oficerów legionu. Natomiast wypłata zaległego żołdu, oraz uzyskanie funduszków, potrzebnych na odzia-

nie legionistów, napotkały na nieprzewyciężone trudności z powodu pustek, panujących w skarbcu młodej Rzeczypospolitej. Zawiodły również generała nadzieje, żywione z powodu powrotu Kościuszki do Francyi. Sądząc, że za staraniem dawnego Naczelnika zdoła otrzymać od dyrektoryatu jakiekolwiek korzyści dla legionu, wyprawił Dąbrowski do niego zaufanego posła w osobie Eliasza Tremona. Ale i ten wysłannik nie zdołał przynieść generałowi pomyślnych wieści. W Paryżu przyjmowano wprawdzie Kościuszkę z wielką ostentacyą, lecz na tem też poprzestał dyrektoryat, nie troszcząc się wcale o sprawę polską. Obojętność ta wszakże, okazywana legionom przez naczelników republiki, nie przeszkadzała wodzom armii francuskiej w użyciu naszego żołnierza do wypraw najbardziej hazardownych. Do rzędu takich ekspedycyj należała walka z powstaniem, jakie niespodziewanie ogarnęło południowe prowincye dawnego państwa kościelnego, podżeganem nieustannie przez rząd neapolitański. W obronie zagrożonej Rzeczypospolitej rzymskiej stanęła Francya, która w dniu szóstym grudnia t. r. wypowiedziała wojnę Neapolowi oraz sprzymierzonej z nim Sardynii. Tamtejszy dom panujący, odsadzony od tronu, szukać musiał ocalenia w ucieczce do Cagliari. Tymczasem dowodzący armią francuską w południowych Włoszech Championet, skupiał swe siły pod Monterose. W pierwszych dniach grudnia przyszło do krwawych starć z wojskami neapolitańskimi pod Magliano, Civita Castellana i Calvi, gdzie legion, dowodzony przez Kniaziewicza

wiekopomną okrył się sławą. W bitwie pod Civita Castellana, zwaną też przez niektórych dziejopisarzy batalią pod Nepi, był też w ogniu Dąbrowski, który powróciwszy dopiero z Medyolanu, pozostawił Kniaziewiczowi samoistne dowództwo legionu, sam zaś na razie przyłączył się do sztabu głównego.

Nie długo wszakże dozwolono wypoczywać Dąbrowskiemu. Już w dniu szesnastym grudnia przyszło mu się ucierać u bram Rzymu z świeżo nadciągającymi oddziałami wojsk neapolitańskich, usiłującymi ubiedz miasto niespodzianym atakiem. Tysiąc jeńców wraz z generałem Pigatellim na czele wpadło przy tej sposobności w ręce naszego wodza, który zaraz o świcie dnia następnego, objawszy napowrót komendę legionu, wyruszył w przedniej straży dywizyi francuskiej Reya, przeznaczonej na ściganie umykającej armii neapolitańskiej.

Po zajęciu Neapolu, oraz po ogłoszeniu w tej stolicy rzeczypospolitej Partenopy, nie szczędziła też władza naczelna republiki francuskiej wyrazów najżywszego uznania dla męstwa legionistów, oświadczając im w osobnem piśmie swe zadowolenie i starając się w ten sposób zagrzać naszego żołnierza do wytrwania pod sztandarami Francyi. Pogrom Neapolu był bowiem początkiem uporeczywej walki, zagrażającej zwycięskiej rzeczypospolitej ze strony monarchicznej koalicyi, skierowanej przez Wielką Brytanię. Trzykroćstutysięczna armia stanęła teraz do boju z Francją, która zaledwo połowę tej siły wyprowadzić mogła w pole. Nadto wy-

borowe wojska republiki walczyły pod przewodem Bonapartego w Egipcie, a ciągle zmiany w dowództwach poszczególnych armij, wywołane nieustannemi intrygami w łonie naczelnej władzy, nie mogły się również przyczynić do powodzenia francuskiego oręża na europejskim teatrze wojny. I tak dowództwo armii włoskiej poruczono nieudolnemu Schererowi, cieszącemu się silnem poparciem dyrektoryatu, podczas gdy odwołanego z Neapolu Championeta zastąpił Macdonald.

Utrzymanie łączności między obiema armiami, działającemi na półwyspie apenińskim, stało się zadaniem Dąbrowskiego, który prócz pierwszego legionu otrzymał w tym celu dowództwo dwóch półbrygad francuskich. W morderczych bitwach nad jeziorem Garda, pod Legnano, Weroną i Magnano, srodze ucierpiała druga legia polska, dowodzona przez Wielohorskiego i Rymkiewicza, który po przegranej pod Magnano śmiertelnie ranny, uniesiony został z pola bitwy, by zginąć w kilka dni później w medyolańskim lazarecie.

Teraz dopiero zawezwał Scherer korpusy Macdonalda i Dąbrowskiego, by co rychlej łączyły się z jego wojskami. Wezwanie rzeczzone przysłał Scherer naszemu generałowi za pośrednictwem jego adjutanta Zawadzkiego, bawiącego już od kilku tygodni wraz z Wybickim w głównej kwaterze. Jeszcze bowiem w marcu wyprawił ich Dąbrowski do naczelnego wodza z prośbą, by cały legion przyłączył do swej armii, a oraz z projektem, by po przełamaniu operacyjnej linii austryac-

kiej, przerznął się do Węgier i następnie do Galicyi. Oczywiście, że po klęsce, poniesionej przez Scherera pod Magnano, nie mogło być i mowy o wykonaniu tego planu, zbliżającego legionistów w rodzinne strony, czem zniechęcony Wybicki opuścił Włochy i przeniósł się do Paryża, podczas gdy Zawadzki w dniu dwudziestym pierwszym kwietnia t. r. przywiózł Dąbrowskiemu rozkaz połączenia się z armią włoską. Skutkiem tego zebrał się cały legion w Terrecinie i z początkiem maja ruszył w drogę na północ. Ruch ten mógł się odbywać tylko z jak największą powolnością, gdyż z jednej strony musiał Dąbrowski czekać na podążający za nim tabor, w którym znajdowała się przygotowana dla legionistów odzież, z drugiej znów zagradzały mu drogę ciągle powstania ludności, burzącej się na wieść o klęskach armii francuskiej.

Najgroźniejsze atoli skutki dla Francuzów mogło mieć powstanie w Toskanii, gdzie poszczególnymi oddziałami rokoszan dowodzili oficerowie wielkiego księcia, pod których rozkazkami powstańcy bili się z determinacją starego żołnierza. Doświadczył tego Dąbrowski w bitwach pod Cortone, Arezzo, Arretino i Ullà, które to ostatnie spotkanie uwieńczone zostało zdobyciem sześciu dział oraz znacznych zapasów amunicyi. W dniu trzynastym czerwca połączył się w końcu wódz legionów pod Reggio z podążającą za nim armią Macdonalda, której losy przyszło mu odtąd podzielać. Niestety, Macdonald przybywał za późno na widownięcie boju i teraz dopiero okazał się w całej pełni błąd następców Bona-

partego, dowodzących naczelnie we Włoszech, a kuszących się o podbicie południowej części półwyspu, nie mając na nim dostatecznie zabezpieczonej podstawy do działania. To też Moreau, który po Szererze otrzymał komendę armii włoskiej, zniechęconej i zdemoralizowanej ostatnimi porażkami, nie był w stanie przeszkodzenia ruchowi wojsk nieprzyjacielskich, zmierzających ku Medyolanowi, zwłaszcza od chwili, gdy armię austriacką, wiedzoną przez Melasa, wsparł Suwarów z siedmiotysięcznym korpusem rosyjskim. Wódz carski, przywykły do szybkich pochodów, spieszył wprost na spotkanie Moreau, który po uporczywym boju pod Cassano, straciwszy znaczną część swych wojsk, cofnąć się musiał aż do Asti, podczas gdy Medyolan w dniu dwudziestym drzewiatym kwietnia wpadł w ręce sprzymierzonych. W dniach piętnastym i szesnastym maja przyszło znów do krwawej rozprawy pod Marengo, poczem Moreau cofnął się do Coni, a następnie, party przez Suwarowa, schronił się na wyżynę Fondi, zaś Turyn w dniu 27. maja otworzył bramy zwycięzcom.

Pojawienie się Macdonalda, spieszącego przez Apeniny z pomocą armii włoskiej, spowodowało Suwarowa do uderzenia z jak największą szybkością na świeżego nieprzyjaciela. Macdonald w połowie czerwca stanął w Piacencyi, gdzie według umowy miało nastąpić połączenie się obu armij francuskich. Tymczasem miasto całej komendy Moreau, zastał tam tylko jedną brygadę jego wojsk, wysłaną w dzielnicę Trebii. W tem to historycznem miejscu, wslawionem krwawymi zapasami,

już za czasów Maryusza, nastąpiła w dniu siedmnastym czerwca mordercza rozprawa między Macdonaldem a zastępami austro-rosyjskimi. Macdonald, mimo znacznej przewagi sił przeciwników, przyjął bitwę, która przez trzy dni z rzędu zatrudnić miała obie strony walczące. Polacy pod wodzą Dąbrowskiego, mając przed sobą sprawę rzezi Pragi, szli w ogień z szaloną furją. W drugim dniu bitwy Dąbrowski, otoczony przez kozacwto, omal, że nie dostał się do niewoli. Ocalili go wszakże oficerowie jazdy polskiej Biernacki, Petrykowski i Stuart, którzy wyrąbali generała z pośród napastników, a Dąbrowski, ciąższy w głowę zastępującego mu drogę kozaka, rzucił się z koniem wpław i bez szwanku przepłynął rzekę. Podobnież adjutant jego Pflugbeil, straciwszy konia podczas bitwy, przemknął się między placówkami nieprzyjacielskimi i dopiero nad ranem powrócił do obozu. Wszyscy niemal generałowie odnieśli cięższe lub lżejsze rany. Trzeciego dnia bój ponowił się z większą jeszcze zaciętością. Dąbrowski był ranny, dwa konie pod nim ubito. Osaczony przez strzelców rosyjskich, przez których niepodobna mu było utorować sobie drogę, znalazł się znów w niebezpieczeństwie, lecz grenadyerzy francuscy pospieszyli mu z pomocą i bagnetem rozprószyli nieprzyjaciela. Noc zapadła i w pobojowiskiem, gdy Macdonald, straciwszy do ośmiu tysięcy żołnierza, dał rozkaz do odwrotu. W ślad za nim ruszył dnia następnego (20. czerwca) nieprzyjaciel i do wieczora niepokoił ustępującą armię republikańską, przyczem znów legionowi wypadło zasłaniać własną

piersią odwrót zwyciężonych. Za każdym niemal krokiem przychodziło znużonym trzydniową walką legionistom przebywać rowy i płoty, wytrzymując ogień nieprzyjaciela i narażając się na odcięcie od głównej armii. Mimo gwałtowności pościgu, ani jedno działo, ani jeden wóz nie wpadły w ręce zwycięzcy, który po upływie doby zaniechał dalszej pogoni.

Dopiero w reggio mógł legion odetchnąć bezpiecznie po trudach bojowych, straciwszy w ciągu ostatnich tygodni do dwóch tysięcy oficerów i szeregowców, w poległych, rannych, tudzież w jeńcach. Wobec tego reorganizacya legionu okazała się konieczną. Części nowozaciężnych dostarczyli jeńcy z pułków galicyjskich, wzięci ho niewoli w bitwie nad Trebią, oraz w poprzednich utarczках; powróciła też po jakimś czasie część pojmanych legionistów, którym udało się omylić czujność straży nieprzyjacielskich. Głównych wszakże sił nowozaciężnych dostarczyć mieli przerzedzonym szeregom legionu oficerowie, wyprawieni na werbunek do zakładów, w których spodziewano się zastać jeńców polskiego pochodzenia.

Główna kwatera Dąbrowskiego mieściła się w drugiej połowie lipca w Genui, dokąd też doszły niebawem smutne wiadomości o wzięciu przez sprzymierzone wojska Aleksandryi, tudzież o haniebnej kapitulacyi Mantui, w której murach pozostawał drugi legion polski wraz z artylerją.

Tymczasem generał zorganizował legion swój po stratach, poniesionych podczas kampanii w górnych

Włoszech pod rozkazami Macdonalda. Nie długo wszakże odpoczywali legioniści, gdyż już w dniu dwudziestym siódmym lipca wysłano ich ku Toriglii, celem strzeżenia przejść przez okoliczne góry. Było to stanowisko nader ważne, codziennie bowiem przychodziło do utarczek z przedniemi strażami nieprzyjacielskimi, a równocześnie niedostatek żywności, trudnej do zdobycia w górzystej okolicy, dotkliwie dawał się we znaki naszym wiarusom. Klęska, poniesiona pod Novi (dnia 15. sierpnia), przez Jouberta, który zamianowany świeżo naczelnym wodzem armii włoskiej, znalazł w tem spotkaniu zgon bohaterski, pogorszyła jeszcze bardziej sytuację i tylko niezgoda w obozie sprzymierzonych ocalała armię republikańską od ostatecznego pogromu. Dąbrowski nie brał wraz z legionem udziału w bitwie pod Novi, gdyż stosownie do otrzymanych rozkazów, równocześnie bił się z powodzeniem pod Arquato i dopiero po opanowaniu tej miejscowości przybył na pole walki, by wczas jeszcze zasłonić cofającą się armię francuską przed pościgiem nieprzyjacielskim.

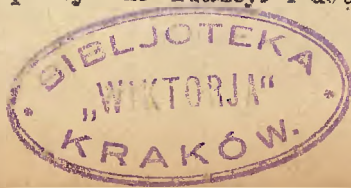
Wśród drobnych potyczek i manewrów, mających na celu raczej wprowadzenie w błąd przeciwnika, aniżeli odniesienie nad nim poważniejszych korzyści, upłynęła druga połowa sierpnia oraz pierwsze dni września aż do chwili, w której nadeignął do Genui z częścią armii alpejskiej Championet. Jemu też zdał dowództwo we Włoszech Moreau, powołany równocześnie do armii nadreńskiej. W owym czasie zdano legionistów w dosłownem tego pojęcia znaczeniu ich własnemu przemy-

słowi. Lombardya zalana była wojskami koalicji, wobec czego rząd cyzaliński nie mógł łożyć na utrzymanie legionu, zaś Francja, której zasoby były również wyczerpane długotrwałą wojną, nie troszczyła się wcale o los naszych żołnierzy, sytych wtedy jedynie, gdy zdobyli żywność na nieprzyjaciela. Legioniści byli niepłatni, bez obuwia i bielizny, w strzępy mundurów przyodziani i rozkwaterowani wśród dzikiej, górzystej okolicy.

Z chwilą objęcia naczelnego dowództwa przez Championeta, w połowie września t. r., rozpoczęły się ponowne działania zaczepne przeciw sprzymierzonym, podczas których legion, wysłany na prawe skrzydło armii republikańskiej, staczał bez przerwy utarczki z przednimi strażami nieprzyjaciela. W potyczce pod Bosco, zdobyli nasi cztery działa, oraz wzięli do niewoli trzystu jeńców, lecz tyluż ludzi utracili z swych szeregów. Sam Dąbrowski cudem niemal uszedł śmierci. W chwili bowiem, gdy na czele grenadyerów zdobywał działa austriackie, rozpędzając ich obsługę, ugodzony został kulą karabinową w same piersi. Ocaliła mu wszakże życie książka, wetknięta w zanadrze munduru, którą pocisk rozerwał w drobne kawałki, nie tknąwszy nawet generała. Książką tą była „historja wojny trzydziestoletniej“ Szyllera. Czytał ją Dąbrowski przed rozpoczęciem bitwy i siadając na koń, zabrał z sobą. Tak więc dzieło germańskiego wieszczu zasłoniło naszego wodza od niemieckiej kuli.

Nie poprzestając na pomniejszych przewagach, odniesionych nad sprzymierzonymi, zamyślał teraz Championet o stoczeniu walnej bitwy z przeciwnikiem, gdyż niedostatek żywności oraz amunicyi, dawał się coraz to srożej uczuwać Francuzym, dla których dostarczanie materiału wojennego przez Alpy przedstawiało olbrzymie trudności, podczas gdy przewóz takowych morzem był prawie niemożliwy, wobec krążących wzdłuż wybrzeży statków angielskich, ścigających z nieubłaganą zaciętością flagę republikańską na wodach morza Śródziemnego. Tak więc w dniu szóstym listopada przyszło do batalii pod Novi, w której generał Kray, znany nam z pod Mantui, wprowadzony został w zasadzkę przez Dąbrowskiego i rozбитý doszczętnie. Bitwa ta, zakończyła kampanię 1799 roku, gdyż zaspý śnieżne utworzyły nieprzebyte zapory dla obu stron walczących.

Gorzej wszakże od nieprzyjaciela dokuczały legionowi głód i chłód, przeciw którym napróżno szukał Dąbrowski rady u Championeta. W głównej kwaterze panował niemniejszy niedostatek, jak w obozie legionistów. Pewną ulgę wiarusom przyniosła wypłata zaległego żołdu, wykołatana z trudem u władz naczelnych przez de la Roche'a, a świeże nadzieje wśród legionu obudziła wiadomość o powrocie Bonapartego z wyprawy egipskiej do Paryża. Oficerowie legionu grosz ostatni z swej szeszupłej płacy złożyli w ręce Dąbrowskiego błagając go, by spieszył do Francyi i dopraszał się



u zwycięskiego wodza pomnożenia uszczuplonych długotrwałą walką polskich szeregów.

Generał nie mógł się oprzeć prośbom towarzyszy broni i z końcem grudnia widzimy go już nad Sekwaną, gdzie ze strony pierwszego konsula doznał jak najlepszego przyjęcia. — „Powiedz twoim walecznym — pisał Bonaparte do Dąbrowskiego — że są oni nieustannie obecnymi w mej myśli, że liczę zawsze na nich, że oceniam ich poświęcenie dla sprawy, której broniemy i że będę zawsze ich przyjacielem oraz wiernym towarzyszem...“ Tym razem zapewnieniom bożyszcza republiki zdawały się towarzyszyć zarządzenia, nie mające w gruncie rzeczy innego znaczenia, jak podtrzymanie słabnącego zapału Polaków w walce o sprawę Francyi, tudzież pomnożenie jak najrychlejsze sił wycieńczonej do najwyższego stopnia armii włoskiej. Inaczej wszakże oceniali wówczas Dąbrowski, tudzież wiernie mu oddany ogół legionistów postanowienia pierwszego konsula, który kazał gromadzić w Marsylii wszystkie oddziały polskie z tem wyraźnem zastrzeżeniem, że zebrany w tem mieście korpus przechodzi od-tąd na żołd republiki francuskiej pod nazwą pierwszej legii polskiej, złożonej z siedmiu batalionów piechoty, oraz z batalionu artyleryi. Rannym lub okaleczonym w boju legionistom przyrzekano też same prawa, co invalidom armii francuskiej, skutkiem czego nie brakło ochotników, licznie zgłaszających się do wysłanych na werbunek oficerów. Głównego zastępu nowozaciężnych

dostarczyli znów jeńcy austriacy, internowani w Dijon, w Lille, w Tuluzie i w Besançon.

Czynności przygotowawcze w sprawie reorganizacji legionu zatrzymały Dąbrowskiego aż do maja roku następnego (1800) w Paryżu, w którym to czasie udał się do Marsylii, jako do punktu zbornego swego korpusu. Zastał tam już cztery nowosformowane bataliony piechoty wraz z artylerją, lecz pozostawione przy armii włoskiej oddziały, tworzące dawniej pierwszą legię, nie mogły zdążyć do Marsylii z powodu ciągłych utarczek, staczanych z nieprzyjacielem, który parł swymi korpusami Francuzów ku Genui, by osaczonych następnie z wszech stron zmusić do złożenia broni. Jakoż plan ten powiódł się po części cesarskim, ponieważ Genua, pozbawiona dowozu żywności, poddać się im musiała w ostatnich dniach maja, lecz niespodziane pojawienie się Bonapartego na włoskim teatrze wojny zmieniło odrazu postać rzeczy. Szybki gdyby piorun, przekroczył pierwszy konsuł grzbiety alpejskie na czele czterdziestotysięcznej armii i spuściwszy się w niziny lombardzkie, cios za ciosem zadawał zdumionym jego pochodem wojskom austriackim. Zwycięstwo Bonapartego pod Marengo, wywalczone w dniu czternastym czerwca, oddało całe północne Włochy aż po Mincjo w ręce Francuzów, a odzyskanie utraconej Genui było zadaniem aż nazbyt łatwym dla Masseny, któremu pierwszy konsuł, odjeżdżając do Paryża, oddał ponownie dowództwo nad armią włoską, wzmocnioną przywiezionymi przez niego wojskami.

Dąbrowski, pracujący niezmordowanie nad reorganizacją legionu w Marsylii, uważał chwilę powrotu Napoleona do Francyi, jako najodpowiedniejszą celem przypomnienia pierwszemu konsulowi, świeżymi uwieczonemu wawrzyny, sprawy polskiej. W tym celu przedstawił mu ponownie plan pomnożenia legionu do dwudziestu i trzydziestu tysięcy żołnierza, który to korpus, wysłany nad Ren, podążyłby następnie przez Czechy i Morawę do Galicyi, gdzie niezawodnie wybuchnie ogólne powstanie ludności, łączącej się z wojskami narodowymi.

Ruch tego rodzaju zmusiłby, zdaniem projektodawcy, prawe skrzydło armii cesarskiej do cofnięcia się ku Czechom, podczas gdy korpusy, działające na lewem skrzydle wojsk francuskich, trzymałyby przeciwnika w szachu, nie dopuszczając go do użycia wszystkich sił przeciw Polakom. Jest to jedyny sposób dopięcia pragnień legionistów w sprawie odrodzenia ich ojczyzny — przedstawiał pierwszemu konsulowi Dąbrowski — zaś samo nazwisko Kościuszki, postawionego na czele armii narodowej, musiałoby jej zapewnić jak najświetniejsze korzyści. Do opracowanego z wszelką możliwą dokładnością memoriału dołączył Dąbrowski list, pełen gorących prośb oraz zaklęć, wystosowany do Bonapartego, poruczając wręczenie obu tych pism udającym się do Paryża Wybickiemu tudzież Zajączkowi. Niestety wysłannicy legionistów nie znaleźli posłuchu u pierwszego konsula, który mamił jeszcze ubóstwiających go Paryżan frazesami o udzielności ludu, lecz w skry-

tości ducha marzył już o monarszej purpurze, oraz o pozyskaniu uznania ze strony dworów rozbiorowych. Przychylniejszym wobec myśli pomnożenia legionów okazał się Massena, który uproszony przez Dąbrowskiego uczynił, co leżało w zakresie jego władzy i wydał rozłożonym w rozmaitych miejscowościach batalionem legii rozkaz przybycia do Medyolanu, gdzie miano je uzupełnić świeżymi zaciągami.

Tam też w dniu ósmym listopada t. r. odbył się przegląd legionu, liczącego około pięć tysięcy żołnierza, a w dniu 20. t. m. na czele zreorganizowanych już batalionów wyruszył Dąbrowski w pole. Dodano mu nieco jazdy oraz piechoty francuskiej z przeznaczeniem oblegania Peschieri, oraz połączonej z nią jeziorem Garda, niemniej warownej Sermiony. Szczupłe siły naszego wodza nie pozwoliły mu na odpowiednie spełnienie poruczonego zadania.

W braku dostatecznej liczby dział musiał więc generał poprzestać na obserwacji fortów nieprzyjacielskich, które, prócz licznej artylerii i załogi, posiadały na jeziorze flotyllę, złożoną z piętnastu uzbrojonych armatami łodzi, utrzymujących stałą komunikację między obleżonemi warowniami. Dopiero po przybyciu generała inżynierii, Chasseloup-Loubata, prowadzącego z sobą ciężkie działa oblężnicze, można było pomyśleć o ścisłem osaczeniu Peschieri, której załoga częstemi wycieczkami usiłowała przeszkodzić przygotowaniom, czynionym do ostrzeliwania twierdzy, oraz sypaniu baterii przez saperów. Zasłone tych robót i ucieranie się

z oddziałami, wypadającymi z obleżonej twierdzy, poruczono legionistom. Oni to bagnetem zdobyli warowną pozycję Casa bianca, otwierając towarzyszom broni dostęp pod same okopy Peschiera, ostrzeliwanej gwałtownie przez Francuzów. Już poczyniono w murach twierdzy znaczne wyłomy i zamysłano o przypuszczeniu do niej stanowczego szturmu, gdy nadeszła wiadomość o zawarciu zawieszenia broni w Treviso, skutkiem czego Peschiera wraz z Sermioną przechodziły w ręce Francuzów. Wprost z pod Peschiera wysłano Dąbrowskiego w okolice Mantui, która na razie zatrzymała wprowadzić załogę cesarską, lecz wojska francuskie osaczać miały twierdzę w promieniu ośmiuset sążni od szaniec. Blokada owa trwała do połowy lutego, to jest do chwili, w której Francuzi na podstawie traktatu lunewilskiego zajęli Mantuę.

W dniu siedemnastym lutego legion stanął w szyku bojowym wzdłuż gościńca, wiodącego z twierdzy ku Weronie, poczem Dąbrowski wręczał poszczególnym batalionom świeżo nadesłane z Paryża sztandary, zaś po defiladzie opuszczających fortecę wojsk austriackich, część legionistów weszła wraz z Francuzami na załogę do Mantui, podczas gdy reszta korpusu pociągnęła wraz z Dąbrowskim do Medyolanu. W tej to stolicy nastąpiło połączenie pierwszego legionu z dawną legią „addunajską, odwołaną z Niemiec do Włoch, a dowodzoną po ustąpieniu Kniaziewicza ze stanowiska komendanta, przez Władysława Jabłonowskiego

Niepewność, co najbliższy dzień przyniesie, zasepiła jednak radosną chwilę powitania wzajemnego bratnich zastępów, które wsławione męstwem na niemieckich i włoskich pobojowiskach, teraz dopiero uczuły, że nie są niczem innem, jak tylko ślepem narzędziem w rękę samolubnego despoty.

Obie legie razem połączone liczyły do trzynastu tysięcy żołnierza, należycie uzbrojonego i ostrzelanego w boju, co przedstawiało poważną w owe czasy siłę. Atoli wśród grona legionistów poczęły nurtować wątpliwości, czy w ogóle należy im dalej służyć, gdy nadzieja waleczenia z nieprzyjaciółmi Ojczyzny zniknęła. Ujemny ten wpływ wywołany został w pierwszym rzędzie wiadomością o postanowieniu traktatu pokojowego, podpisanego w dniu dziewiątym lutego 1801 r. w Lunéville'u. Bonaparte, dążący już niemal jawnie do korony, miał przede wszystkim na myśli zbliżenie się do Rosji oraz do Prus, tudzież zaakraglenie granic Francji wyłącznym kosztem świeżo pokonanej monarchii Habsburgów.

O przypomnieniu sprawy polskiej dworom północnym nie było przeto i mowy, a pogłoski, rozsiewane przez prasę paryską o przyszłym przeznaczeniu legionów, to znów podające naszych oficerów w podejrzenie o sprzyjanie nieprzychylnym pierwszemu konsulowi żywiłom, wywołać musiały wśród tego wybranego hufca najbardziej fatalne wrażenie. Spotęgowały je jeszcze najbardziej zarządzenia Murata, który na razie objął naczelne

dowództwo armii włoskiej, a tem samem i zwierzchniczą komendę legionu. Murat, którego główna kwatera mieściła się we Florencyi, przeznaczył bataliony legii naddunajskiej na służbę do świeżo powstałego królestwa Etruryi, a tajemniczość, jaką się otaczał wobec naszej starszyny, zdawała się potwierdzać najsmutniejsze przypuszczenia co do rozkazów, otrzymanych przez niego od rządu francuskiego w sprawie korpusu legionów.

Mówiono głośno o rozwiązaniu legionów oraz o wcieleniu szeregowców do rozmaitych pułków włoskich, a nawet o wydaniu legionistów, pochodzących z Galicyi, rządowi austriackiemu. Potwornym tym wieściom kres położyła smutna rzeczywistość w dniu dwudziestym pierwszym grudnia 1801 roku, kiedy to doręczono Dąbrowskiemu polecenie francuskiego rządu, rozwiązujące pierwszą legię polską. Miała się ona przeobrazić w dwie półbrygady piechoty, podobnie jak legia naddunajska, tworząca osobną półbrygadę. Świeżo zreformowane oddziały otrzymały nazwę półbrygad cudzoziemskich. Artylerję legionu rozwiązano, przenosząc oficerów tudzież szeregowców do batalionów pieszych; los podobny czekał też jazdę, dowodzoną przez Roźnieckiego. Pułk ten zawdzięczał ocalenie jedynie szczególniejszemu względowi Murata, przydzielającego wyborowy ten oddział do służby Rzeczypospolitej cyżałpińskiej.

Samowolne owo rozporządzenie rządu francuskiego musiało wywołać silne niezadowolenie wśród legioni-

stów i wówczas to podniesiono projekt stawienia zbrojnego oporu rozkazom pierwszego konsula. W myśl tego planu, którego autorstwo przypisywano Kosińskiemu oraz Fiszerowi, legioniści mieli się zgromadzić w ciągu doby w pewnem, z góry umówionem miejscu, podczas gdy pozostawiony w Mantui oddział legii opanowałby tę twierdzę.

Podobne zadanie miała też do spełnienia jazda legionu, zajmując Peschierę, poczem Polacy, będąc panami obu tych warowni, mogliby dyktować warunki republice, tylekrotnie zawodzącej ich oczekiwania. Już ów pomysł zbrojnego buntu dojrzywał, gdy dowiedział się o nim Dąbrowski i z całą stanowczością sprzeciwił się wykonaniu tej myśli, przedstawiając natychmiast spiskowcom plan wyprawy na wyspy Jońskie, a następnie do Grecyi, gdzie pod opieką Turcyi mógłby legion wyczekiwać przebiegu dalszych wypadków. Projekt wyprawy greckiej, opracowany przez generała nader szczegółowo w Modenie, w ciągu grudnia t. r., opierał się na przypuszczeniu, iż rząd francuski zgodzi się milcząco na tę ekspedycję, paraliżującą w razie udania się przełożony wpływ rosyjski na Wschodzie. Na pozór jednak cała akcja legionistów miała być wymierzona przeciw bezzwłędnemu zarządzeniu pierwszego konsula i dlatego legion w przechodzie przez Toskanę zabierałby pieniądze z kas rządowych, amunicję i wszelki materiał wojenny, a zostawszy nad Padem, ściśle zwarty kordon wojsk francuskich zwróciłby się przez posiadłości kościelne i neapolitańskie ku Otranto, by na przygotowa-

nych już statkach kupieckich przenieść się na wyspy Jońskie.

Zapasy, zabrane po drodze oraz wybierane po miastach kontrybucye dostarczyłyby legionistom dostatecznych środków do utrzymania się na miejscu wylądowania przynajmniej przez pół roku, bez żadnego ciężaru dla krajowców, zaś w najbliższej przyszłości wskazywał Dąbrowski rządowi francuskiemu za cel proklamacyę rzeczypospolitej wysp Jońskich oraz zajęcie Morei przy pomocy polskiego żołnierza.

Związkowi zgodzili się bez wahania na plan powyższy, a i sam generał łudził się nadzieją, że uda się mu uzyskać zezwolenie pierwszego konsula na wyprawę grecką. Udał się też bezzwłocznie do Lyonu, skąd w dniu dwudziestym trzecim stycznia 1802 roku pisał do Kosińskiego w te słowa:

..Mówiłem bardzo wiele z samym Bonapartem na audyencyi osobnej. Zawsze mi pomyślnie odpowiadał, a nakoniec żądał, ażebym mu na piśmie wszystko podał, co uskuteczniłem czternastego b. m., ale dotąd żadnej rezolucyi nie mam. Też samą notę dałem ministrowi *des affaires étrangères* Taylerand-Perigord, który ją najlepiej przyjął i wszystko deklarował. Mówiłem z nim o wiadomym projekcie. Z odpowiedzi czynionych spostrzegłem wyraźnie, że więcej myślą o pokoju i spokojności, aniżeli o naszym *coup d'état*...

Lubo nie biegły w matactwach dyplomatycznych, odgadł tym razem Dąbrowski rzeczywiste zamiary sterowników polityki francuskiej, dążących wszystkimi

środkami do pozyskania względów mocarstw koalicyjnych, wobec czego o podniesieniu kwestyi polskiej nie chcieli slyszeć.

Dla okupienia pokoju pojednał się Bonaparte chwilowo nawet z największą swą nieprzyjaciółką, z Wielką Brytanią, i w dniu siedmnastym marca t. r. zawarł z nią traktat pokojowy w Amiens za cenę uznania ze strony trójjedynego królestwa wszystkich zdobyczy francuskich na stałym lądzie oraz w koloniach. Nie puścił też pierwszy konsul Dąbrowskiego z powrotem do Modeny, dokąd w jego miejsce przysłano generała dywizyi Chabota celem objęcia dowództwa nad legionistami, oraz najrychlejszego przeprowadzenia postanowionej reorganizacyi legioŃu w półbrygady cudzoziemskie, a w kilka tygodni później, w dniu ósmnym maja, dawnu legia naddunajska, wsadzona na okręty w Liworno, odpłynęła na San Domingo, by ujarzmić nieszczęśliwych murzynów, domagających się od macierzystej Rzeczypospolitej praw człowieka... Napróżno Dąbrowski, zamianowany komendantem dywizyi w służbie Rzeczypospolitej cyzalpińskiej i noszący równocześnie tytuł generalnego inspektora wojsk polskich, dopraszał się, by mu wolno było z chorych oraz rannych legionistów, pozostałych w rozmaitych zakładach włoskich, tworzyć nowe zaciągi. Sądził, że w ten sposób zdola ocalić byt stworzonego przez niego korpusu, choćby pod zmienioną nazwą.

Ale i temu żądaniu sprzeciwił się rząd francuski, który zadawszy cios stanowczy legionóm, rzucił je jako

zużyte narzędzie i w jak najkrótszym czasie starał się pozbyć naszego żołnierza z włoskiego półwyspu. W lecie 1802 roku przebywał Dąbrowski w Rzymie, gdzie go odwiedził znany turysta i pisarz niemiecki J. G. Seume, ongi ofier ze świty Igelstroma i jeniec nasz podczas wielkotygodniowej rewolucyi warszawskiej. Ślad jego odwiedzin znajdujemy w części drugiej „Przechadzki do Syrakuz“ Seumego, który wysoce cenił naszego generała z powodu jego wiedzy wojskowej, oraz dla zalet charakteru. Kwaterę Dąbrowskiego zappełniało mnóstwo książek i kart geograficznych, zjawisko wcale niezwykłe u przeważnej części wodzów armii republikańskiej.

General zaprosił przybysza do siebie na obiad, podczas którego wspomniał Seume o przygodzie swego amfitriona w bitwie pod Bosco, gdzie książka Szyllera ocaliła mu życie. Dąbrowski uśmiechnął się na to i odpowiedział w te słowa:

— Tak jest w istocie. Szyller zasłonił mnie przed kulą, która wszakże wyrwała z jego dzieła ustęp niezgodny z prawdą. Napisał on, że Polacy walczyli w bitwie pod Lützen, choć w rzeczywistości byli tam tylko Kroaci. Polacy nie bili się nigdy za pieniądze, a i dziś walczymy za ojczyznę.

Powiedzenie to nadało rozmowie charakter polityczny. Seume wręcz utrzymywał, iż uważa sprawę polską jako przepadłą, gdyż Francya, nie wydobywszy się jeszcze w zupełności z krytycznego położenia, nie zechce stawiać do walki z potężną koalicją mocarstw, celem

wskrzeszenia Polski, której byt nie przedstawia dla niej ważniejszego interesu, podczas gdy zawieść, istniejąca między dworami rozbiorowymi, może Francuzom przynieść tylko korzyści. Przy tej sposobności przypomniał też Seume okoliczność, iż jeszcze jako oficer rosyjski, garnizonując w Poznaniu, miał sposobność do zetknięcia się z patryotami polskimi, którzy przekładali panowanie rosyjskie nad pruskie. W tej gotowości poddania się Rosyi tkwiło — jego zdaniem — skryte życzenie pozostania niepodzielnie pod jednym zaborem, z pod którego łatwiej mogłyby Polaków wyzwolić pomysły koniunktury polityczne, aniżeli to się stać mogło z pod trzech zaborów.

Na końcowy ów wywód miał się też zgodzić Dąbrowski, który nie omieszkiał wszakże dodać, że szczery patryota musi chwycić się ostatek, choćby najslabszej nadziei ratunku dla ojczyzny.

Piękne to i szlachetne zarazem — nadmienia od siebie Seume, kończąc relację z bytności u naszego generała.

Szlachetnością wszakże nie zwykli się byli powodować politycy, dzierżący w ręku ster rządów Francyi. I dlatego też, niepomni zasług legionistów, przelewających krew serdeczną w usługach wolności, wyprawili w ślad za zwycięzcami z pod Hohenlinden drugą brygadę naszych na oczywistą zatrąę. W dniu czwartym lutego 1803 roku eskadra, dążąca ku piaszczystym wybrzeżom Santo Domingo, zabrała na pokładach składających ją statków całą setną trzynastą półbrygadę le-

gionistów, z których zaledwie szczupła garstka niedobitków ujrzeć miała rodzinne pielesze. Nieubłagany wyrok zagłady stałby się również udziałem pozostałych jeszcze we Włoszech legionistów, tworzących pierwszą półbrygadę, gdyby nie współczesne wypadki polityczne, a zwłaszcza ponowne, wrogie wystąpienie Anglii, urągającej na morzu potędze Napoleona.

Eskadry angielskie, ścigające każdy statek, pojawiający się pod flagą Francyi, przeszkodziły dalszej wysyłce wojsk republikańskich na Santo Domingo, a tem samem ocaliły resztki legionistów od zatury, jaka ich oczekiwała za oceanem. Pierwsza półbrygada polska, zaliczona do pierwszej dywizyi wojsk włoskich, załogowała do roku 1805 w Apulii, skąd ją odwołano wraz z innymi korpusami, celem wzięcia czynnego udziału w wojnie z Austryą. Legioniści uczestniczyli w blokadzie Wenecyi, a pod wodzą generała Saint-Cyra, stoczyli w okolicy Castel-Franco bój zwycięski z korpusem wojsk cesarskich, wiedzionym przez wychodźcę francuskiego, księcia de Rohan. Pokój presburski zakończył wprawdzie w grudniu t. r. walkę, toczoną z domem Habsburgów, lecz zaraz dnia następnego oświadczył przebywający w Schönbrunie cesarz Francuzów, iż dynastia Burbonów przestała panować w Neapolu. Powód do tego oświadczenia dało zerwanie przyrzeczonej przez rząd tamtejszy neutralności i legioniści, tworzący część składową korpusu Saint-Cyra, weszli już w połowie lutego 1806 roku do Neapolu,

gdzie wyniesieniu Józefa Bonapartego, wielkiego konektabla Francyi na tron królewski, nikt nie ośmielił się stawić przeszkody.

Należało wszakże wyprzeć z kraju wałęsające się po Kalabryi resztki wojsk dawnego rządu, tudzież wojujących na własną rękę brygantów i w tym celu użyto Polaków, oddawszy dowództwo pół brygady Regnierowi. Legioniści rozbili płochliwe zastępy neapolitańskie zaraz w pierwszym spotkaniu pod Campo Tenese. Trudniejsze natomiast oczekiwało ich zadanie w ciągłych potyczkach z bandytami, kryjącymi się wśród skał niedostępnych, a posiłkowanymi na każdym kroku przez nieprzyjazną Francuzom ludność. Wzburzenie górali przybrało wręcz groźne rozmiary po porażce Regniera, który wdawszy się w bitwę z oddziałem wojsk angielskich, wysadzonym na ląd w zatoce Santa-Eufemia, musiał się cofać pod ogniem floty nieprzyjacielskiej. Dopiero kapitulacya Gaety, która po kilkomiesięcznem oblężeniu otworzyła swe bramy Massenie, zmieniła sytuację. Silny korpus Masseny wsparł skutecznie rozrzucone po całym kraju wojska króla Józefa i uśmierzył chwilowo zakusy band powstańczych.

Równocześnie pogrom Prus pod Jeną zdawał się zapowiadać pomyślniejszą dla Polaków przyszłość. Monarchia pruska leżała gnębiona u nóg zwycięzcy, który w dniu dwudziestym dziewiątym października odbył wjazd tryumfalny do Berlina. Zagrzany powodzeniem postanowił Napoleon przenieść widownię dalszego boju

na północ od Polski, by zajmując dawną Wielkopolskę oraz tak zwane Prnsy Południowe nie tylko pozbawić rząd pruski prowincyi, niedotkniętej jeszcze klęskami wojennemi, lecz za jednym zamachem rozdzielić pozostałe jeszcze korpusy pruskie od wojsk rosyjskich i zgnieść oddzielnie każdego przeciwnika. „Wasza królewska mość“ — pisał Napoleon do króla Fryderyka Wilhelma, trwającego uporeczywie przy przymierzu z cezaratem — „rzuciłeś się w objęcia Rosyi. Przyszłość okaże, czy obrałeś najlepszą i najskuteczniejszą drogę. Wziąłeś kości do grania, kości też rozstrzygną!...“

Jakoż nie tracąc czasu, postanowił władca Francuzów powołać pod broń polskich poddanych króla Fryderyka. W tym celu potrzebował ludzi, posiadających wiarę i ufność ziomków i przypomniał sobie Dąbrowskiego, którego nazwisko powtarzano z czcią i z miłością w całej Polsce. Wezwanie Napoleona, powołujące naszego wodza nad Szpreę, zastało go w Peschierze, skąd jadąc dniem i nocą rozstawnymi końmi, zdążył Dąbrowski w sam dzień wjazdu cesarskiego do Berlina. Napoleon przyjął przybywającego z największymi względami i powierzwszy generałowi formację narodowej siły zbrojnej w pruskim zaborze, oddał zarazem cywilną organizację kraju Wybiekiemu, którego Dąbrowski jak najgoręcej cesarzowi polecił. Wyszukanie Wybiekiego, bawiącego chwilowo w Dreźnie, było zadaniem jednej doby i już w nocy z pierwszego na

drugiego listopada Dąbrowski wraz z doświadczonym towarzyszem niedoli opuszczał pruską stolicę, zaopatrzony w potrzebne pełnomocnictwa oraz w odezwy Napoleona, wzywające ogół ludności do powstania.

Celem ich podróży był Poznań.

III.

Po raz to pierwszy po dziesięcioletniej tułaczce powracał Dąbrowski na ziemię ojców. Dążył do Wielkopolski, która była pierwszą widownią jego czynów wojennych, jako wodza, gdzie imię wodza legionów było na ustach wszystkich. To też od granicy począwszy, podróż jego przybrała znaczenie tryumfalnego pochodu. Tłumy ludności towarzyszyły pojazdowi generała, witając go z najwyższą radością. Chcąc uniknąć zbyt głośnych owacyj, wjechał Dąbrowski do Poznania nocną porą, lecz mimo późnej godziny czekała tam przybywającego wspaniała owacya. Tysiące mieszkańców wyszło na jego spotkanie za miasto. Istna łuna biła w niebo od mnóstwa pochodni, jakimi oświecono gościniec, a entuzjazm oczekujących doszedł do kulminacyjnego punktu na widok przybywającego wodza. Tłum rzucił się ku powozowi i w mgnieniu oka wyprzągłszy konie, zaciągnął pojazd generała do domu Mielżyńskich, przeznaczonego na kwaterę Dąbrowskiego.

Jakoż uroczystościom i festynom, wyprawianym na cześć generała, nie było końca, ni miary. Ogół wielkopolskiego obywatelstwa zdawał się jednym przesiąknęty duchem, współubiegać się między sobą w uczczeniu prawdziwej zasługi osiwniałego wśród wojennych trudów bohatera.

Jedną z najświetniejszych owacyj, wyprawionych w owym czasie dla Dąbrowskiego, był bal, urządzony w ratuszu przez miasto Poznań oraz przez okoliczne obywatelstwo, w dniu piątym listopada, która to data ważną miała odegrać rolę w życiu naszego wojownika. Na balu tym bowiem, gdy Dąbrowski, otoczony sztabem, przechadzał się po sali, rozmawiać uprzejmie ze zgromadzonymi paniami i obywatelstwem, zbliżyła się do niego młoda i uroczą panienka z prośbą o chwilkę rozmowy. Była nią Barbara Chłapowska, córka Ksawerego, podczaszego ziemi poznańskiej, posła na sejm czteroletni i właściciela Smigła. Zwracała się do generała z prośbą, by zechciał swymi wpływami wyjednać u władz pruskich uwolnienie jej brata, Stanisława, który jako oficer wojsk francuskich, dostał się w bitwie pod Auerstaedt do niewoli.

Z właściwą mu dobrocią i współczuciem wysłuchał Dąbrowski opowiadania pięknej petentki i zapisawszy jej prośbę w notatniku, rzekł z uśmiechem do panny podczaszanki:

— Imię brata zapisałem w pugilarasie, a asindźkę w sercu...

Odpowiedź ta nie była zdawkowym frazesem, gdyż nadobna postać panny Barbary utkwiała żywo w sercu i w pamięci generała, który owdowiawszy od dawna, nie przestawał się zaliczać do żarliwych wielbicieli płci pięknej. Przy stosunkach, jakie z lat dawnych posiadał w Berlinie, nie trudno było Dąbrowskiemu uzyskać uwolnienie młodego oficera i w kilka tygodni później, przed dwór w Śmiglu zajechał generał w towarzystwie swych adjutantów Haukego i Pakosza, oraz świeżo wyzwolonego z niewoli pruskiej Chłapowskiego.

— Panie podczaszy — rzekł Dąbrowski do gospodarza domu, spieszącego na spotkanie dostojnego gościa — oddaję ci syna, a proszę o córkę!

Tak krótko, prawdziwie po żołniersku, oświadczył się generał o pannę, a ponieważ czas naglił do wyruszenia w pole, przeto też na prędkę odbyto zrękowiny, odkładając ślub do chwili ukończenia wojny. Sprawy sercowe nie przeszkodziły bynajmniej Dąbrowskiemu w rozwinięciu zdumiewającej energii w sprawie formacyi sił narodowych. Tworzył więc kompanie, szwadrony, baterye, uczył musztry i obrotów nowozaciężnego żołnierza, a organizacya korpusu, gromadzącego się pod Łowiczem, postępowała tak szybko, iż już z końcem stycznia 1807 roku wyruszył Dąbrowski na linię bojową, wiodąc ośmnastotysięczny zastęp świeżego żołnierza. Kazano mu posuwać się w kierunku Gdańska, którego oblężeniem miał kierować i w tym celu przeznaczył Napoleon pod rozkazy generała dywizyę wojsk francuskich, w sile 10.000 żołnierza.

Zanim wszakże zdołał połączyć się z Francuzami, Dąbrowski stoczył krwawą walkę pod Tezewem.

W bitwie tej, która miała miejsce w dniu siedmiastym lutego, wojsko nasze, wiedzione przez Dąbrowskiego, odbyło zaszczytnie chrzest ogniowy, zdobywając silnie obsadzone pozycje nieprzyjacielskie. Zwycięstwo to wszakże drogo było okupione.

Dąbrowski, wiodąc do szturm kolumny młodego żołnierza, ranny kartaczem w biodro, runął z koniem i tylko poświęceniu przybocznych oficerów zawdzięczał, iż nie został na śmierć rozstrzelany przez własną jazdę. W temże spotkaniu syn jego, Michał, już podówczas dowodzący pułkiem strzelców konnych, w świetnej szarży, dokonanej na czele swego oddziału, odniósł ciężką ranę w rękę, powyżej łokcia. W zastępstwie ранego wodza, powiódł korpus wojsk narodowych generał Gielgud pod Gdańsk, którego oblężenie poruczono świeżo przysłanemu z Paryża marszałkowi Lefébre. Tymczasem obaj Dąbrowscy, ojciec i syn, leczyli się w Gniewie, dokąd ich po dorywczem zaopatrzeniu ran, odwieziono.

Rana generała nie zagrażała wprawdzie jego życiu, niemniej przeto była bolesną, gdyż nie pozwalała mu ani siedzieć, ani się obrócić, jako dotykająca biodra. Nie mogąc opuścić łóżka, mimo dotkliwych cierpień, jakim ulegał, nie przestawał Dąbrowski troszczyć się o dalsze pomnożenie sił narodowych, starając się przeistoczyć bezładne potroszę pospolite ruszenie, w pułki regularnej jazdy.

Pomocnymi byli mu w tej pracy szwadronów, Turno i Dziewanowski, zaś kadrów w świeżej organizacyi dostarczyli legioniści pierwszej półbrygady piechoty, oraz z pułku jazdy Karwowskiego, których z wiosną 1807 r. skoncentrowano w Neapolu.

Tam też nadeszło do nich wezwanie, by dwudziestu czterech oficerów piechoty, oraz dwunastu jazdy, udało się bezzwłocznie do Warszawy. Radość, trudna do opisania, zapanowała wśród naszych wiarusów, spodziewających się lada dzień rozkazu powrotu do kraju. Tymczasem upływały im dnie i miesiące, a wieść o rozejmie tylżekim rozwiąła ponownie marzenia garstki legionistów o powrocie do ojczyzny. Rząd neapolitański niechętnie też pozbywał się najdzielniejszego żołnierza z swych szeregów, więc po rozwiązaniu pierwszej półbrygady, rozdzielił jej szeregowców między pułki gwardyi, zaś oficerów tudzież podoficerów, odesłał do Wrocławia, gdzie utworzyli kadry trzech nowoorganizowanych pułków, które wsławiły się niejednokrotnie na hiszpańskich i niemieckich pobojuwiskach pod mianem legii nadwiślańskiej. Natomiast pułk jazdy polskiej, mimo wszelkich przeszkód, czynionych ze strony Murata, zdołał w końcu uzyskać zwolnienie od służby cyzalpińskiej i w całości powrócił w rodzinne strony.

Nie uprzedzajmy wszakże wypadków. Resztę miesięcy zimowych i część wiosny przepędził Dąbrowski w Gniewie, lecząc się z rany, pod Tczewem odniesionej. Sam cesarz dopytywał się kilkakrotnie o stan jego

zdrowia i zaszczycił generała pismem następującej treści:

Osterrode 4/III.

Mon General!

J'ai oui, avec peine, que Vous avez été blessé, j'apprends, que cela n'est point dangereux. Faites moi connaître les hommes, qui se sont distingués et qui méritent récompense. Qui commande a présent votre division et quant pourrez Vous en reprendre le commandement?

Signe: Napoleon.

Milszą dla rannego od oficjalnej kondoleneyi cesarskiej, była zapewne korespondencya z narzeczoną, od której, acz rzadko, odbierał listy za pośrednictwem kasztelanowej Gorzeńskiej. Kuracya postępowała powolnie. Jeszcze w dniu dwudziestym drugim kwietnia pisze generał: „Moje zdrowie i syna mego lubo się polepsza, ale obudwu nas kuracye jeszcze wiele potrzebują czasu: ja ażebym był w stanie być czynnie komenderującym, a mój syn, aby się mógł z miejsca ruszyć...“

Tak więc dopiero w pierwszych dniach czerwca widzimy Dąbrowskiego na czele jego dywizyi, maszerującego wraz z korpusem marszałka Mortiera, celem połączenia się z główną armią nad Alą. W bitwie pod Heilsberg nie brał prawdopodobnie generał czynnego udziału, gdyż z korpusu, do którego należał, jedna tylko dywizya St. Hilaire'a, stała w ogniu. Natomiast

w batalii frydlandzkiej (dnia 14. czerwca), wódz nasz świeże zdobył wawrzyny. Dywizya jego walczyła obok grenadyerów starej gwardyi, w słynnym ataku na most oraz miasteczko Frydland, by następnie z nieporównaną brawurą uderzyć na wzgórze, panujące nad Allą, z kąd baterye nieprzyjacielskie zasypywały nasze pozycye gradem pocisków. Bagnetem zdobył polski żołnierz najeżone działami wzgórze i ośmnaście armat, zdobytych na ustępującym z pola walki nieprzyjacielu, świadczyło wymownie o dzielności naszych zastępów. Pogrom Prus pod Frydlandem zakończył kampanię roku siódmego, której wynikiem był traktat telżycki, tworzący Wielkie księstwo Warszawskie.

Zwycięzki mocarz nie omieszkiał wynagrodzić zasłużonych dla sprawy Francyi marszałków oraz generałów donacyami, utworzonymi z narodowych dóbr polskich. Ogólna suma owych donacyj przedstawiała pokazną cyfrę, dwudziestu sześciu milionów franków. Wobec hojności, z jaką cesarz obdarzał Francuzów, bardzo skromnie przedstawiają się nadania, użyzione zasłużonym polskim wodzom, reprezentujące, razem wzięwszy, sumę czterech milionów franków.. I tak książę Józef Poniatowski otrzymał dawną swą posiadłość, Wielonę, książę Aleksander Sapieha dzierżone przed rozbiorem Rzeczypospolitej starostwo preńskie; Zajączek dostał Opatówek, zaś Dąbrowski dobra Winnagórę wraz z miasteczkami Pyzdrami i Środą, oszacowane w łącznej wartości miliona franków. Była to niejako restytucya

za sprzedane na rzecz legionistów w roku 1797 Pierzchowice.

Tak więc pozyskawszy własnej kęś ziemi, mógł generał pomyśleć o założeniu ogniska rodzinnego. Przedtem jednak musiał Dąbrowski obrać stanowiska dla swego korpusu, któremu w udziale przypadło zadanie utrzymywania łączności między korpusami Masseny i Ney, rozłożonymi w Białym stoku i w Gombinie. Dopiero z końcem września t. r. powrócił generał wraz z wojskami narodowymi do Warszawy, by otrzymawszy chwilowe zwolnienie od służby, pospieszyć do Poznania gdzie w dniu piątym listopada, w samą rocznicę po wrocie bohatera do ojczyzny, odbył się ślub jego z pod ozaszanką Chłapowską. Ceremonii kościelnej dopełnił w katedrze poznańskiej stryj panny młodej, kanonik Chłapowski, zaś znakomitem uświetnieniem tego aktu, było wręczenie pannie młodej daru honorowego, nadesłanego przedtem z Warszawy przez rząd narodowy. Była nim brylantowa agrafa, pochodząca z ofiar narodowych, złożonych w stołecznym grodzie po wygranej pod Frydlandem z przeznaczeniem dla najwaleczniejszego z walecznych. Rząd księstwa warszawskiego przeznaczył ów kosztowny upominek dla małżonki wodza legionów. „Po ukończeniu ślubnego obrządku — czytamy w *Gazecie Poznańskiej* z dnia 5. listopada 1807 roku — generał brygady, Kosiński, dopełniając patriotycznego daru, jakim był fermoar (agrafa), dawniej od komisji rządowej na ręce generała Dąbrowskiego przy-

ślany, ze zwykłą sobie wymową tak do zaślubionej pary przemówił:

„Przyjmij pani ten dar rządu, do którego waleczność twego oblubieńca daje ci prawo; ofiara to gorliwości obywatelskiej, wolą rządu złożona dowódcy legionu trzeciego, od niego przeznaczoną była dla tej, która pierwsza przez ślubne obrączki uszczęśliwi ranego w pamiętnej bitwie pod Frydlandem. Traf również nieprzewidziany, jak szczęśliwy, nagradza osobistą tego wodza waleczność, wieńcząc najulubieńszą mu osobę. Niech ta pamiątka w Twojem, pani, złożona ręku, podwójną dziś znaczy epokę i odnowionej sławy Polaka i waszego szczęścia...”

Liczenie zebrane obywatelstwo oraz cały korpus oficerski załogi miejscowej, uświetniały swą obecnością wesele generała, który to akt przekazany został potomności w licznych rymach, poświęconych przez wierszopisów współczesnych tej uroczystości. Wśród owych utworów największym cieszył się rozgłosem poemacik okolicznościowy Molskiego, stojącego wówczas u szczytu swej autorskiej popularności. Nowożeńcy udali się następnie do Winnej Góry, lecz Dąbrowski, lubo pominięty przez Napoleona przy obsadzeniu posady naczelnego wodza wojsk Księstwa, nie rzucił służby, jeno chwilowo zasłużonego używał wywezasu.

W ciszy i w spokoju minął rok ósmy naszego stulecia, a i początek roku następnego (1809), zapowiadał się pokojowo skolatanej długimi wojnami Europie. Z wyjątkiem Hiszpanii, zakłóconej wewnętrznem po-

wstaniem ludowem, nie ukazywał się na horyzoncie politycznym żaden ciemny punkcik, a zjazd erfurecki, odbyty we wrześniu 1808 r. zdawał się wzmacniać po ój, zawarowany świeżo w Tylży, przedstawiając się, jako najlepsza rękojmia długotrwałej zgody. Austria i Prusy, pokonane pod Austerlitz i pod Jeną, nie mogły budzić szczególniejszej obawy, Anglia zaś, odosobniona, nie wywierała stanowczego wpływu na losy polityki starego ładu.

Tymczasem gwałt, dokonany przez Napoleona w Bayonnie na hiszpańskich Burbonach, tudzież okupacja Rzymu przez wojska francuskie z równoczesnem pozbawieniem papieża władzy świeckiej, wywołały słuszne zaniepokojenie między dynastami środkowej Europy. W najgłębszej tajemnicy poczęła się zbroić Austria, o czem przedstawiciel jej na dworze paryskim, ks. Metternich, dowiedział się dopiero z ust Napoleona i jego sprzymierzeńców wzdłuż Dunaju. Innym był plan hrabiego Grüne, oparty na wywołaniu powstania w Niemczech, oraz na spodziewanych posiłkach angielskich, a obliczony na przeniesienie walki nad Ren. Po długim, beczynnem wyczekiwaniu, przyjęto plan Hohenfelda i arcyksiążę Karol, zamianowany naczelnym wodzem wojsk cesarskich, przeszedłszy w dniu dziesiątym kwietnia rzekę Inn, wkroczył do Bawaryi.

Pierwsze dni kampanii minęły bez ważniejszych wypadków, gdyż armią tak zwaną niemiecką, złożoną w znacznej części z wojsk posiłkowych związku reńskiego, dowodził zastępczo Berthier. Ale już w dniu

czternastym kwietnia objął Napoleon osobiście kierunek działań wojennych. Na czele połączonych wojsk bawarskich i wirtemberskich pobił nieprzyjaciela pod Than i Pfaffenhoffen, pod Eichmühl i Ratyzboną, z kąd arcyksiążę Karol cofnął się na lewy brzeg Dunaju, by w Czechach świeże skupić siły.

Tymczasem zwycięska armia prawym brzegiem Dunaju posuwała się ku Wiedniowi i w dniu trzynastym maja stanął Napoleon w starej Habsburgów stolicy. Los wojny miał się rozstrzygnąć na równinach pod Wiedniem, gdzie też przyszło do krwawej rozprawy w dniu dwudziestym pierwszym maja. Bez żadnej przeszkody ze strony nieprzyjaciela przeszła armia napoleońska po zbudowanych przez nią mostach na lewy brzeg Dunaju i uderzyła na arcyksięcia Karola pod Esslingen i Aspern. Dwudniowa, mordercza walka nie przyniosła stanowczego rezultatu. Obie strony bojujące przypisywały sobie zwycięstwo i Napoleon cofnął się na obłą dwoma ramionami Dunaju wyspę Lobau.

Była to dla niego chwila krytyczna, lecz przeciwnik nie zdołał skorzystać z tej niepomysłnej dla Francuzów sytuacji. Mimo, że biuletyny francuskie szeroko głosiły światu świeże zwycięstwo pod Aspern, straty w ludziach poniesione i zamknięcie armii Napoleońskiej na wyspie równały się prawie klęsce z jej strony. I nie tylko nad Dunajem zagrażało Francuzom niebezpieczeństwo, gdyż równocześnie toczyła się nad Wisłą walka między przeważnymi siłami armii cesarskiej a szczupłym wojskiem księstwa warszawskiego. Z po

czątkiem kwietnia t. r. arcyksiążę Ferdynand d'Este stał w zachodniej Galicyi na czele korpusu, liczącego z górą trzydzieści tysięcy żołnierza i dział dziewięćdziesiąt siedm. Z głównej kwatery dano mu rozkaz wkroczenia w granice księstwa warszawskiego, zniesienia tegoż nielicznej armii, z wskazówką, by następnie działał, jak z przebiegu kampanii wypadnie. Siły księstwa szczupłe były nad wszelki wyraz, gdyż korpus, dowodzony przez księcia Józefa Poniatowskiego, składał się zaledwie z siedemnastu tysięcy żołnierza, podczas gdy druga połowa wojsk narodowych załogowała w fortecach niemieckich, albo też walczyła w Hiszpanii.

Odjawszy od pozostałego w kraju korpusu garnizony, załogujące w Toruniu, w Modlinie, na Pradze w Serocku i w Częstochowie, w pole wyruszyć mogło zaledwo ośm tysięcy wojska. Zresztą wycieńczone nakładanymi przez Napoleona ciężarami wojennymi księstwo, nie było wcale przygotowane do boju.

Dopiero w ciągu ostatnich kilku miesięcy przed wybuchem wojny poczęto tworzyć trzecie bataliony w pułkach piechoty, sformowano gwardyę dla obrony Warszawy, która dla pokrycia przekopu i wałów, ciągnących się na dwumilowej niemal przestrzeni, postradała niespełna czterdzieści ciężkich dział. W ostatnich dopiero dniach rzucono się do naprawy okopów stolicy. Mężczyźni i kobiety z wszystkich stanów, dzieci, nawet księża — pracowali gorliwie nad poprawieniem wałów. Obronną linię księstwa tworzył prawy brzeg

Wisły, podczas gdy brzeg lewy, odsłonięty zupełnie od strony Galicyi, ułatwiał zadanie przeciwnikowi.

Napoleon nie przypuszczał nawet, by korpus austriacki, rozłożony w Galicyi, miał zaczepnie przeciw księstwu wystąpić i z tego powodu jeszcze w początkach marca słał do Davoust'a rozkazy, by wojska nasze posunęły się pod Kraków, celem szachowania sił cesarskich. Choć więc mnożyły się pogłoski o gromadzeniu pułków austriackich wzdłuż granicy księstwa nie dawano im powszechnie wiary. Ogół ludności zaledwo wiedział o toczącej się wojnie między Austryą a Francją i dowiadując się o wypadkach z pola walki, utwierdzał się w najgłębszem przekonaniu, że niebawem wojna się zakończy świeżem zwycięstwem Napoleona. Podobne zapatrywanie panowało też w kołach wojskowych i dlatego Dąbrowski, lubo piastujący wtedy stanowisko komendanta trzeciej dywizyi, bawił najspokojniej w Winnejgórze.

W ostatniej chwili, zawezwany przez umyślnego kuryera, pospieszył generał bezwłocznie do Warszawy, gdzie na radzie wojennej, jako jedyny środek ratunku wskazał jak najszybszy ruch ku granicy galicyjskiej, celem podania ręki ziomkom za kordonem. Wojska nasze opuściły przeto już w dniu dwunastym kwietnia Warszawę i rozłożyły się obozem między Górą, Pasieczną a Raszynem.

W tej ostatniej miejscowości znajdowała się główna kwatera księcia Józefa, który w dniu piętnastym kwietnia, za pośrednictwem majora inżyniera, Malleta,

otrzymał od arcysięcia Ferdynanda bilet zawiadomieniem o przekroczeniu granicy przez wojska austriackie. Należało się więc bronić, choćby do upadłego i w Raszynie oczekiwać natarcia przeciwnika. Zrazu szczęście sprzyjało naszemu orężowi. Utarczki jazdy, stoczone pod Nadarzynem i Nowem Miastem, przyprawiły Austryaków o znaczne stosunkowo straty w jeńcach i w zabitych, lecz w dniu dziewiętnastym kwietnia przyszło do walnej rozprawy pod Raszynem, którą obie strony walczące krwawo okupiły. W bitwie tej nie brał Dąbrowski bezpośredniego udziału i dopiero pod wieczór znalazł się na zasłanem trupami pobojowisku. by uczestniczyć w zwołanej przez naczelnego wodza radzie wojennej. Postanowiono cofać się ku Warszawie, jakkolwiek Dąbrowski, jakoteż antagonistą jego, Zajączek, otwarcie wyrażali przekonanie, że o obronie stolicy i myśleć niepodobna wobec braku dostatecznych przygotowań. Pozostawała przeto droga układów i w dniu dwudziestym trzecim t. m. wojska austriackie weszły do Warszawy, podczas gdy książę Józef ściągnął swe siły pod Modlin, gdzie w ciągu dni kilku korpus jego wzrósł do piętnastu tysięcy żołnierza, zapelniając swe szeregi świeżymi zaciągami i ochotnikami, przybywającymi ze wszech stron.

Pracę ową organizacyjną próbowali wprowadzić Austriacy przerwać, kusząc się kilkakrotnie o zajęcie Pragi, tudzież prawego brzegu Wisły, ale klęski, poniesione przez dowódców cesarskich pod Grochowem oraz pod Górą ubezwładniły na czas dłuższy ruchy nie-

przyjaciela, który uwięziwszy w Warszawie przeważną część swych wojsk, tracił czas beczynnie, gdy nasi na prawym brzegu Wisły odzyskali zupełną swobodę działania.

Zaraz po bitwie grochowskiej zwołał książę do Serocka radę wojenną, na której krzyżowały się rozmaite zdania. Część generałów doradzała oczekiwanie pod Serockiem i Modlinem na przybycie posiłków rosyjskich, przyrzeczonych Napoleonowi na wypadek wojny z Austryą. Zajączek wskazywał jako jedyną drogę ratunku opuszczenie granic księstwa i cofanie się ku Saksonii, co słysząc Dąbrowski, odezwał się w te słowa:

— Mości książę! Jeden i drugi środek nietylko na nic się nie przyda, ale jeszcze zaszkodzi. Kiedy oni do nas weszli, pójdźmy do nich! Ja wsiadę na bryczkę, pojedę do Wielkopolski i stamtąd Waszej Książęcej Mości dwadzieścia tysięcy żołnierza przywiodę. Książę ruszaj ze swym korpusem do Galicji, a tam za miesiąc podwoisz swoje siły. Rekruci i ochotnicy z Płockiego i Łomżyńskiego niech się uczą musztry w Lublinie i w Serocku, z nich uformujemy nowe bataliony!

Śmiały plan Dąbrowskiego trafił do przekonania naczelnego wodza. Po potyczce zwycięskiej pod Radzyminem, zwiedzonej z brygadą wojsk cesarskich, dowodzonych przez Mohra, w dniu pierwszym maja, przeznął się nasz generał pod osłoną jednego tylko szwadronu jazdy w Poznańskie, gdzie wspólnie z Wybicie-

kim, zamianowanym przez radę stanu nadzwyczajnym pełnomocnikiem dla obrony kraju oraz z Kosińskim gromadził pod sztandar narodowy ochotników, spieszących na obronę ojczyzny.

W dniu jedenastym maja stanął Dąbrowski w Poznaniu, a już w dwa tygodnie później zebrał pod swymi rozkazami oddział ośmiotysięczny i objawszy naczelny kierunek działań na lewym brzegu Wisły, wyruszył w pochód na Częstochowę. Zwycięskie utarczki, stoczone z wojskami cesarskimi pod Łęczycą, Białą i Rawą, utorowały mu drogę aż do samej Warszawy, w której zostawiwszy Kosińskiego w charakterze gubernatora miasta, podążył pod Radom. W tem to mieście, dnia czwartego lipca, połączyły się dywizye Dąbrowskiego i Zajączka z głównym korpusem księcia Józefa, by pośpieszyć wspólnie pod Kraków.

W dniu piętnastym lipca weszły wojska narodowe do starożytnego grodu Jagiellonów, w którego murach otrzymały wiadomość o stanowczem zwycięstwie Napoleona, odniesionem pod Wagram. Batalia ta kres położyła dalszym krokom wojennym, gdyż na mocy rozejmu, w Znajmie zawartego, obie strony wojujące zatrzymały zajmowane przez nie pozycye do chwili podpisania szönbruńskiego traktatu. Z tego też powodu pozostał Dąbrowski aż do końca października w Krakowie, odpoczywając w gronie dawnych towarzyszy broni i rodziny, od wieków osiadłej w tych stronach.

Generał zajmował początkowo kwaterę w szarej kamienicy, u swej siostrzenicy Wilhelkowej Żelen-

skiej, gdzie też huczne odbywały się śniadania dla całej wojskowości z księciem Józefem na czele. Na jednym z takich przyjęć, wyprawianych w dniu imienia Dąbrowskiego, książę podczas obiadu wniósł toast na cześć solenizanta, poczem kazał podać służbie przywieziony przez niego upominek. Był nim obraz, przedstawiający na głównym planie wspaniałe drzewo dębowe. U dołu widziano zajęczka, gryzącego zawzięcie korzenie dębu, podczas, gdy z gęstwiny wyskakiwał ciołek, odpędzający różkami napastnika. W ten sposób alegoryczny przedstawił wykwintny książę stosunek swój do Dąbrowskiego, oraz zawistnego wobec zasług twórcy legionów Zajączka...

Z szarej kamienicy przeniósł się następnie Dąbrowski na mieszkanie do pałacu Wielopolskich, a z końcem sierpnia wyjechał za poradą lekarzy do Krzeszowic, by w tamtejszych źródłach szukać ulgi w swych cierpieniach, spowodowanych niezabliźnioną jeszcze raną. Tam też w towarzystwie księdza referendarza Sołtyka przebywał generał aż do połowy września, w którym to czasie powrócił do Krakowa na spotkanie małżonki, powracającej z wód śląskich. Pobyt w podwawelskim grodzie, urozmaicony odwiedzinami w rodzinnych Pierzchowicach u Kępieńskich, oraz w Liplesie u Dębickich, tudzież festynami, wyprawianymi przez gościnnych Krakowian, należał bezwątpienia do najmiłszych chwil bohatera, któremu też przypadł w udziale zaszczyt wprowadzenia wojsk zwyciężkich, powracających w dniu ośmnastym grudnia do Warszawy. Gdy

bowiem ksiązę Józef oraz Zajacek dla rozmaitych powodów usunęli się od uczestnictwa w tej uroczystości, sam tylko Dąbrowski wraz z senatem i z radą stanu odbył w owym dniu przegląd wojsk na Saskim placu. On też był przedmiotem serdecznej manifestacyi, wyprawionej na cześć generała przez Warszawian podczas balu, urządzonego wówczas kosztem miasta dla wojskowych. Skoro tylko wódz legionów pojawił się w sali balowej, muzyka zaintonowała pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ a z piersi wszystkich obecnych podniósł się okrzyk: „Niech żyje generał Dąbrowski!“

Powodzenia wojenne nie olśniewały bynajmniej doświadczonego żołnierza, który aż nadto dobrze widział, iż niezwykle ciężary, nałożone z woli Napoleona, uciskają słabiuchne księstwo, zniewolone do utrzymania niestosunkowo licznej armii. W wspomnieniach znanego prawnika i gorącego patrioty, Orchowskiego, ogłoszonych po jego zgonie w paryskiej *Kronice Emigracyjnej*, znajduje się wiadomość o tajnym związku, w którym prócz Dąbrowskiego, uczestniczyli generałowie Fiszer i Niemojowski, tudzież pułkownicy Sierawski, Trzeciecki i Bogucki. Związek ten, wedle świadectwa Orchowskiego, utrzymywać miał związki z politycznymi sprzysiężeniami, zawiązywanemi podówczas w Niemczech, a uznającemi konieczność odbudowania Polski w dawnych jej granicach.

Związkowi nosili się podobno z myślą wywołania powstania ludowego na całej przestrzeni ziem Rzeczypospolitej, powołując Kościuszkę jako naczelnika, a księ-

cia Adama Czartoryskiego jako jego doradcę dyplomatycznego. Wobec ogólnego nieurodzaju, jaki nawiedził księstwo warszawskie w roku jedenastym, odłożono wybuch rewolucyi na rok następny, a tymczasem Dąbrowski doradzał księciu Józefowi, by jako minister wojny oraz wódz naczelny pozostawiał w kraju jak najliczniejsze zakłady pułkowe, rozkładając je w miejscowościach pogranicznych, celem łatwiejszego zasilania się zbiegami wojskowymi, pochodzącymi z Austrii i z Prus. W ten sposób należało, jego zdaniem, dążyć do przygotowania nieznacznie związków siły zbrojnej, któraby w chwili krytycznej sprawę naszą ocalić mogła.

Że przewidywania owe były najzupełniej słuszne, dowiodły wypadki roku dwunastego, pogrążające w krwi powodzi całą Europę. Drobną na pozór kwestya posiadłości wielkiego księcia oldenburskiego, krewnego cara Aleksandra, wynagrodznego za stracone dziedzictwo Erfurtem, spełniła zadanie iskry, zapalającej nagromadzony oddawna materiał wybuchowy na kontynencie. Mimo ustępstw, czynionych ze strony Rosyi, wojna Francyi z caratem stała się nieuniknioną koniecznością. Prusy i Austria, związane z Napoleonem sojuszem zaczepno-odpornym, potęgowały jeszcze bardziej nieokiełzaną niczem dumę szczęśliwego zdobywcy, który w w czerwcu 1812 roku rozpoczął — jak się sam wyraził — drugą wojnę polską.

W olbrzymiej armii Napoleońskiej, dążącej na północ, wojska polskie, złożone z dywizyi Dąbrowskiego, Zajączka i Kniaziewicza, tworzyły piąty korpus, dowo-

dzony przez ks. Józefa Poniatowskiego. Dywizya Dąbrowskiego, figurująca w urzędowych relacjach pod mianem setnej siedmnastej, odłączoną została wcześniej od reszty korpusu polskiego i z tego też powodu nie brała udziału ani w zdobyczy Smoleńska, ani w bitwach pod Możajskiem, Ostrowem i Wiazmą. Natomiast przyszło się odznaczyć naszemu wodzowi w rozprawie pod Mohylewem (33. lipca), gdzie obok Davoust'a bronił Rosyanom przejścia przez Dniepr, poczem wysłano go na obserwację warownego Dobrujska. Tymczasem po świetnych tryumfach, wieńczących początek kampanii, nastąpił tem okropniejszy pogrom, niezwykłych do tej pory zastępów Napoleona, zakończony ogólnym odwrotem całej armii. W tej trudnej chwili przypadło Dąbrowskiemu niełatwe zadanie wstrzymania pościgu nieprzyjacielskiego. W dniach dwudziestym pierwszym i trzecim listopada bił się nasz generał pod Borysowem i licząc niespełna cztery tysiące żołnierza, trzymał się przez dzień cały przeciw dwadzieścikroć liczniejszemu korpusowi Czyczagowa. Ustąpił dopiero pod wieczór, gdy w szeregach pozostało zaledwie tyle żołnierza, by uprowadzić z pola bitwy sztandary, oraz działa. Stratę tę powetował generał, zabierając w powtórne starcie z Czyczagowem około czterech tysięcy jeńców. Z tem większem przerażeniem przyszło mu oglądać nazajutrz (24. listopada) zbliżające się moskiewskim traktem nie-dobitki głównej armii, przemarzłe, bez broni, pomieszane bezładnie. Wygłodzeni maruderzy rzucili się, gdyby szarańcza, na tabor Dąbrowskiego i w mgnieniu

oka rozerwali szczupłe zapasy żywności, jakie jeszcze posiadał. Dopiero pod wieczór nadciągnęło wojsko, pozostałe pod bronią, ale niektóre korpusy, dowodzone przez marszałków, sprawiały raczej wrażenie pulków pod względem liczebnym. W końcu nadjechał sam cesarz w otoczeniu „świętego szwadronu“, a widząc konie przy działach Dąbrowskiego w dobrym jeszcze znajdujące się stanie, wezwał do siebie generała i rzekł do niego:

— Wiem, coś uczynił. Straciłeś dużo, lecz trzymałeś się, jak przystało walecznemu...

Zaraz tejże nocy wyruszył Dąbrowski ku Bereżynie i zajmąwszy pozycję pod Studzianką, osłaniał budowę obu mostów, kleconych przez saperów ze słabego drzewa, wziętego z chat wsi nadbrzeżnej, rozebranych w tym celu. Wówczas to komendę piątego korpusu, którym chory chwilowo książe Józef nie mógł dowodzić, powierzył Napoleon Dąbrowskiemu. Generał nazajutrz o świcie, przeszedłszy rzekę, bił się znów z korpusem Czyczagowa, zajmującym miński gościniec, podczas gdy na przeciwnej stronie Bereżyny grzmiały już działa Kutuzowa, ściągającego główną armię, od Moskwy, zaś mosty ugiwały się pod ciężarem dział, taborów i przeciągających kolumn wojska.

Przepędziwszy noc bez ognia i jadła w lesie pod Borysowem, otrzymał Dąbrowski w dniu 27. listopada od marszałka Ney'a rozkaz, by wraz z całym korpusem spieszył w pomoc posuniętym naprzód oddziałom. Zaraz też artylerya nasza zaczęła razić przeciwnika gęstym

ogniem, gdy piechota, rozsypana w tyraliery, ucierała się z jegrami rosyjskimi.

O godzinie czwartej po południu Ney dał hasło do uderzenia na bagnety i Dąbrowski, jak zwykle, powiódł w ogień pierwszą kolumnę. Natarcie było tak silne, iż nieprzyjaciół poczęła ustępować, lecz równocześnie wódz nasz ugodzony został karabinową kulą. Po cisk, przesywszy rękojeść od pałasza oraz rękę, ranął go w brzuch. Dąbrowski tyle jeszcze znalazł siły, by oddać dowództwo Zajączkowi, a gdy i ten odniósł ranę, objął komendę Kniaziewicz.

Uniesiony z pola walki przez swych adjutantów Grabowskiego oraz Szezanieckiego, dostał się generał do ambulansu, gdzie mu pierwszej pomocy lekarskiej udzielił chirurg francuski Lareey. Równocześnie jednak, gdy go opatrywano, generałowa, towarzysząca mężowi nieodstępnie od początku wyprawy, znalazła się w niebezpieczeństwie życia. W chwili bowiem, gdy powóz Dąbrowskiej zbliżał się do zbawczego mostu na Berezynie, wpadło między tłum uciekających rozzuchwalone ogólnym popłochem kosaetwo. Zaraz w pierwszej chwili legł pod spisami kozaków stangret generałowej, spłoszone konie złamały dyszel u pojazdu i śmierć niechybna groziła już dzielnej kobiecie, gdy znajdujący się w pobliżu młodzi oficerowie: Mycielski i Potworowski, z narażeniem własnego życia rzucili się na ratunek żony wodza. Śmiało ich natarcie oddaliło napastników, poczem pilnujący mostu żandarmi ułatwili generałowej dostanie się na drugi brzeg rzeki. Z ich pomocą na-

prawiono złamany dyszel, Pułkownik Hornowski dostarczył czterech świeżych koni, odprężonych od próżnego furgonu, poczem pojazd, eskortowany przez dopiero co wspomnianych oficerów, wołających co chwila: „Z rozkazu cesarza!“ przejechał szczęśliwie na przeciwną stronę Berezyny, w której krą najeżonych nurtach tyłu walecznych znalazło grób bezimienny.

Dowiedziawszy się o ranieniu Dąbrowskiego, pospieszyła generałowa do lazaretu, skąd zabrawszy męża, dowiozła go bez szwanku do Wilna, a następnie do Winnej góry. Zaledwie wyleczony z ran i wytchnąwszy po straszliwych przejściach, doświadczonych w ostatniej wyprawie, powrócił wódz nasz do czynnej służby.

W czerwcu 1813 roku widzimy go w Saksonii, gdzie dowodził pięciotysięcznym oddziałem polskim, złożonym z szczątków wojsk księstwa warszawskiego, a załogującym w okolicy Weclaru, zaś dzień szesnasty października t. r. zastał go w Düben, gdzie otrzymał depeszę szefa sztabu głównego, Berthiera, powołującego go, by jak najspieszniej dążył pod Lipsk.

W bitwie ludów zajmował Dąbrowski ważne stanowisko między bramą Halską a Gohlisch i mimo straszliwego ognia z dział nieprzyjacielskich, przez dwie doby z rzędu nie ustąpił ani kroku. Ogień z ręcznej broni i z dział nie ustawał na chwilę — opowiada bezimienny świadek tych zapasów w swych wspomnieniach — można powiedzieć, że w okropnym tym dniu mało kto pozostał w szeregach w stanie, zdolny do

walki. Oficerowie sami porywali broń, porzuconą przez poległych i bagnetem bronili wniścia nieprzyjacielowi do miasta.

Napoleon po trzykroć słał do generała ordynansowych oficerów z zaleceniem, aby się trzymał i obiecywał mu posiłki, które wszakże nadeszły dopiero po skończeniu bitwy. Zastąpiony na okupionej tak drogo pozycyi przez dywizję francuską, cofnął się Dąbrowski z niedobitkami swego korpusu w kierunku Gützen, a wśród okropnego nieładu, jaki przedstawiał widok pobitej armii, skuteczniającej odwrót w największym nieładzie, Polacy jedynie przestrzegali porządnego szyku i zdołali uprowadzić wszystkie działa, zostawiając tabór cały na pastwę nieprzyjaciela. Na moście, rzuconym przez Elstere, panował piekielny zamęt. W natłoku ciśnącego się wojska, wozów, dział i koni, jedni drugich spychali do rzeki, w której odmetach tonęły nieszczęsne ofiary. To też nasze wiarusy, chcąc ocalić oficerów od oczywistej zguby, wzięli ich między siebie, zaś waleczni grenadyerzy drugiego pułku piechoty, otoczyli zwartem kołem Dąbrowskiego i przeprowadzili go szczęśliwie przez most. Dopiero w Gützen dowiedział się polski żołnierz o zgonie księcia Józefa, oraz o całym ogromie poniesionej przez Francuzów klęski. Przygnębiające wrażenie, wywołane zgrozą położenia, spotęgowała jeszcze bardziej wiadomość o oddaniu naczelnego dowództwa nad wojskiem polskim księciu Sułkowskiemu, komendantowi dywizyi jazdy, lubo Dąbrowski Sokolnicki, jako dowódcy korpusów, starszymi byli

od niego stopniem, nie wspominając już o zdolnościach i zasługach. W szeregach naszych poczęto szemrać, i zastanawiać się nad planem, co ma czynić żołnierz, pozbawiony prawowitego monarchy i własnego rządu, pozostawiony na łasce i nielasce cesarza Francuzów, bez żadnej rękojmi na przyszłość? Przypomniano sobie postępek republikańskiej Francyi wobec legionów, wyprawianych pod grozą ognia działowego na San Domingo, a miary niezadowolenia dopełniło oddanie jazdy polskiej pod rozkazy generała Leffébvre Desnouettes. Sułkowski uznał przeto za stosowne przedstawić cesarzowi istotny stan rzeczy, oraz potrzebę uspokojenia wzburzonych wśród polskiego korpusu umysłów. Napoleon odwłókł danie stanowczej odpowiedzi do dni ośmiu, a gdy termin ten minął bezskutecznie, Sułkowski przyrzekł swym podkomendnym, że powiedzie ich tylko do granic francuskich, nad Ren. Poprzestając na tem zapewnieniu, dążyli Polacy spokojnie przez Gotę, Eisenach, Fuldę, ku posiadłościom cesarza, a tymczasem Napoleon, spotkawszy pod Büttelstäd kolumnę Dąbrowskiego, nawiązał z nim dłuższą rozmowę. Zauważył w niej przedewszystkiem, iż nie jest jeszcze pewny, czy książę Józef zginął i z szczególniejszym naciskiem oświadczył, iż według polecenia króla saskiego, Polacy nie powinni go odstąpić, który to postępek byłby prawdziwą ujmą dla ich honoru żołnierskiego. Wreszcie zapewniał generała, że w zamian za dochowanie wierności przez nasze wojsko, on nie zapomni o Polsce przy sposobności najbliższych układów z sprzymierzo-

nymi i zalecił Dąbrowskiemu obronę pozycyi pod Bütterstädt, oddając w tym celu pod jego rozkazy jedną dywizyę włoską, jedną francuską, tudzież odpowiednią artyleryę. Wódz nasz wszakże odmówił przyjęcia zaoferowanej komendy i w obecności całej świty odpowiedział cesarzowi, iż po raz pierwszy w życiu musi upraszać o uwolnienie od poruczonego mu zadania, gdyż nie mógłby odpowiedzieć godnie pokładanemu w nim zaufaniu, mając do rozporządzenia żołnierza walecznego, lecz zgnębanego w najwyższym stopniu.

Nie uraził się Napoleon usłyszana odmową, lecz w tydzień później spotkawszy Dąbrowskiego, jadącego z powodu choroby oczu w powoźce kuryerskiej za wojskiem, zbliżył się do niego i po zwykłych pytaniach o zdrowie, odezwał się do generała w te słowa:

Siadź generale na konia; weź komendę nad wszystkimi znajdującymi się przy armii Polakami, prowadź ich w porządku, jak się należy, zaś twoje imię reszty dokona.

Zaraz też wyprawił adjutanta swego, generała Flahauta z odnośnemi poleceniami do dowódców polskich, zaś ks. Sułkowski, zdawszy komendę Dąbrowskiemu, pozostał w Gelnhausen, by za pozwoleniem cesarskiem powrócić do kraju.

Stało się to w dniu 29. października, a już nazajutrz zawezwał Napoleon do siebie naszego wodza, wobec którego mówił wiele o duchu narodowym Polaków i o konieczności przejścia Renu, nie szczędząc przy tej sposobności najponętniejszych dla siebie obietnic.

W końcu zapytał generała, czy wojsko, pozostające pod jego rozkazami, zechce jeszcze walczyć z nieprzyjacielem, oraz czy Polacy nie odstąpią go, jak to uczyniły inne wojska sprzymierzone?

Odparł na to Dąbrowski, że żołnierz polski, lubo strudzony w najwyższym stopniu i znękany moralnie, tak długo nie opuści sztandarów cesarskich, jak długo nie ujrzy, że może to uczynić bez ujmy dla własnej godności.

Mimo wszakże szczodrych obietnic cesarskich, korpus nasz cierpiał dotkliwie z powodu braku żywności i zdany był zupełnie na łaskę mieszkańców okolic, któremi przeciągał. W Moguncyi przez cztery doby z rzędu Polacy biwakowali pod gołym niebem; żołnierzowi brakło chleba, a konie padały z niedostatku paszy. To też Dąbrowski, zapytany wówczas przez cesarza, coby dla niego osobiście mógł uczynić, prosił go tylko o opiekę i zaopatrzenie głodnych, przypominając monarsze wielkość poświęcenia tudzież ofiar, poniesionych przez Polaków dla sprawy ojczyzny. Prośba ta o tyle skutkowała, iż wypłacono żołd zaległy całemu korpusowi i celem przeprowadzenia reorganizacyi odesłano go w pierwszych dniach grudnia do Sedanu. Już atoli w styczniu 1814 r., otrzymał Dąbrowski rozkaz udania się do Compiègne dla tem rychlejszego wyekwipowania oddziału, podczas gdy generał Pac na czele gotowych już do boju kompanij, wysłany został do głównej armii. Przydzieleni do rozmaitych korpusów francuskich, byli Polacy nieustannie w ogniu.

Pod Brienne pułk gwardyi polskiej wydał Napoleona niemal z rąk nieprzyjaciół, pod Arcis sur Aube, cesarz, nie mając pod ręką starej gwardyi, szukał schronienia w czworoboku naszej piechoty, dowodzonej przez Skrzyneckiego. Z czterdziestu świetnych pułków, które wyszły z kraju, pozostało już tylko dwunastu generałów, sześciuset oficerów, tworzących cztery kompanie gwardyi honorowej i garść żołnierza. Jazda nasza, wiedzona przez Kurnatowskiego, który po rannym Pacu objął jej komendę, biła się po raz ostatni pod St. Dizier w dniu 26. marca, podczas gdy artylerya polska broniła Paryża wraz z uczniami szkoły politechnicznej.

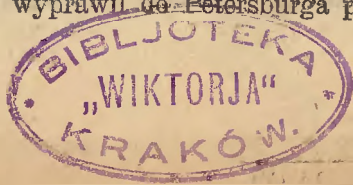
Wiść o abdykacyi Napoleona zastała Dąbrowskiego w Le Mans, dokąd ściągaly się wszystkie oddziały polskie, odcięte od głównej armii. Zwołał przeto generał wyższych oficerów na naradę, z której wypadło, iż Sokolnicki wraz z pułkownikiem Szymanowskim udadzą się do Fontaineblau celem przypomnienia cesarzowi, iż wojsko polskie dopełniło wobec niego wszelkich zobowiązań, oraz z prośbą o radę, co mu czynić wypada. Zbyci ogólnikami, udali się obaj wysłannicy z Fontaineblau do cara Aleksandra, dopraszając się u niego jedynie ułatwienia powrotu do ojczyzny.

Nie szczędził im car Aleksander najpochlebniejszych zapewnień, zaś Dąbrowski, chory skutkiem odnowienia się ran i ciężkich przeżyć moralnych, otrzymał od wielkiego księcia Konstantego wielce uprzejme wezwanie, by przybył do Paryża, celem przedstawienia się carowi. Przyjęty z największem poważaniem przez

tego monarchę, odebrał od niego w dniu siedmnastym kwietnia list własnoręczny, pełen pochwał dla waleczności wojska polskiego, oraz zapewnień życzliwości dla całego narodu.

...Złączeni dziś z walecznymi, którzy od tej chwili są ich towarzyszami broni — pisał car o żołnierzach polskich — powrócą do siedlisk swoich, aby na zawsze mogli doznawać dowodów tej przychylności, którą mam dla nich, równie jak dla ich narodu. Generale, możesz ich o tem zapewnić i śmiało liczyć na nieodmienną przychylność dla siebie...

W dniu trzecim maja t. r. pojawiło się rozperządzenie cara Aleksandra, mianujące komitet wojskowy dla organizacyi przyszłego wojska Królestwa Polskiego. Przewodniczącym tego ciała zamianowany został wielki książę Konstanty, w składzie zaś komitetu jako członkowie zasiedli oprócz Dąbrowskiego, Zajęczek, Wielohorski, Kniaziewicz i Sierakowski, którym w charakterze zastępców dodano Woyczyńskiego, Sulkowskiego i Gedroyca. Dąbrowski już w dniu trzynastym maja otrzymał od Konstantego polecenie niezwłocznego wyjazdu do Warszawy wraz z instrukcyą, by zgromadził tamże jak największą ilość powracających do kraju z rozmaitych stron wojskowych i sprawdziwszy piastowane przez nich stopnie, oczekiwał dalszych rozkazów. General opuścił stolicę Francyi w dniu dwudziestym pierwszym maja i stanął w Warszawie w dniu siódmym czerwca t. r., a zanim wydał żadaną odezwę do wojskowych dawnej służby, wyprawił do Petersburga pod-



pulkownika Władysława Ostrowskiego, domagając się od cara zupełnej rękojmi dla przyszłego bytu Polski. Wówczas to Aleksander, dobywszy do połowy szpady z pochwy, wyrzekł te znaczące słowa:

— Tem żelazem przetnę węzeł, któryby mi tano-
wał odbudowanie Polski!

Posłuchanie Ostrowskiego u cesarza odbyło się w dniu czwartym sierpnia, lecz dopiero dwudziestego siódmego września miało miejsce pierwsze posiedzenie zwołanego do Warszawy komitetu. Zebrani generałowie oświadczyli wszakże stanowczo, iż do chwili uwolnienia od przysięgi przez księcia warszawskiego oraz zapewnienia politycznego bytu Polski, ani służby pełnić nie mogą, ani też zająć się organizacją wojska polskiego. W. ks. Konstanty, obecny na tem posiedzeniu, uznał dane oświadczenie za honorowe i sprawiedliwe. Podobnie też oceniano je w Petersburgu, gdzie nikt nie przypuszczał, by carowi chciano na kongresie odmówić prawa do zarządu księstwem. Skoro jednak we Wiedniu poruszono sprawę wskrzeszenia Polski, a przeciw Rosyi poczęła się wiązać koalicja, pragnął car demonstracyi, iż to naród polski życzy sobie połączenia z Rosyanami, czego najlepszym dowodem mogła być formacja wojska narodowego. Jęto więc nalegać na członków komitetu, by przystąpili do spełnienia ich zadania oraz przyspieszyli o ile możności, organizację armii polskiej.

Rząd rosyjski nie omieszkiał użyć wszelkich wpływów i ostatecznie przeparł swe żądanie, gdyż większość

członków komitetu uznała za stosowne przystąpić do organizacyi wojskowej. Kniaziewicz i Woyczyński ustąpili z grona organizatorów, w którym wszakże pozostał Dąbrowski.

Wódz, który nie zwykł był rozpaczać w najtrudniejszym położeniu, nie tracił i teraz nadziei w lepszą przyszłość. Zgadzał się przeto na formacyę armii polskiej, lecz żądał, by ona zajęła bezwłocznie pozycyę bojową nad Notecią, a równocześnie słał w najściślejszej tajemnicy pułkownika Biernackiego do trzymanego w Berlinie, w charakterze więźnia, króla saskiego z oświadczeniem, że w razie wybuchu wojny, pierwszy podniesie sztandar powstania w Polsce i walczyć będzie za jego sprawę.

Jakoż z końcem 1815 roku wojna zdawała się wisieć w powietrzu, w dniu zaś szóstym stycznia roku następnego Anglia, Austria i Francya związały się tajnem przymierzem, przeciwko Rosyi oraz Prusom skierowaniem. Jednakowoż ogólne wycieńczenie krajów i skarbów państwowych odwlokło chwilę wybuchu walki a wiadomość o wylądowaniu Napoleona w Cannes przyspieszyła załatwienie kwestyi polskiej oraz saskiej w drodze pokojowej.

Saksonia traciła połowę obszaru i dwie piąte części ludności na rzecz Prus, które nadto z rozbioru księstwa warszawskiego otrzymały Toruń, okręg poznański i część okręgu kaliskiego, podczas gdy Rosya zatrzymała w swem posiadaniu całe księstwo warszawskie, z wyjątkiem Krakowa i Wieliczki. W świeżo po-

wstałem królestwie kongresowem powołany został Dąbrowski jako wojewoda do senatu i wyniesiony w hierarchii wojskowej do stopnia generała jazdy, sam jeden posiadał dość odwagi i siły woli, by na radach wojennych oprzeć się zachciankom wielkiego księcia, który już w pierwszych latach swego wielkorządnictwa usiłował narzucić wojsku polskiemu barwy i musztrę rosyjskie. Dzielnemu satrapie imponował wódz legionów zarówno wiekiem, jak zasługami, oraz wiedzą zawodową i dlatego też wielki książę nie odważył się nigdy wobec Dąbrowskiego wystąpić w szorstki, właściwy mu sposób. Znana była w całym kraju dowcipna odpowiedź generała, dana Konstantemu podczas przeglądu, odbywanego na sa Saskim placu.

Dąbrowski, zwyczajem starych żołnierzy napoleońskich, nie wiele się troszczył o krój noszonego mundur i wcale go nie zapinał nawet podczas parady. To też nosił zazwyczaj przestronny, wygodny uniform, w którym wielce odbijał od reszty generałów i oficerów, kuso opiętych, gdyby marjonetki. Ten brak etykiety gniewał wielkiego księcia tem bardziej, że nie śmiał mu wypomnieć owego uchybienia w stosunku służbowym. Pewnego dnia wszakże widząc generała na placu, podjechał Konstanty ku niemu z zapytaniem, u kogo każe sobie robić mundury, oraz jak się ten krawiec nazywa? Dąbrowski wymienił nazwisko dostawcy, poczem książę, zwróciwszy się do swego adjutanta Bontempsa, odezwał się do niego w te słowa:

— *Notez vous, Bontemps, ce nom et qu'il ne nous fasse jamais d'uniforme...*

— *Votre Altesse n'a jamais aime les usages commodes des Francais* — zauważył z uprzejmym ukłonem nasz generał, ku niemałemu przerażeniu zgrzybiałego Zajączka i olśnionego swą teką ministeryalną Haukego, którzy z każdym dniem stawali się bardziej powolnem narzędziem w ręku carskiego brata. Nieraz też mawiał Dąbrowski w gronie zaufanych przyjaciół:

— Jak mnie już nie będzie, to lękam się o Zajączka i Haukego. Oni są jak dwa szyldwachy, którzy patrzą na mnie, aby wiedzieć, przed kim mają sprezentować broń!

Przyszłość dowiodła niestety, o ile uzasadnioną była obawa naszego wodza, który pod koniec życia pojechał się szczerze z dawnym przeciwnikiem. To też, gdy we wrześniu 1815 roku urodził się Dąbrowskiemu syn, Bronisław — córka, żyjąca dotychczas w Poznaniu, pani Bogusława Mańkowska ujrzała światło dzienne w dniu 14 marca 1814 roku w Paryżu — książę-namiestnik trzymał go do chrztu w pierwszą parę wraz z księżną Gedroyciową. Uroczystość ta odbyła się w pałacu radziwiłowskim, zwykłej siedzibie generalstwa podczas ich pobytu w Warszawie. Chętniej wszakże przebywał Dąbrowski w Winnej Górze, gdzie prócz dawnych towarzyszy broni i licznej świty, odbierał częste odwiedziny wielkopolskiego ziemiaństwa. Uroczą Winna Góra była prawdziwie pańską rezydencją, z starym pałacem, otoczonym dokoła odwiecznymi szpa-

lerami, oraz z pięknym dużym kościołem fundacyi Czartoryskich, ongi dziedziców tych dóbr. Pokój w winnogórskim pałacu zajmowany zazwyczaj przez generała, zdobiły freski, przedstawiające pomniki poległych na ziemi włoskiej legionistów: Liberackiego, Tremona i innych. Po nad freskami, wśród malowanych girland wawrzynowych, widniały herby tudzież trofea narodowe, okalające wielką, środkową tarczę z orłem i z pogonią. Częstymi gośćmi w Winnej Górze bywali też biskup Raczyński, Wybicki, Niemcewicz, Chłopicki, Kniaziewicz a i z księciem Antonim Radziwiłłem, zamianowanym podówczas namiestnikiem wielkiego księstwa poznańskiego, łączyły rodzinę Dąbrowskich węzły zażyłej przyjaźni. Księżę lubo ożeniony z ciotką króla Wilhelma IV., nie zatracił bynajmniej zwyczajów narodowych w swym domu, mówił po polsku i chadzał w czarmarze. O milę od Poznania, na wzgórzu, wznosiła się wśród wieńca drzew topolowych kapliczka, dokąd zazwyczaj wyjeżdżał z miasta Dąbrowski na powitanie przybywającej z Winnej góry małżonki wraz z dziatwą. Prócz Radziwiłłów, towarzyszyli mu zazwyczaj w tych przejażdżkach Umiński, Mielżyński, Szczaniecki i Prądzyński, pełniący przy jego boku służbę adjutanta. Zresztą wszystkie znakomitsze rodziny wielkopolskie, jak Kwileccy, Żółtowscy, Mycielscy, Morawscy i Chłapowscy spieszyli do Winnej Góry, ilekroć Dąbrowscy na wieś zawitali, by zasięgnąć rady, szukać poparcia, lub też odżyć wspomnieniami niedawnej przeszłości, której generał był żywą księgą. Sielska siedziba wodza

była nie tylko punktem zbornym dla całego obywatelstwa z bliższych oraz z dalszych okolic, lecz stała się przytułkiem dla wielu zasłużonych a podupadłych majątkowo wojaków z czasów kościuszkowskich, z doby legionów i z napoleońskich wojen.

„Najmilsze dla mnie chwile były — opowiada w swych pamiętnikach pułkownik Ludwik Szczaniecki — gdy mogłem udać się do Winnej Góry, gdzie przesiadywał nasz stary (tak nazywaliśmy generała Dąbrowskiego), aby wolno odetchnąć od ucisku, jakiego doznawała prawdziwie polska dusza jego, z tego wszystkiego, co się działo w Warszawie. Tam zwykle się zbierali różni starzy wojskowi, lub ci, którzy powychodzili z tego stanu. Tam opowiadał nam stary wydarzenia rewolucyi Kościuszkowskiej, okoliczności upadku ojczyzny, którą Polacy tylko zdolni ubóstwiać, szczególnie, tyjące się legionów. Nakoniec powtarzał nam konieczność utrzymania ducha narodowego, a gdy ten utrzymany będzie, cieszył nas nadzieją, iż znowu poda się pora odzyskania bytu i niepodległości. To nasienie nie było rzucone na opokę.“¹⁾

Jakkolwiek osiadł w zaborze pruskim, utrzymywał generał żywe stosunki z rodzinnymi stronami, a w szczególności z osiadłymi w Pierzchowicach krewnymi Kępieńskimi. Dziedzicem Pierzchowic był w owym czasie rotmistrz Jan Kępieński, syn szambelana, ożeniony ze słynną z urody Elżbietą Dębicką. Młodej parze urodził się z wiosną 1818 r. syn pierworodny, więc też nie omieszkano zaprosić generała, by jako głowa

rodziny przybył trzymać do chrztu niemowlę. Dąbrowski stawił się na wezwanie i po ceremonii chrzestnej, w Krakuszwicach odbytej, przy której chrześniak otrzymał jego imię, zapragnął odwiedzić Pierzechowice. Było to z końcem maja, a mimo chłodu oraz przestróg pań domowych, generał wybrał się na tę wycieczkę, odbywaną wieczorem, bez cieplejszego odzienia, żartując żołnierskim zwyczajem z kobiecej troskliwości. Tymczasem już następnego dnia (29. maja) uczul dotkliwe kłucie w piersiach wśród objawów gorączki, lecz nie chcąc się poddać chwilowemu — jak sądził — cierpieniu, wyjechał do Krakowa, by jak najrychlej znaleźć się w ulubionej Winnej Górze.

Przybył tam drugiego czerwca, a ujrzawszy dzieci w oknie pałacowem, chybił w pośpiechu stopień pojazdu i upadłszy na bruk, nabawił się gangreny w nodze, która to przypadłość w połączeniu z szybko rozwijającym się zapaleniem płuc, kres miała położyć jego życiu. Chorował zaledwie dni cztery i czując zbliżający się koniec, z całą przytomnością umysłu poczynił ostateczne rozporządzenia. Pierwsza jego myśl poświęcona była przyszłości ojczyzny, dla której wytrwale cierpiał i walczył.

— Cóż nam przyniósł tyloletni krwi przelew? — mówił do swego otoczenia. — Męstwo żołnierza wślawiło wodzów, ale jakież wydało owoc dla narodu? Czego jeszcze spodziewać się możemy, a czego obawiać się mamy? Każdy z was drży na los, który ostatek toń ojczyzny przynieść może. A możeż być inaczej, kiedy

nie masz ścisłego węzła, któryby wszystkie części jednoczył? Marnie straciliśmy z tej przyczyny najpomysłniejsze sposobności. Niech się zjawia nowe, przelejecie znowu strumienie krwi, wślawią się nowe pola walki, pomnoży się liczba ofiar, ale niepodległości i swobody daremniebyście szukali. Słabi, bo niezjednoczeni, poddać się zawsze musicie warunkom, jakie wam gwałt narzuci!

Słowa te, powtórzone przez Teodora Morawskiego, a uznane jako autentyczne przez inne, współczesne źródła, stały się testamentem politycznym gasnącego wodza, a zarazem dały powód do mniemania, że Dąbrowski był założycielem tajnego związku, który w rok po jego zgonie rozkrzewił się bujnie po całej Wielkopolsce pod mianem Kosynierów. Tak przynajmniej utrzymywała tradycja spiskowa, przechodząca od związku do związku, a wymieniająca jako pierwotnego twórcę tajnych sprzysiężeń politycznych wodza legionów. Wyrazy, które miał powiedzieć na śmiertelnym łożu — pisze Maurycy Mochnacki w swem „Powstaniu narodu Polskiego“ — znalazły tak silny oddźwięk w sercach, bijących dla ojczyzny, że się zamieniły w testament, którego egzekutorem był nakoniec cały naród z bronią w ręku pod Grochowem i Ostrołęką. Jeżeli to tylko imaginacja patryotów wynalazła, to przyznać trzeba, że to zmyślenie, wyprowadzające ze słów kochającego starca orężne powstanie, jest malarskie i głębokie...

Podobną też myśl wypowiada historyk listopadowego powstania, Barzykowski, twierdząc, iż Dąbrowski, który nigdy nie zwątpił o sprawie narodowej i nigdy Moskwie nie ufał, miał sto tytułów, aby go za naczelnika związków ogłaszano i jeżeli nim nie był w istocie, to był moralnie najwyższym naczelnikiem narodu i wszyscy rachowali na niego.

Przed śmiercią również polecił Dąbrowski, by wszystkie jego zbiory, ryszunki i rękopisy, dotyczące wypraw wojennych, oddano warszawskiemu Towarzystwu przyjaciół nauk i wyraził życzenie, by go pochowano w mundurze legionisty wraz z trzema szablami, towarzyszącymi mu w ważniejszych wyprawach, oraz z kulami, które go ugodziły w bitwach pod Novi, pod Tczewem i nad Berezyną.

Pojednany z Bogiem, pożegnawszy się z małżonką, z dziećmi, z domownikami, tudzież z towarzyszami broni, zgasł wódz legionów w dniu szóstym czerwca 1818-go roku o godzinie w pół do trzeciej z południa.

Jakkolwiek umierający życzył sobie, aby pogrzeb jego odbył się bez żadnej okazałości, mimoto ogólna cześć i hołd, towarzyszące jego wspomnieniu, nie pozwoliły na skromne pochowanie zwłok narodowego bohatera. Uroczystość pogrzebowa odbyła się w dniu trzynastym czerwca t. r. w Winnej Górze, przy nader licznym udziale obywatelstwa, wojska i ludu. Już w przeddzień pogrzebu zwłoki generała, nabalsamowane i złożone w miedzianej trumnie, umieszczono w drugiej tru-

mnie drewnianej i obitej aksamitem, poczem przeniesiono je do kościoła, gdzie już od świtu dnia następnego żałobne odprawiano modły. Po egzekwiach i kazaniu pożegnał wodza imieniem towarzyszy broni, generał Kosiński, druh jego jeszcze z doby legionów. W kilkanaście dni później Warszawa i Poznań uczciły pamięć Dąbrowskiego żałobnymi modły, odprawionem. z wszelką okazałością, a wobec majestatu śmierci umilkły też zawistne głosy i niecne oszczerstwa, jakimi prywata ścigała Dąbrowskiego niemal przez całe życie.

Cały kraj oplakiwał zgon bohatera, zaś wśród poezyj, poświęconych żałobnej uroczystości, największym rozgłosem cieszył się utwór Goreckiego, zaczynający się od słów:

Dąbrowski umarł! Pieśń żalu, bardowie,
Cicho w noc ciemną zaczniście —
Cicho, niech nasi nie wiedzą wrogowie,
Że Dąbrowski skończył życie!
Lecz gdzież nam ukryć rozpacz,
Kiedy cała Polska płacze?
W najmniejszym domku wieśniaka
Wszędzie żalność lży wyciska,
Bo nie masz nigdzie Polaka,
Co nie znał jego nazwiska.

Zwłoki Dąbrowskiego spoczywają po dziś dzień w ustronnej Winnej Górze. Wprawdzie Szczaniecki, zamianowany przez generała jednym z wykonawców jego woli, czynił usilne zabiegi, by śmiertelne szczątki wodza legionów dozwolono przenieść na Wawel, ale

starania jego — jak sam wyznaje w swym pamiętniku — znalazły opór ze strony „nieprzyjaciół naszych“... Dopiero w czerwcu 1841 roku, udało się Szczanieckiemu zgromadzić w Poznaniu grono obywatelskie, celem uczczenia pamięci Dąbrowskiego stosownym pomnikiem w stolicy Wielkopolski. Odezwa, wydana przez komitet pomnikowy, nie przeszła bez skutku. W ciągu roku zebrano sumę około 60.000 zł., lecz wzniesieniu zamierzonego pomnika sprzeciwił się stanowczo rząd pruski, skutkiem czego wykonanie tej myśli poszło w odwłokę. Wreszcie w kwietniu 1862 r., przypomniało ją Towarzystwo Poznańskie Przyjaciół Nauk, za którego staraniem stanęła w lipcu 1863 roku kaplica grobowa przy kościele winnogórskim. Ustawiono w niej wielki, kamienny sarkofag, na wzór sarkofagu Scipiona afrykańskiego, z napisem: Jan Henryk Dąbrowski. W sarkofagu tym złożono ciało generała, które, jak to po otwarciu obu trumien sprawdzono, wcale nie uległo zniszczeniu.

Prócz Winnej Góry posiadają też Pierzchowice miejsce rodzinne Dąbrowskiego, skromny pomnik, poświęcony pamięci bohatera. Powstał on w lipcu 1872 r. ze składek ziemiaństwa okolicznego, na wzgórzu, obok miejsca, gdzie niegdyś stał dworzec Dąbrowskich.

Tam też w dniu 19. września 1897 r., święcono setną rocznicę powstania legionów. Obchód został zainicjowany przez „Sokoła“ bocheńskiego. W dniu owym odbyło się w Bochni w kościele parafialnym uroczyste nabożeństwo, które prócz „Sokołów“ zgromadziło liczny

zastęp młodzieży szkolnej, rękodzielników i ludu wiejskiego. Po nabożeństwie odsłonięto tablicę pamiątkową, umieszczoną w bocznej, wewnętrznej ścianie kościoła. Widnieje na niej napis:

JANOWI HENRYKOWI DĄBROWSKIEMU

*Urodzonemu w Pierzchowcu pod Bochnią
W setną rocznicę utworzenia polskich legionów.*

Sokół Bocheński.

„Ojczyznę, wolność, racz nam wrócić Panie!”

Kamienna ornamentacya w stylu późnego renesansu, otacza portret generała, malowany przez Stasiaka. Po bokach umieszczono herby Polski i Litwy, tudzież tablice herbowe z Datami: 1797 — 1897. Całość u dołu zamyka kamienna płyta, z wyrytym na niej napisem:

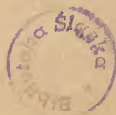
Si Deus nobiscum, quis contra nos!

Z kościoła udano się do sali „Sokoła“ na uroczyste zebranie, zaś o godzinie drugiej z południa, długi szereg pojazdów i podwód podążył do odległych o dwie mile Pierzchowic, gdzie zgromadziło się około dwóch tysięcy osób, przeważnie włościan. U stóp pomnika na wzgórzu, złożono trzy wieńce: wawrzynowy od „Sokoła“, dębowy od mieszkańców Bochni, tudzież wianek, uwity z kwiatów polnych i z kłosów, ofiarowany przez włościan. Stosowne przemowy i śpiewy patryotyczne za-

kończyły obchód ten, odznaczający się podniosłym nastrojem oraz powagą.

Zarówno kaplica winnogórska, jak pierzchowiecki pomniczek i tablica, w bocheńskim kościele wmurowana, są tymczasowemi jeno pamiątkami, a zanim sprawiedliwości dziejowej stanie się zadość i zwłoki Dąbrowskiego spoczną obok Kościuszki i księcia Józefa na Wawelu, pieśń legionów pozostanie na zawsze wspomnieniem niespożytej miłości ojczyzny i czynów wodza tych zastępów. Podobno w ostatnich latach życia, gdy wymieniano Dąbrowskiemu pomniki lub księgi, sławiące zasługi wielkich mężów, zwykł on był odpowiadać: A ja mam mojego mazurka... I nie mylił się doświadczony bojownik sprawy ojczyźnej, gdyż, jak długo stanie polskiej mowy, miłości kraju i nadziei w jego odrodzenie, tak długo powtarzane będzie z najwyższą czcią i z uwielbieniem przez ogół ziomków nazwisko naczelnego wodza legionistów.

KONIEC.



Spis rzeczy

	Str.
Wstęp	5
Rozdział I.	29
Rozdział II.	78
Rozdział III.	152

Biblioteka „Słowa Polskiego“

dotąd wyszły następujące dzieła:

CHARLES DICKENS. **I. Noc wigilijna. — II. Dzwony.**
Przekład z angielskiego. — Cena 60 hal.

H. G. WELLS. **Człowiek niewidzialny.** Przekład z angielskiego. — Cena 60 hal.

KAZIMIERZ LASKOWSKI. **Z rodu marzycieli.** Kartki z życia. — Cena 60 hal.

I. N. PANAMARJOW. **Wnuczka wróżki.** Powieść kryminalna w trzech tomach (z rosyjskiego). — Cena tomu 60 hal.

WALERY ŁOZIŃSKI. **Zaklęty dwór.** Powieść w dwóch tomach. — Cena tomu 80 hal.

STANISŁAW SCHNÜR-PEPŁOWSKI. **Wódz legionistów.** (Opowieść dziejowa z lat 1790 — 1819).
Cena 60 hal.

Prenumeratorzy „Słowa Polskiego“ płacą za każdy tom połowę ceny.

W Administracji „Słowa Polskiego“, Lwów, Chorażczyzna 17 są do nabycia do każdego tomu **okładki w płótno obciążane**, z wyciskami i napisem poszczegółnej powieści po cenie 20 hal., z przesyłką 40 hal.

